

GENE WOLFE



PIĄTA GŁOWA CERBERA



GENE

WOLFE

PIĄTA GŁOWA

CERBERA

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Damonowi Knightowi,

który pamiętnej czerwcowej nocy

roku 1966 wyhodował mnie

z ziarenka fasoli

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Piąta głowa Cerbera

Gdy bluszcz się w śniegu chyli nisko,

A sowa huka na wilczysko,

Co wilczęta pożera.

Samuel Taylor Coleridge,

„Pieśń o starym żeglarzu”,

przełożył Zygmunt Kubiak

Kiedy byłem mały, razem z moim bratem Davidem musieliśmy kłaść się

wcześnie spać niezależnie od tego, czy byliśmy senni, czy nie. Latem zdarzało się, iż

trafialiśmy do łóżek jeszcze przed zachodem słońca. Nasza sypialnia znajdowała się

we wschodnim skrzydle budynku, a jej szerokie okno wychodziło na główny

dzieliniec, czyli było skierowane na zachód, jaskraworóżowy blask godzinami

wlewał się przez szyby, podczas gdy my leżeliśmy gapiąc się na kulawą małpę ojca,

która przycupnęła na obtłuczonym parapecie, albo opowiadaliśmy sobie różne

historie bezgłośnymi gestami.

Sypialnię urządzono na najwyższym piętrze, okno zaś zaopatrzono w okiennice z

kutego żelaza, których nie wolno nam było otwierać. Chodziło zapewne o to, żeby w

jakiś deszczowy poranek (bo tylko wtedy wyłożony ceramicznymi płytkami dach,

pełniący funkcję ogrodu, mógł być pusty) złodziej nie spuścił się po linie i nie wszedł

przez otwarte okno do naszego pokoju.

Rzecz jasna, nikt nie decydowałby się na tak ryzykowne przedsięwzięcie tylko po to, żeby nas ukraść. Dzieci (zarówno chłopcy, jak i dziewczynki) były w Port-Mimizon wyjątkowo tanie; kiedyś powiedziano mi nawet, że mój ojciec, który handlował nimi w przeszłości, wycofał się z interesu właśnie z powodu zbyt niskich cen. Bez względu na to, jaka była prawda, każdy - albo prawie każdy - miał okazję zetknąć się z jakimś fachowcem, który zrealizował każde życzenie (naturalnie w granicach rozsądku), i to za umiarkowaną opłatą. Ludzie ci doskonale znali wszystkie dzieci z ubogich, lub nawet tylko nieostrożnych rodzin i gdyby ktoś, na przykład, zażyczył sobie śniadorską dziewczynkę o rudych włosach albo pulchną, albo sepleniącą, albo jasnowłosego chłopczyka podobnego do Davida, albo bladego, o kasztanowych włosach i brązowych oczach, czyli takiego jak ja, otrzymałby zamówiony towar w ciągu kilku godzin.

Hipotetyczny włamywacz z pewnością nie porwałby nas również dla okupu - choć w niektórych dzielnicach mój ojciec uchodził za niesłychanie zamożnego - a to

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

z kilku przyczyn. Nieliczni, którzy wiedzieli o istnieniu moim i brata, wiedzieli także (albo przynajmniej im zasugerowano), że nasz ojciec zupełnie się nami nie interesuje.

Nie mam pojęcia, czy tak było naprawdę; w każdym razie ja na pewno w to wierzyłem, ojciec zaś nigdy nie dał mi podstaw, bym uważał inaczej, choć wtedy jeszcze nie przyszło mi do głowy, że mógłbym go zabić.

Nawet gdyby te powody okazały się mało przekonujące, to każdy, kto miał choćby przelotny kontakt z warstwą społeczną, której mój ojciec stał się bodaj czy

nie najważniejszym przedstawicielem, musiał zdawać sobie sprawę, że gdyby on, zmuszony do dawania ogromnych łapówek tajnej policji, miał stracić pieniądze jeszcze w ten sposób, stałby się łatwym celem mnóstwa niszczących ataków. Chyba właśnie to, a także strach, w którym wiecznie żył, było prawdziwą przyczyną, dla której nas nie ukradziono.

Żelazne pręty okiennic (piszę te słowa właśnie w naszej starej sypialni) przypominają zbyt sztywne i nienaturalnie symetrycznie ułożone gałęzie wierzby. Za mego dzieciństwa oplatały je pnącza armatnicy (już ją wykopano), które przywędrowały aż tutaj po murze. Marzyłem o tym, by całkowicie zarosły okno, odcinając tym samym dostęp promieniom słońca, które wdzierały się do pokoju akurat wtedy, kiedy usiłowaliśmy zasnąć, David jednak, którego łóżko stało przy oknie, wciąż obłamywał gałązki, robił z nich miniaturowe piszczalki, a następnie łączył po cztery albo pięć. W miarę jak stawał się coraz bardziej zuchwały, tony fletni przybierały na sile, aż wreszcie zwracały uwagę pana Milliona, naszego wychowawcy. Pan Million w całkowitej ciszy wtaczał się do sypialni na swoich szerokich kołach i choć fletnia była już ukryta pod poduszką, albo nawet pod materacem, nie zdarzyło się, żeby miał jakiegokolwiek trudności z jej odnalezieniem. Aż do wczoraj nie pamiętałem, co robił z odebranymi Davidowi instrumentami, chociaż w więzieniu, a także podczas okresów przymusowej bezczynności spowodowanej burzami lub obfitymi opadami śniegu, często usiłowałem to sobie przypomnieć. Na pewno nie niszczył ich ani nie wyrzucał przez okno na dziedziniec; pan Million nigdy niczego celowo nie zniszczył i nigdy niczego nie zmarnował. Z łatwością przywoływałem w pamięci lekko bolesny wyraz jego twarzy, z jakim wydobywał piszczalki z ukrycia (twarz, która zdawała się unosić wewnątrz ekranu,

bardzo przypominała twarz mego ojca), oraz sposób, w jaki się odwracał i wyjeżdżał z pokoju. Ale co się z nimi potem działo?

Wczoraj, jak już wspomniałem (w ten sposób zyskuję nieco pewności siebie), przypomniałem sobie. Rozmawiał ze mną, a kiedy bezgłośnie ruszył do wyjścia - odruchowo odprowadziłem go wzrokiem - uświadomiłem sobie, że czegoś mi brakuje, jakiegoś szczegółu zapamiętanego z dzieciństwa. Zamknąłem oczy i wyteżyłem pamięć, starając się wyeliminować wszelkie domysły, i po jakimś czasie stało się dla mnie zupełnie oczywiste, iż owym brakującym elementem był ledwo dostrzegalny metaliczny błysk nad głową pana Milliona.

Stwierdziwszy ten fakt, domyśliłem się, że ów błysk był spowodowany szybkim ruchem ręki, przypominającym salut, ale choć przez ponad godzinę wyteżałem wyobraźnię, za nic nie byłem w stanie odgadnąć, co ów ruch miał oznaczać ani czemu służyć. Czymkolwiek był, nie przetrwał próby czasu. Usiłowałem sobie

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

przypomnieć, czy - w tej niezbyt przecież odległej przeszłości - w korytarzu za drzwiami naszej sypialni znajdował się jakiś przedmiot albo urządzenie (na przykład opuszczana zasłona lub ekran), którego obecność tłumaczyłaby potrzebę wykonywania takiego ruchu. Nic takiego tam nie było.

Wyszedłem na korytarz i dokładnie przyjrzałem się podłodze, szukając śladów pozostawionych przez meble, potem równie dokładnie obejrzałem ściany w poszukiwaniu haków albo gwoździ, a także sufit. Mniej więcej po godzinie przyszło mi do głowy, żeby poświęcić trochę uwagi drzwiom, i niemal natychmiast dostrzegłem coś, na co nie zwróciłem uwagi, przechodząc przez nie tysiące razy: jak

wszystkie drzwi w tym bardzo starym domu, miały potężne drewniane futryny.

Górna, poprzeczna belka wystawała ze ściany, tworząc wąską półkę.

Wytaszczyłem fotel na korytarz i stanąłem na siedzisku. Na pokrytej grubą warstwą kurzu półce leżało czterdzieści siedem fletni mego brata oraz oszałamiająca kolekcja najrozmaitszych niewielkich przedmiotów. Sporo z nich od razu wyglądało znajomo, są jednak i takie, które wciąż stanowią dla mnie zagadkę.

Niewielkie błękitne jajo śpiewającego ptaka, nakrapiane brązowymi cętkami.

Przypuszczalnie ptak uwił sobie gniazdo w pnączach za oknem, ja zaś albo David splądrowaliśmy je, a wkrótce potem straciliśmy zdobycz na rzecz pana Milliona. Nie pamiętam jednak, kiedy ani jak do tego doszło.

Jest tam także uszkodzona łamigłówka z wysuszonych trzewi jakiegoś niewielkiego zwierzęcia oraz, dla odmiany wywołujący mnóstwo wspomnień, duży, bogato zdobiony klucz, jaki można kupić co roku; zapewniają posiadaczowi dostęp do niektórych pomieszczeń miejskiej biblioteki także poza godzinami jej otwarcia. Pan Million prawdopodobnie skonfiskował go, kiedy klucz stracił już ważność i zaczął nam służyć jako zabawka, ale jakież wspomnienia wiązały się z tym przedmiotem!

Mój ojciec miał własną bibliotekę, która teraz trafiła w moje ręce, ale wtedy nie wolno nam było tam wchodzić. Przypominam sobie mgliście (nie mam pojęcia, ile mogłem wówczas mieć lat), jak stoję przed potężnymi rzeźbionymi drzwiami, one uchylają się powoli, a ja widzę kulawą małpę ojca na jego ramieniu, przytuloną do twarzy o orlich rysach, widzę czarny szal i szkarłatny szlafrok, z tyłu zaś niezliczone rzędy piętrzących się aż pod sufit książek i kajetów. Zaleciała mnie omdlewająco słodka woń formaldehydu z laboratorium ukrytego za odsuwającym lustrem.

Nie przypominam sobie, co wtedy powiedział, ani nawet czy to ja zastukałem do drzwi, pamiętam natomiast, że zaraz po tym, jak się zamknęły, pochyliła się nade mną kobieta w różowym stroju, która zawsze bardzo mi się podobała, i zapewniła mnie, że mój ojciec napisał wszystkie książki, które przed chwilą widziałem, a ja uwierzyłem jej bez zastrzeżeń.

Jak już wspomniałem, ani memu bratu, ani mnie nie wolno było wchodzić do tego pomieszczenia, ale kiedy nieco podrośliśmy, pan Million zaczął zabierać nas na wycieczki do miejskiej biblioteki. Zazwyczaj czynił to dwa razy w tygodniu i

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

praktycznie tylko przy tej okazji mogliśmy wychodzić z domu. Ponieważ nasz opiekun niechętnie wbijał swoje metalowe, posegmentowane ciało do wynajętych powozów, a żadna lektyka nie pomieściłaby go w swoim wnętrzu (nie wspominając o tym, że tragarze z pewnością nie ruszyliby z miejsca z takim ciężarem), nasze wyprawy odbywały się na piechotę.

Bardzo długo znałem tylko tę część miasta, przez którą wiodła droga do biblioteki: najpierw szliśmy Saltimbanque Street, przy której stał nasz dom, potem skręcaliśmy w trzecią przecznicę w prawo, w rue d'Asticot, prowadzącą na targ niewolników. Biblioteka znajdowała się przy następnej przecznicy. Dziecko nie potrafi jeszcze odróżniać tego, co nadzwyczajne, od tego, co pospolite, i trwa w zawieszeniu między tymi biegunami, poświęcając mnóstwo uwagi zdarzeniom, które dorośli ledwo dostrzegają, jednocześnie z całkowitym spokojem akceptując najbardziej niesamowite zjawiska. Mego brata i mnie fascynowały podrabiane antyki

i podejrzane interesy, z których słynęła rue d'Asticot, nudziły nas natomiast godzinne albo nawet dłuższe postoje, które pan Million urządzał na targu niewolników.

Targ nie był duży, jako że Port-Mimizon nie należał do najważniejszych ośrodków handlu niewolnikami, wielu sprzedających zaś łączyły ze sprzedawanymi nicy nieomal przyjaźni; zdążyli się dobrze poznać podczas wielokrotnych spotkań, kiedy kolejni właściciele pozbywali się nabytków, odkrywając po raz kolejny wciąż te same wady. Pan Million nigdy nie uczestniczył w licytacjach, ale uważnie śledził ich przebieg, nieruchomy jak posąg, podczas gdy my wierciliśmy się niecierpliwie, przeżuwając kromki opiekanego chleba, które kupił nam na straganie. Sprzedawano nosicieli lektyk o mocno umięśnionych nogach; głupawo uśmiechniętych łaziebnych; skutych łańcuchami niewolników przeznaczonych do walki, o oczach zamglonych od środków odurzających albo rozpalonych idiotycznym okrucieństwem; kucharzy i służących oraz wielu innych. Nas to nie ciekawiło, błagaliśmy pana Milliona, żeby pozwolił nam jak najprędzej pójść do biblioteki.

Urządzono ją w przesadnie dużym budynku, w którym za dawnych czasów, kiedy jeszcze mówiło się po francusku, mieściły się rozmaite urzędy. Otaczający go niegdyś park padł ofiarą decyzji skorumpowanych biurokratów, którzy pozwolili zabudować go sklepikami i domami mieszkalnymi. Do głównych drzwi prowadził jedynie wąski przesmyk, ale zaraz po wejściu do środka zetlała świetność pozwalająca zapomnieć o plugawym otoczeniu. Rejestracja znajdowała się bezpośrednio pod wznoszącą się na pięćset stóp kopułą, ku której szczytowi pięły się spiralne schody. Gdyby z tego kamiennego sklepienia odpadł choćby najmniejszy fragment i trafił któregoś z bibliotekarzy, ten ani chybi zginąłby na miejscu.

Pan Million wspinał się dostojnie i powoli, David i ja natomiast pędziliśmy

naprzód na złamanie karku, dzięki czemu szybko oddalaliśmy się od niego na kilka okrążeń i mogliśmy robić, co nam się żywnie podobało. Wydawało mi się wówczas, że skoro mój ojciec (jeśli wierzyć słowom ubranej na różowo kobiety) napisał tyle książek, to przynajmniej część z nich powinna się tu znaleźć, więc wdrapywałem się niestrudzenie na samą górę i tam zaczynałem poszukiwania. Ponieważ bibliotekarze nie przykładali większej wagi do odstawiania woluminów na miejsce, zawsze istniała szansa, że znajdę coś, czego nie było tam poprzednio. Półki wznosiły się wysoko nad

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

moją głową, a kiedy wydawało mi się, że nikt mnie nie obserwuje, wspinałem się po nich jak po drabinie, deptając po książkach tam, gdzie nie było miejsca na tępe noski moich brązowych bucików, a niekiedy nawet zrzucając tomy na podłogę, gdzie leżały do naszej kolejnej wizyty, a nawet dłużej, jako dowód niechęci personelu do fatygowania się wędrówką po tym długim, spiralnym stoku.

Na półkach położonych wyżej panował, jeśli to możliwe, jeszcze większy bałagan niż na tych łatwiej dostępnych; pewnego radosnego dnia dotarłem do najwyższej, bardzo zakurzonej i prawie zupełnie pustej, i znalazłem (oprócz postawionego tam zapewne przez pomyłkę dzieła o astronautyce „Statek długi na milę”, pióra jakiegoś Niemca) tylko opuszczony egzemplarz „Poniedziałku czy czwartku” oparty o książkę traktującą o zabójstwie Trockiego, oraz rozsypujący się tom opowiadań Vernora Vinge'a, który zapewne trafił tam za sprawą pomyłki jakiegoś dawno już nieżyjącego bibliotekarza, który odczytał wyblakły napis na grzbiecie nie jako V.Vinge, lecz Winge.

Co prawda nigdy nie natrafiłem choćby na jedną z książek ojca, ale nie uważałem

za stracone czasu ani wysiłku poświęconego długotrwałym wspinaczkom. Jeśli byłem z Davidem, razem ganialiśmy w tę i z powrotem po pochyłej podłodze albo wychylaliśmy się przez balustradę i obserwowaliśmy powolną wędrówkę pana Milliona, zastanawiając się głośno, czy udałoby się go zniszczyć, zrzucając jakieś opasłe tomiszcze. Jeżeli Davida zainteresowało coś na którymś z niższych poziomów, wędrowałem samotnie aż na samą górę, pod sklepienie kopuły; przycupnąwszy na zardzewiałej metalowej kładce niewiele szerszej od półek, po których się wspinałem (i zapewne znacznie mniej solidnej), otwierałem kolejno okrągłe wywietrzniki w stalowej ścianie. Była na tyle cienka, że bez trudu mogłem wystawić głowę i poczuć się tak, jakbym wyszedł na zewnątrz: twarz chłodziły mi podmuchy wiatru, po niebie krążyły ptaki, w dole rozpościerała się upstrzona ich odchodami krzywizna kopuły.

Na zachodzie widziałem nasz dom - był znacznie wyższy od okolicznych, dodatkowo zaś wyróżniały go rosnące na dachu drzewka pomarańczowe. Na południu wystrzelały w niebo masz ty statków zacumowanych w porcie, a przy szczególnie sprzyjającej pogodzie - oraz o właściwej porze dnia - można było dostrzec grzywacze wywołanego przez Sainte Anne przyływu, wciskające się między cyple półwyspów zwanych Wskazującym i Kciukiem. (Raz, pamiętam to bardzo dobrze, patrząc na południe, ujrzałem gigantyczny gejzer lśniącej w promieniach słońca wody, towarzyszący wodowaniu wracającego z podróży gwiazdolotu). Na wschodzie i północy rozciągało się miasto z wielkim targiem i cytadelą, dalej zaś lasy i góry.

Jednak wcześniej czy później, niezależnie od tego, czy David mi towarzyszył, czy zajmował się swoimi sprawami, pan Million wzywał nas, a następnie prowadził

do któregoś z bocznych skrzydeł budynku, gdzie mieściły się działy naukowe, i zaczynała się lekcja. Ojcu zależało na tym, byśmy gruntownie zapoznali się z biologią, anatomią oraz chemią, i jego życzeniu stało się zadość; pan Million dopiero wtedy uznawał, że opanowaliśmy jakiś temat, kiedy byliśmy w stanie prowadzić dyskusję na każdy temat poruszony we wszystkich książkach umieszczonych w

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

danym dziale. Mnie najbardziej pociągały nauki związane bezpośrednio z życiem, Davida natomiast pasjonowały języki, literatura i prawo, liznęliśmy bowiem nieco wiedzy również z tych dziedzin, a także z antropologii, cybernetyki i psychologii. Jak tylko pan Million wybrał woluminy, z których mieliśmy uczyć się przez kilka najbliższych dni, a my, za jego zresztą namową, dorzuciliśmy jeszcze kilka, zaszywaliśmy się w zacisznym kącie jednej z czytelni, gdzie było wystarczająco dużo miejsca, by mógł zwinąć się na podłodze albo oprzeć o regał, nie blokując przejścia. Lekcja zaczynała się zawsze od sprawdzenia listy obecności; moje imię nieodmiennie padało jako pierwsze.

- Jestem - odpowiadałem niezwłocznie, aby okazać, jak pilnie go słucham.

- David?

- Obecny.

(David ma na kolanach ilustrowane wydanie „Opowieści z Odysei”; trzyma książkę w taki sposób, żeby ukryć ją przed panem Millionem, a sam spogląda na niego z udawanym zainteresowaniem. Na stół, przy którym siedzimy, spływają przez okno promienie słońca, w których tańczą drobinki kurzu).

- Ciekaw jestem, czy zwróciliście uwagę na kamienne narzędzia w sali, przez

którą niedawno przechodziliśmy.

Obaj kiwamy głowami, licząc na to, że odezwie się drugi.

- Czy, waszym zdaniem, zostały wykonane na Ziemi, czy tu, na naszej planecie?

Pytanie jest podchwytliwe, ale łatwe.

- Ani tu, ani tam. Są z plastiku.

Chichoczemy.

- Owszem, to plastikowe kopie - odpowiada cierpliwie pan Million - ale gdzie powstały oryginały?

Na jego twarzy, tak podobnej do twarzy naszego ojca (choć ja wówczas uważałem, że należy wyłącznie do niego, i odczuwałem dreszcz niepokoju za każdym razem, kiedy widywałem ją gdzie indziej niż na ekranie), nie sposób było dostrzec żadnych emocji.

- Na Sainte Anne - mówi David. Sainte Anne tworzy z naszą planetą układ podwójny; obie planety obracają się wokół siebie, wirując jednocześnie wokół słońca. - Tak napisali na kartce. Poza tym narzędzia zrobili aborygeni, a tutaj ich nie było.

Pan Million kiwa głową i zwraca ku mnie niewzruszoną twarz.

- Czy uważasz, że te kamienne wyroby odgrywały ważną rolę w życiu ich twórców? Odpowiedz „nie”.

- Nie.

- Dlaczego?

Myślę intensywnie. David, zamiast mi pomóc, kopie mnie pod stołem. Wreszcie coś mi świta.

- To przecież oczywiste. - Zawsze dobrze jest od tego zacząć, nawet jeżeli „to”

nie wydaje wam się nawet prawdopodobne. - Po pierwsze, te narzędzia z pewnością nie były zbyt użyteczne, więc dlaczego aborygeni mieliby się nimi posługiwać? Ktoś może powiedzieć, że potrzebowali obsydianowych grotów i kościanych haczyków do

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

zdobywania pożywienia, ale to nieprawda. Mogli przecież zatruć wodę sokami roślin, a dla istot na tak niskim szczeblu rozwoju najlepszym sposobem łowienia ryb jest budowa grobli albo korzystanie z sieci uplecionych z rzemieni lub pnączy. Również chwytanie zwierząt w pułapki dałoby znacznie lepsze efekty niż polowanie.

Kamienne narzędzia są zupełnie zbędne przy zbieraniu jagód i korzonków, które zapewne stanowiły główny składnik pożywienia; te przedmioty trafiły do gablot głównie dlatego, że sieci zgniły, a po groblach nie został najmniejszy ślad, więc ludziom, którzy zarabiają na życie szukając śladów przeszłości, nie pozostało nic innego jak udawać, że właśnie one były najważniejsze.

- Dobrze. Teraz ty, Davidzie. Proszę, wysił się na oryginalność i nie powtarzaj tego, co przed chwilą usłyszałeś.

David odrywa się od książki i mierzy nas obu nieprzychylnym spojrzeniem.

- Gdybyście ich zapytali, powiedzieliby wam, że najważniejsze były ich magia i religia, pieśni i tradycyjne obrzędy. Zabijali zwierzęta ofiarne muszlami o krawędziach ostrych jak brzytwa, pozwalali mężczyźnie splodzić dziecko, dopiero kiedy przeszedł próbę ognia, po której często zostawał kaleką do końca życia.

Współżyli z drzewami i topili dzieci, by oddać cześć rzece. Tylko to się dla nich liczyło.

Pan Million, pozbawiony głowy i szyi, skinął samą twarzą.

- A teraz zajmiemy się kwestią człowieczeństwa aborygenów. Ty pierwszy,

Davidzie. Jesteś przeciw.

(Teraz ja próbuję go kopnąć, ale albo podkulił swoje kościste piegowate nogi, albo schował je za nogami krzesła, co jest naruszeniem reguł gry).

- Koncepcja człowieczeństwa - mówi najbardziej pogardliwym tonem, na jaki go stać - od zarania dziejów ludzkości zakłada, że wszyscy ludzie wywodzą się ze wspólnego pnia, który dla wygody możemy nazwać Adamem, czyli od ziemskiego wzorca. Jeśli tego nie widzicie, jesteście idiotami.

Czekam, co będzie dalej, ale on już skończył.

- Panie Million - mówię, żeby dać sobie czas do namysłu - proszę mu powiedzieć, żeby mnie nie przezywał. To ma być dyskusja, a nie kłótnia.

- Bez osobistych wycieczek, Davidzie - upomina go pan Million.

David już zerka na obrazek przedstawiający cyklopa Polifema i Odyseusza, w nadziei że odpowiedź zajmie mi dużo czasu. Uznaję to za wyzwanie i postanawiam mu sprostać.

- Teoria, według której wszyscy ludzie wywodzą się z Ziemi, nie jest ani wystarczająco udokumentowana, ani przekonująca, ponieważ nie sposób wykluczyć, iż aborygeni z Sainte Anne byli potomkami osadników ze znacznie wcześniejszej fali ekspansji, być może nawet sprzed czasów Homera.

- Na twoim miejscu skoncentrowałbym się na argumentach mocniej osadzonych w rzeczywistości - upomina mnie łagodnie pan Million, lecz ja, niezrażony, rozwodzę się o Etruskach, Atlantydzie oraz ekspansjonistycznych zapędach hipotetycznej cywilizacji Gondwany. - Teraz odwracamy role - oznajmia pan Million, kiedy wreszcie kończę. - Davidzie, teraz jesteś za, ale proszę, spróbuj się nie

powtarzać.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Mój brat, rzecz jasna, w ogóle mnie nie słuchał, tak bardzo zajęty był książką, więc kopię go radośnie w kostkę, pewien, że nie wykrztusi ani słowa, on jednak mówi jakby nigdy nic:

- Aborygeni są ludźmi, ponieważ wszyscy nie żyją.

- Wyjaśnij to.

- Gdyby żyli, byłoby niebezpiecznie uznać ich za ludzi, bo wtedy na pewno zaczęliby się czegoś domagać, ponieważ jednak nie żyją, jako ludzie stają się znacznie bardziej interesujący, a osadnicy wybili ich do nogi.

I tak dalej, i tak dalej. Plama słonecznego blasku po raz setny przemierza blat stołu, czerwony w czarne smugi. Później wychodzimy bocznymi drzwiami i przemierzamy zaniedbany teren między dwoma skrzydłami budowli. Walają się tu puste butelki i strzępy papierów, raz zaś znaleźliśmy także trupa w kolorowych łachmanach; my przeskoczyliśmy nad jego nogami, pan Million natomiast ominął go w milczeniu. Kiedy już docieramy do wąskiej uliczki, dźwięki sygnalówek z garnizonu w cytadeli (wydaje się, że dobiegają nie wiadomo z jak daleka) zaczynają wzywać żołnierzy na wieczorny posiłek. Na rue d'Asticot pracuje już zapalacz ulicznych lamp, sklepowe drzwi i wystawy skryły się za metalowymi żaluzjami. Chodniki, z których jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znikły używane meble, wydają się nienaturalnie szerokie i puste.

Nasza Saltimbanque Street, gdzie docierają już pierwsi nocni hulacy, wygląda całkiem inaczej. Siwowłosi zażywni mężczyźni prowadzą chłopców przystojnych,

umięśnionych, ale odrobinę zanadto utuczonych. Chłopcy żartują nieśmiało i uśmiechają się do opiekunów, odsłaniając olśniewająco białe, równe zęby. Ci zawsze zjawiali się najwcześniej; kiedy nieco podrosłem, zastanawiałem się czasem, czy działa się tak dlatego, że siwowłosi mężczyźni co prawda pragnęli zaznać rozkoszy, ale jednocześnie ani myśleli rezygnować z nocnego wypoczynku, czy może zdawali sobie sprawę, iż chłopcy, których przyprowadzali do przybytku mego ojca, po północy staną się grymaśni i niespokojni, jak dzieci, którym nie pozwolono w porę pójść spać.

Ponieważ pan Million nie chciał, byśmy po zmroku zapuszczali się w boczne alejki, wchodziliśmy frontowymi drzwiami, razem z siwowłosymi mężczyznami oraz ich siostrzeńcami i synami. Znajdował się tam ogród, nie większy od małego pokoju, nieco ukryty we wnęce we frontowej ścianie domu. Rosły w nim paprocie w kępach wielkości nagrobków, była też fontanna, z której woda spływała po szklanych prętach, aby wydawać przyjemny dla ucha szmer (pręty te stanowiły obiekt pożądania ulicznych złodziejasków, więc trzeba było ich bacznie strzec), oraz żelazny posąg trójgłowego psa z łapami mocno wbitymi w ziemię, a raczej w mech. Chyba właśnie ze względu na ten posąg nasz dom znany był powszechnie jako *Maison du Chien*, choć może w ten sposób nawiązywano także do naszego nazwiska. Trzy głowy, mimo że ze smukłymi pyskami, sprawiały wrażenie bardzo silnych; jedna szczyrzyła zęby, środkowa przyglądała się ogrodowi i ulicy z wyrozumiałym zainteresowaniem, trzecia natomiast, ta od strony wysypanej ceglany miatem ścieżki wiodącej do drzwi, lekko się uśmiechała. Klienci ojca tak często poklepywali ją między sterczącymi uszami, że w tym miejscu zrobiła się gładka jak czarne szkło.

Gene Wolfe

Tak oto wyglądał mój świat przez siedem długich lat naszej planety, a może nawet przez kolejne pół roku. Za dnia większość czasu spędzałem w niedużej klasie pod okiem pana Milliona, wieczory natomiast w sypialni, gdzie bawiłem się lub walczyłem z Davidem, zawsze w zupełnej ciszy. Jedyne urozmaicenie stanowiły wycieczki do biblioteki - takie jak ta, którą opisałem - lub, niezwykle rzadko, w jakieś inne miejsce. Od czasu do czasu rozchylałem gałęzie armatnicy i obserwowałem dziewczęta przechadzające się po dziedzińcu z klientami albo przysłuchiwałem się rozmowom dobiegającym z ogrodu na dachu, nie interesowało mnie jednak zbytnio ani to, co robili, ani o czym rozmawiali. Wiedziałem, że wysoki mężczyzna o pociągłej twarzy, który rządził domem, zwany przez służbę i dziewczęta „Maitre”, to mój ojciec. Wiedziałem też od zawsze, że gdzieś przebywa przerażająca kobieta (służba drżała na samą wzmiankę o niej) zwana „Madame”, ale nie jest ona moją matką ani matką Davida, ani też żoną naszego ojca.

Życie to, a wraz z nim moje dzieciństwo - przynajmniej to wczesne - skończyło się pewnego wieczoru, krótko po tym jak David i ja zasnęliśmy wreszcie, zmęczeni zapasami i toczoną bez słów dyskusją. Ktoś obudził mnie, potrząsając za ramię i powtarzając moje imię; nie był to pan Million, lecz jeden ze służących, osobisty kamerdyner ojca, garbaty starzec w wyświechtanym czerwonym fraku.

- Chce cię widzieć - poinformował mnie. - Wstawaj.

Uczyniłem to, a on zobaczył, że jestem w piżamie. Z pewnością nie otrzymał żadnych wskazówek dotyczących stroju, w jakim mam się zjawić, ponieważ zastanawiał się dość długo, podczas gdy ja raz po raz ziewałem rozdzierająco, aż

wreszcie podjął decyzję.

- Ubierz się - polecił. - I uczesz.

Zrobiłem, co mi kazał: włożyłem czarne aksamitne spodnie, które miałem na sobie poprzedniego dnia, oraz (tknięty przecuciem) świeżą koszulę. Zaraz potem służący zaprowadził mnie (szliśmy krętymi korytarzami, z których znikli już ostatni klienci, a także takimi, o posadzkach zapaskudzonych szczurzymi odchodami, do których klienci nie mieli dostępu) do biblioteki mego ojca. Był to ten sam pokój z wielkimi rzeźbionymi drzwiami, przed którymi usłyszałem szeptane wyznanie kobiety w różowej sukni. Nigdy nie byłem wewnątrz; jak tylko mój przewodnik zapukał dyskretnie, drzwi się otworzyły i znalazłem się w środku, niemal zanim zdołałem się zorientować, co się dzieje.

Ojciec zamknął za mną drzwi, przeszedł w najodleglejszy kąt pokoju i usiadł w rozłożystym fotelu. Miał na sobie czerwony szlafrok i czarną apaszkę - strój, w którym najczęściej go widywałem; długie, mocno przerzedzone włosy zaczesał do tyłu. Przyglądał mi się, a ja pamiętam, że drżały mi usta i musiałem bardzo się starać, żeby nie wybuchnąć płaczem.

- A więc jesteś - przemówił wreszcie. - Jak mam się do ciebie zwracać?

Powiedziałem, jak się nazywam, ale on pokręcił głową.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

- Musisz mieć jeszcze jedno imię. Takie, którego nie będzie znał nikt poza nami dwoma. Możesz je sobie sam wybrać, jeśli masz ochotę.

Milczałem. Wydawało mi się zupełnie nieprawdopodobne, żebym mógł nosić jeszcze jakieś imię, inne niż te dwa słowa, które w jakiś przedziwny i zupełnie dla

mnie niezrozumiały sposób stały się właśnie moim imieniem.

- W takim razie ja ci je wybiorę - oświadczył ojciec. - Jesteś Numerem Piątym.

Podejdź tu, Numerze Piąty.

Stałem przed nim, a on powiedział:

- Teraz zagramy w pewną grę. Pokażę ci kilka obrazków, a ty przez cały czas musisz mówić, rozumiesz? Masz mówić o obrazkach. Jeśli nie umilknieś ani na chwilę, wygrasz, ale jeżeli przestaniesz mówić choćby na sekundę, przegrasz. Czy to jasne?

Odparłem, że tak.

- To dobrze. Wiem, że jesteś bystrym chłopcem. Prawdę mówiąc, pan Million przekazał mi wyniki wszystkich twoich egzaminów oraz nagrania waszych rozmów. Czy wiedziałeś, że rejestruje każde twoje słowo? A jeśli tak, to zastanawiałeś się, co robi później z taśmami?

Pochlebilo mi wtedy, że ojciec w oczekiwaniu na moje słowa aż pochylił się do przodu w fotelu.

- Myślałem, że je wyrzuci.

- Nie, mam je tutaj. - Nacisnął wyłącznik. - Pamiętaj, że nie wolno ci zamilknąć.

Przez parę chwil byłem za bardzo zafascynowany, żeby mówić. W pokoju, jak za sprawą czarów, pojawili się sporo ode mnie młodszy chłopiec oraz żołnierz z malowanego drewna prawie dorównujący mi wzrostem. Kiedy wyciągnąłem rękę, żeby ich dotknąć, moje palce przeszły przez nich jak przez powietrze.

- Powiedz coś - ponaglił mnie ojciec. - O czym teraz myślisz, Numerze Piąty?

Oczywiście myślałem o żołnierzu, podobnie zresztą jak mały chłopiec, najwyżej trzylatek. Przeszedł na czworakach przez moją rękę, jakby był z mgły, i spróbował go

przewrócić.

To były hologramy - trójwymiarowe obrazy powstające w wyniku interferencji dwóch fal świetlnych; na obrazkach w moim podręczniku fizyki, przedstawiających figury szachowe, wyglądały blado i nieciekawie, musiało więc minąć trochę czasu, zanim skojarzyłem sobie tamte ilustracje z fantomami, które nocą pojawiały się w bibliotece ojca.

- Mów! - powtórzył. - Powiedz coś! Jak ci się wydaje, co czuje teraz chłopiec?

- Drewniany żołnierz bardzo mu się podoba, ale mimo to chętnie by go

przewrócił, bo chociaż to tylko zabawka, jednak żołnierz jest większy od niego, więc...

Mówiłem w ten sposób bardzo długo, chyba godzinami, scena zaś zmieniała się bez przerwy. Żołnierza zastąpił kucyk, potem królik, później posiłek składający się z zupy i sucharów, ale centralną postacią wciąż pozostawał trzyletni chłopiec. Kiedy przyszedł zaspany garbus w czerwonym fraku, by zaprowadzić mnie z powrotem do łóżka, schryplem tak bardzo, że mogłem już tylko szeptać, i bolało mnie gardło. Tej nocy we śnie widziałem chłopczyka, jak rozpoczyna jakąś czynność, by niemal

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

natychmiast porzucić ją dla następnej, a potem dla jeszcze następnej, ale jego osobowość w jakiś przedziwny sposób wymieszała się z osobowością moją i mego ojca, tak że jednocześnie byłem obserwowanym, obserwującym oraz obserwatorem drugiego, wyższego rzędu.

Następnego wieczoru zasnąłem niemal od razu po tym, jak pan Million posłał nas do łóżek; ledwo zdążyłem pogratulować sobie trafności tej decyzji, kiedy obudziło

mnie pojawienie się garbusa. Tym razem jednak przyszedł nie po mnie, lecz po Davida. Udając, że wciąż śpię (zaświtało mi bowiem podejrzenie, wówczas całkiem usprawiedliwione, iż gdyby się przekonał, że ja także się obudziłem, zabrałby nas obu), obserwowałem ukradkiem, jak mój brat się ubiera i usiłuje choć trochę uporządkować zmierzwione jasne włosy. Kiedy wrócił, ja już słodko spałem, tak więc mogłem go wypytać dopiero wtedy, gdy pan Million zostawił nas samych przy śniadaniu. Zacząłem od tego, że zrelacjonowałem mu swoje przeżycia z poprzedniej nocy, on zaś powiedział mi, że jego niczym się prawie nie różniły. Oglądał te same holograficzne obrazki i również musiał bez przerwy mówić, zupełnie jak podczas debat aranżowanych przez pana Milliona. O ile mogłem stwierdzić, jego nocne spotkanie różniło się od mojego tylko jednym szczegółem; wyszło to na jaw w chwili, kiedy zapytałem go, jakie imię nadał mu ojciec.

Znieruchomiał z grzanką w połowie drogi do ust i spojrzał na mnie ze zdziwieniem. Postanowiłem inaczej sformułować pytanie.

- Jak zwracał się do ciebie ojciec?

- Jak to, jak? Oczywiście „Davidzie”!

Wkrótce potem zaczęło się zmieniać moje życie; pozornie tymczasowe zmiany niepostrzeżenie zadomowiły się na dobre, bez mojej i Davida wiedzy tworząc coś całkiem nowego. Przestaliśmy toczyć milczące bitwy i opowiadać sobie gestami najróżniejsze historie, mój brat coraz rzadziej robił piszczałki z gałązek armatnicy, pan Million pozwalał nam coraz później kłaść się do łóżek - krótko mówiąc, dyskretnie dawano nam do zrozumienia, że dorośliśmy. Mniej więcej w tym właśnie czasie pan Million zaczął zabierać nas do parku, gdzie można było ćwiczyć się w strzelaniu z łuku i uprawiać rozmaite sporty. Ten niewielki park, położony w pobliżu

naszego domu, z jednej strony graniczył z kanałem. Siadywałem często na brzegu i wpatrywałem się w lustro nieco tylko zanieczyszczonej wody, podczas gdy David przeszywał strzałami gęś wypchaną słomą lub grał w tenisa, albo czekałem na któryś z białych statków - ogromnych, z dziobami ostrymi jak dzioby zimorodków i czterema, pięcioma, a niekiedy nawet siedmioma masztami - które czasem docierały aż tutaj, ciągnięte przez dziesięć lub dwanaście par wołów.

Latem w jedenastym albo dwunastym roku mego życia (wydaje mi się, że jednak w dwunastym) po raz pierwszy pozwolono nam zostać w parku po zachodzie słońca, usiąść na trawiastym brzegu kanału i podziwiać pokaz ogni sztucznych. Jeszcze nie zgasły pierwsze flary, które zapłonęły pół mili nad miastem, kiedy Davida chwyciły torsje. Wbiegł do wody i zaczął gwałtownie wymiotować, podczas gdy w górze eksplodowały olśniewające, białe i czerwone gwiazdy. Pan Million wziął go na ręce i jak tylko biedny David skończył, pospieszyliśmy do domu.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Co prawda jego choroba okazała się równie nietrwała jak nieświeża kanapka, która była jej przyczyną, niemniej jednak nasz opiekun postanowił zapakować go do łóżka. Nie chciałem stracić reszty spektaklu, którego fragmenty ukazywały nam się w drodze powrotnej w przerwach między budynkami; zabroniono nam wychodzić po zmroku na dach, ale ja doskonale wiedziałem, gdzie są najbliższe schody.

Podniecenie towarzyszące wyprawie w zakazany świat cieni i liści, zwieńczony eksplodującymi raz po raz kaskadami złota, czerwieni i jaskrawego fioletu, sprawiło, że czułem się jak po ustąpieniu wysokiej gorączki: łapałem powietrze płytkimi łykami, a moim ciałem wstrząsały dreszcze, choć przecież był środek lata.

Na dachu przebywało znacznie więcej ludzi, niż spodziewałem się tam ujrzeć: mężczyźni bez płaszczy, kapeluszy i lasek (wszystkie zostały w szatni) oraz dziewczyny, pracownice mego ojca, w kostiumach, które albo odsłaniały ich piersi zamknięte jakby w klatkach z cienkiego, powyginanego drutu, albo takich, które na pozór czyniły je niezmiernie wysokimi (złudzenie pryskało dopiero wtedy, kiedy stanęło się tuż przy nich). Twarze i piersi dziewcząt odbijały się w błyszczących sukniach jak drzewa w stojącej wodzie, przez co te młode osoby wyglądały chwilami jak postaci z talii kart do tarota.

Byłem zanadto podekscytowany, żeby się skutecznie ukryć, lecz choć wszyscy mnie widzieli, nikt nie kazał mi wracać. Zapewne doszli do wniosku, że pozwolono mi wyjść na dach, bym mógł obejrzeć fajerwerki.

Pokaz trwał bardzo długo. Zapamiętałem pewnego klienta otyłego mężczyznę o kwadratowej, głupiej twarzy, przypuszczalnie kogoś ważnego - który myślał tylko o tym, by jak najprędzej zaznać rozkoszy w ramionach swojej towarzyszki, a ponieważ ta nie zamierzała rezygnować z oglądania pokazu, ustawiono wokół nich dwadzieścia albo trzydzieści donic z roślinami, tworząc coś w rodzaju zacisznej alkowy.

Pomagałem służącym przenosić mniejsze donice, kiedy zaś operacja dobiegła końca, zdołałem niepostrzeżenie wślizgnąć się za roślinny parawan. Dzięki temu mogłem obserwować nie tylko sztuczne ognie, ale również otyłego klienta i jego *nymphe du bois*, która, nawiasem mówiąc, znacznie więcej uwagi niż jego staraniom poświęcała rozkwitającym na niebie ognistym pióropuszm.

Jeśli dobrze pamiętam, kierowała mną nie lubieżność, lecz najzwyczajsza ciekawość. Byłem w wieku, kiedy dręczy nas żądza poznania, lecz żądza ta ma podłoże niemal naukowe. Moja została prawie całkowicie zaspokojona, zanim ktoś

chwycił mnie za kołnierz i jednym szarpnięciem wyciągnął z krzaków.

Kiedy znalazłem się po drugiej stronie żywopłotu, uchwyt zelżał, a ja odwróciłem się, pewien, że ujrzę pana Milliona. Pomyliłem się jednak; przede mną stała niewysoka siwowłosa kobieta w czarnej sukni opadającej od talii prosto ku ziemi. Chyba jej się ukloniłem, od razu bowiem widać było, że nie należy do służby, ona jednak nie zareagowała, tylko przyglądała mi się z takim wyrazem twarzy, jakby równie dobrze widziała podczas rozbłysków różnokolorowych świateł, co i w rozdzielających je okresach niemal całkowitej ciemności. Wreszcie, na koniec pokazu, w niebo wzbiła się z rykiem potężna rakietą, ciągnąc za sobą smugę ognia, i dopiero wtedy kobieta na chwilę oderwała ode mnie wzrok. Jak tylko pocisk eksplodował fiołkoworóżową orchideą niewiarygodnych rozmiarów i jasności, ta

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

nieduża, ale groźna osoba złapała mnie ponownie za kołnierz i poprowadziła w kierunku schodów.

Dopóki znajdowaliśmy się na wyłożonym gładkimi kamiennymi płytami dachu, kobieta nie szła, lecz zdawała się ślizgać po powierzchni, niczym wykonana z onyksu szachowa figura po wypolerowanej szachownicy. Mimo to, co później się wydarzyło, tak właśnie ją zapamiętałem: jako Czarną Królową, ani złą, ani dobrą, czarną tylko dlatego, żeby można było jakoś odróżnić ją od Białej Królowej, której nigdy nie zdarzyło mi się spotkać.

Na schodach już się nie ślizgała, tylko kołysała łagodnie, przy czym skraj jej sukni stykał się na chwilę z każdym stopniem, jakby nieduży korpus poruszał się według tej samej zasady co łódka walcząca z prądem w przełomach rzeki: gwałtowny

skok naprzód, wyhamowanie, niekiedy nawet chwilowe cofnięcie.

Utrzymywała równowagę tylko dzięki temu, że jedną ręką trzymała mnie za ramię, drugą zaś uczepliła się ramienia pokojówki, która czekała na nas u szczytu schodów. Na dachu przypuszczałem, iż nadzwyczaj płynne ruchy siwowłosej kobiety wynikają z tego, że porusza się drobnymi, za to szybkimi krokami, teraz jednak domyśliłem się, że mam do czynienia z osobą nie do końca sprawną fizycznie; gdyby nie pomoc moja i pokojówki, najprawdopodobniej runęłaby w dół jak worek kamieni. Zaraz po dotarciu na pierwszy podest znowu zaczęła sunąć jak po lodzie.

Skinieniem głowy odprawiła pokojówkę, a następnie poprowadziła mnie korytarzem w kierunku odwrotnym do tego, w jakim znajdowały się nasza sypialnia i sala lekcyjna, aż do kolejnej klatki schodowej daleko w głębi domu. Z tych kręconych, stromych schodów mało kto korzystał - być może dlatego, że przed upadkiem z dużej wysokości chroniła tylko niska żelazna balustrada. Dopiero tam kobieta uwolniła mnie z uchwytu i szorstkim tonem poleciła iść na dół. Po kilku stopniach odwróciłem się, by sprawdzić, jak sobie radzi, i stwierdziłem, że co prawda podąża za mną, ale wcale nie korzysta ze schodów, tylko opuszcza się powoli, niczym nie podtrzymywana, w pustej przestrzeni między wijącymi się spiralnie stopniami. Tak zdumiał mnie ten widok, że przystanąłem, a wtedy ona gniewnym ruchem głowy nakazała mi iść dalej. Popędziłem na złamanie karku, lecz siwowłosa kobieta bez trudu za mną nadążała, zawsze zwrócona do mnie twarzą, zaskakująco przypominającą twarz mego ojca. Na pierwszym piętrze bez trudu wyprzedziła mnie, złapała tak jak kotka łapie zbyt przedsiębiorczego kociaka i poprowadziła przez pokoje i korytarze, do których nigdy do tej pory nie wolno mi było wchodzić, aż wreszcie zupełnie straciłem orientację i czułem się tak, jakbym był w zupełnie obcym

budynku. Wreszcie zatrzymaliśmy się przed drzwiami niczym nie różniącymi się od pozostałych. Kobieta otworzyła je staroświeckim mosiężnym kluczem i dała mi znak, bym wszedł do środka.

Pokój był rzęsiście oświetlony, dzięki czemu zobaczyłem wyraźnie to, co podejrzewałem już od jakiegoś czasu: skraj czarnej sukni niezmiennie dzieliła od podłogi odległość dwóch cali, a między nią a posadzką było tylko powietrze.

Kobieta wskazała mi nieduży taboret przykryty koronką.

- Siadaj - poleciła.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Kiedy to uczyniłem, podpłynęła do bujanego fotela o wysokim oparciu i zajęła w nim miejsce twarzą do mnie.

- Jak masz na imię? - zapytała po pewnym czasie. Powiedziałem jej, ona zaś uniosła brew i wprawiła fotel w ruch, odepchnąwszy się ręką od stojącej tuż obok lampy. - A jak on cię nazywa?

- On?

Przypuszczam, że moje otępienie wynikało z niewyspania.

- Mój brat - wycedziła przez zaciśnięte usta.

Uspokoiłem się nieco.

- A więc jest pani moją ciotką. Tak mi się wydawało, że jest pani do niego podobna. Ojciec nazywa mnie Numerem Piątym.

Przez jakiś czas przyglądała mi się w milczeniu z opuszczonymi kącikami ust.

Taki sam grymas widywałem na twarzy ojca.

- Ten numer jest albo stanowczo za niski, albo zdecydowanie za wysoki -

powiedziała wreszcie. - Jeśli brać pod uwagę tylko żywych, to jesteśmy on i ja, ale zapewne uwzględnił też symulator.

Czy masz siostrę. Numerze Piąty?

Pan Million zmusił nas do przeczytania „Dawida Copperfielda”; skojarzenie z ciotką Betsey Trotwood było tak silne i niespodziewane, że parsknąłem śmiechem.

- Nie widzę w tym nic zabawnego. Twój ojciec ma siostrę, więc czemu ty nie mógłbyś jej mieć? No więc, masz czy nie?

- Nie, proszę pani, ale mam brata. Nazywa się David.

- Mów do mnie „ciociu Jeannine”. Czy David jest do ciebie podobny. Numerze Piąty?

Pokręciłem głową.

- Włosy ma jasne i kręcone, nie takie jak ja. Może trochę mnie przypomina, ale nie za bardzo.

- Przypuszczalnie posłużył się którąś z moich dziewcząt... - wyszeptała tak cicho, że z trudem ją usłyszałem.

- Proszę?

- Czy wiesz, kim była matka Davida?

- Jesteśmy braćmi, więc zapewne była też moją matką, ale pan Million mówi, że wyjechała stąd dawno temu.

- Nie była twoją matką. Jeżeli chcesz, mogę pokazać ci zdjęcie twojej matki. -

Zadzwoniła, chwilę potem nadbiegła służąca, dygnęła głęboko, wysłuchała wydanego szeptem polecenia i szybko wyszła. Ciotka ponownie spojrzała na mnie i zapytała: - Co właściwie robisz całymi dniami. Numerze Piąty, oprócz urządzania wycieczek na dach, gdzie nikt cię nie prosił? Uczysz się czegoś?

Opowiedziałem jej o moich eksperymentach (pobudzałem niezapłodnione żabie jaja do rozwoju, po czym za pomocą substancji chemicznych duplikowałem chromosomy, dzięki czemu powstawało kolejne bezpłciowe pokolenie) oraz o sekcjach, do których przeprowadzania zachęcał mnie pan Million. Mimochodem rzuciłem jakąś uwagę na temat, że warto byłoby zbadać w ten sposób jakiegoś aborygena z Sainte Anne, naturalnie gdyby choć jeden ocalał, ponieważ opisy

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

pozostawione przez badaczy ogromnie różnią się między sobą, wśród pierwszych osadników zaś byli i tacy, którzy twierdzili, że tubylcy potrafią dowolnie zmieniać kształty.

- A więc wiesz o nich - powiedziała moja ciotka. - Pozwól, że sprawdzę twoją wiedzę, Numerze Piąty. Co to takiego hipoteza Veila?

Uczyliśmy się o niej już parę lat wcześniej, więc odpowiedziałem gładko:

- Zgodnie z hipotezą Veila, aborygeni posiadli zdolność doskonałego udawania ludzi. Veil przypuszczał, że tubylcy wymordowali wszystkich, którzy przybyli z Ziemi pierwszymi statkami, a następnie zajęli ich miejsce, z czego wynika, że to nie oni wyginęli, tylko my.

- Masz zapewne na myśli ludzi z Ziemi - wtrąciła ciotka. - Prawdziwych ludzi.

- Słucham?

- Jeżeli Veil miał rację, to ty i ja jesteśmy aborygenami z Sainte Anne, przynajmniej z pochodzenia. To chyba chciałeś powiedzieć. Myślisz, że jego teoria jest słuszna?

- Myślę, że to nie ma żadnego znaczenia. Według niego imitacja była doskonała,

z czego wynika, że niczym się od nich nie różnimy.

Wydawało mi się, że jestem sprytny, lecz moja ciotka tylko się uśmiechnęła i zaczęła się bujać jeszcze energiczniej. W niedużym, jasno oświetlonym pokoju było bardzo ciepło.

- Numerze Piąty, jesteś jeszcze za młody na słowne igraszki, a poza tym obawiam się, że zmyliło cię użyte przez doktora Veila określenie „doskonała”.

Jestem pewna, iż nie rozumiał go tak dosłownie jak ty, tym bardziej że gdyby imitacja istotnie miała być stuprocentowo wierna, tubylcy musieliby utracić swoją zdolność mimikry, bo przecież my, ludzie, jej nie posiadamy.

- Więc może ją utracili?

- Moje drogie dziecko, wszystkie umiejętności muszą mieć czas, żeby się rozwinąć, a kiedy to już nastąpi, muszą być wykorzystywane, w przeciwnym razie bowiem ulegają atrofii. Jeśli aborygeni posiadliby umiejętność mimikry w tak doskonałym stopniu, żeby ją potem utracić, oznaczałoby to ich koniec i z pewnością nastąpiłoby na długo przed przybyciem statków z kolonistami. Nie mamy jednak żadnych dowodów na to, że tak było. Po prostu wyginęli, zanim zdążyliśmy ich dokładniej poznać, Veil zaś, który zapragnął w dramatyczny sposób wyjaśnić otaczające go okrucieństwo i absurd, oparł swoją teorię na wyjątkowo kruchych podstawach.

Uznałem, że ostatnia uwaga (szczególnie w kontekście przyjaznego, jak do tej pory, nastawienia ciotki) stanowi doskonały pretekst do zapytania ją o niezwykle sposób, w jaki się porusza, zanim jednak zdołałem sformułować pytanie, przerwały nam równocześnie dwa wydarzenia: wróciła służąca z wielką księgą oprawioną w tłoczoną skórę i rozległo się pukanie do drzwi.

- Otwórz - powiedziała ciotka obojętnym tonem.

Ponieważ nie sprecyzowała, do kogo się zwraca, skwapliwie skorzystałem z okazji, by przynajmniej w ten sposób zaspokoić dręczącą mnie ciekawość, zerwałem się z taboretu i pobiegłem do drzwi.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

W korytarzu stały dwie kurtyzany mego ojca, ubrane i umalowane tak, że wyglądały bardziej obco od wszystkich aborygenów razem wziętych, nieruchome jak lombardzkie topole i nieludzkie jak upiory, z zielonymi i żółtymi oczami sprawiającymi wrażenie, że są większe od jaj, i nadmuchanymi piersiami wypchniętymi w górę niemal na wysokość barków. Choć nie dały tego po sobie poznać, doskonale wiedziałem, że zaskoczył je mój widok, i było mi z tego powodu bardzo przyjemnie. Dałem znak, żeby weszły, ale kiedy służąca zamknęła za nimi drzwi, ciotka rzuciła od niechcienia:

- Chwileczkę, dziewczęta. Ten chłopiec zaraz sobie pójdzie, ale chcę mu jeszcze coś pokazać.

Tym czymś była fotografia wykonana - jak mi się zdawało - za pomocą jakiejś specjalnej techniki, która pozbawiała zdjęcie wszystkich kolorów z wyjątkiem spłowiałego, przesyconego żółcią brązu. Była nieduża i, sądząc z wyglądu, bardzo stara. Przedstawiała dziewczynę w wieku około dwudziestu pięciu lat, szczupłą i (o ile mogłem stwierdzić) dość wysoką, z dzieckiem na ręku, stojącą na wyłożonej kamiennymi płytami ścieżce obok krępego młodego mężczyzny. Ścieżka biegła wzdłuż niezwykłego domu - parterowego, bardzo długiego, zbudowanego z drewna, z mnóstwem werand i ganków rozmieszczonych w równych odstępach, tak że można

było odnieść wrażenie, iż to nie jeden duży dom, lecz kilkanaście małych, stykających się bocznymi ścianami. Wspominam o tym szczególe, na który wówczas ledwo zwróciłem uwagę, ponieważ od chwili uwolnienia z więzienia poświęciłem mnóstwo czasu na poszukiwanie jakichkolwiek pozostałości tego budynku. Gdy po raz pierwszy pokazano mi fotografię, moją uwagę przykuły twarze dziewczyny i dziecka. Ta druga była prawie niewidoczna, ponieważ dziecko szczelnie owinięto w białe koce, dziewczyna natomiast miała wyraziste rysy i uśmiechała się szeroko z wdziękiem stanowiącym rzadko spotykane połączenie beztroski, marzycielstwa i przebiegłości. W pierwszej chwili pomyślałem, że to Cyganka, ale miała zbyt jasną cerę. Ponieważ wszyscy jesteśmy potomkami stosunkowo nielicznej grupki kolonistów, tworzymy dość jednolitą populację, mnie jednak udało się zdobyć nieco wiedzy na temat ras zamieszkujących Ziemię, więc po krótkim zastanowieniu nabrałem graniczącego z pewnością przekonania, że w żyłach dziewczyny płynie celtycka krew.

- Walia - powiedziałem. - Albo Szkocja. Albo Irlandia.

- Co takiego? - zdziwiła się ciotka, a jedna z dziewcząt zachichotała. Siedziały z założonymi długimi nogami, które wyglądały jak smukłe, wypolerowane drzewca sztandarów.

- Nieważne.

Zmierzyła mnie przenikliwym spojrzeniem, a następnie powiedziała:

- Masz rację. Poślę po ciebie, żebyśmy o tym porozmawiali, kiedy oboje będziemy mieli więcej czasu. Teraz służąca odprowadzi cię do pokoju.

Nic nie pamiętam z długiej powrotnej wędrówki do sypialni, którą odbyłem w towarzystwie służącej, ani nawet tego, w jaki sposób tłumaczyłem się przed panem

Millionem, nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że przejrzał moje wymówki

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

albo też dowiedział się prawdy od służby, ciotka bowiem nigdy już nie wezwała mnie do siebie, choć przez wiele tygodni oczekiwałem jakiegoś sygnału.

Tej nocy (tak mi się przynajmniej wydaje) śniłem o aborygenach z Sainte Anne, tańczących w odświętnych strojach z kępek świeżej trawy, potrząsających wiklinowymi tarczami i włóczniami o nefrytowych ostrzach, aż wreszcie odniosłem wrażenie, że tańczę wraz z nimi, lecz okazało się, że to tylko potrząsa mną kamerdyner ojca, który, jak prawie co noc, przyszedł, by zaprowadzić mnie do biblioteki.

Właśnie wtedy - a tym razem jestem całkowicie pewien, że stało się to właśnie tej nocy, kiedy przyśnili mi się aborygeni - uległ zmianie taki sam już od czterech albo pięciu lat schemat naszych spotkań, choć ja zacząłem już podejrzewać, że nikt ani nic nie zdoła go zmienić. Po krótkiej wstępnej rozmowie, której zadanie polegało zapewne na tym, by mnie odprężyć (nigdy tak się nie stało), poproszono mnie, bym podwinął rękaw i położył się na starej kozetce w kącie pokoju. Następnie ojciec kazał mi patrzeć w ścianę, czyli na półki uginające się pod ciężarem sfatygowanych zeszytów i notesów. Poczułem ukłucie w ramię, ale unieruchomiono mi głowę, nie mogłem więc ani usiąść, ani nawet sprawdzić, co się dzieje. Chwilę potem igła została usunięta i usłyszałem, że mam leżeć spokojnie.

Po niezmiernie długim (takie w każdym razie odniosłem wrażenie) oczekiwaniu - ojciec parę razy unosił mi powiekę i badał puls - jakiś głos dobiegający z odległego krańca pomieszczenia zaczął opowiadać długą i zawiłą historię. Ojciec pilnie

notował, a od czasu do czasu zadawał pytania, na które nie czułem się zobowiązany odpowiadać, ponieważ ów głos czynił to za mnie.

Wbrew moim oczekiwaniom działanie narkotyku zaaplikowanego przez ojca nie słabło z upływem czasu, lecz wręcz przeciwnie, zdawało się coraz bardziej oddalać mnie od rzeczywistości i tego stanu umysłu, w jakim najłatwiej jest o zachowanie jasności i niezależności myśli. Popękane skórzane obicie kozetki, na której leżałem, zmieniło się najpierw w pokład okrętu, a potem w skrzydło gołębicę lecącą wysoko nad ziemią, mnie zaś nic już nie obchodziło, czy snujący opowieść głos należy do mnie, czy do ojca. Chwilami stawał się bardziej piskliwy, niekiedy mocno się obniżał, nie dziwiło mnie to jednak, ponieważ odnosiłem wrażenie, że wypycham powietrze z piersi znacznie większej niż moja, a jego głos, który byłem w stanie zlokalizować dzięki szelestowi odwracanych kartek, przypominał wysokie, świdrujące w uszach krzyki dzieci dokazujących na ulicy, które często słyszałem latem, wystawiając głowę przez okienka u podstawy kopyły w gmachu biblioteki.

Tamtej nocy nastąpiła kolejna zmiana w moim życiu. Narkotyki - z pewnością więcej niż jeden; choć zazwyczaj działały na mnie w sposób, który już opisałem, to niekiedy nie byłem w stanie spokojnie leżeć na kozetce, tylko biegałem nerwowo od ściany do ściany, mówiąc bez chwili przerwy, lub też zapadałem w czasem dający wytchnienie, a czasem koszmarne sny - wyraźnie wpłynęły na stan mojego zdrowia. Rankiem często budziłem się z okropnym bólem głowy, który za nic nie chciał

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

ustąpić, nawiedzały mnie też ataki nadzwyczajnej nerwowości i stany lękowe.

Najbardziej niepokojące było jednak to, że z pamięci ginęły mi całe fragmenty dnia, w związku z czym zdarzało się, że późnym popołudniem nie byłem w stanie przypomnieć sobie niczego, co działo się między obecną chwilą a moją nocną wizytą w bibliotece ojca. David i ja nadal pobieraliśmy lekcje, tyle że w pewnym sensie zamieniłem się rolami z panem Millionem; teraz to ja wyznaczałem termin i temat zajęć, to ja przepytywałem Davida i pana Milliona. Dość często jednak szli tylko we dwóch do biblioteki albo do parku, ja zaś czytałem w łóżku - zdarzało się, że aż do chwili kiedy przychodził po mnie kamerdyner ojca.

Powinienem nadmienić, iż mniej więcej w tym samym czasie zmianie uległ także przebieg spotkań mego ojca z Davidem, ale ponieważ były one dość rzadkie, a w miarę jak studniowe lato ustępowało miejsca jesieni, ta zaś z kolei długiej zimie, stawały się coraz rzadsze, mój brat zaś wykazywał znacznie większą odporność na działanie narkotyków - środki te odcisnęły na nim znacznie słabsze piętno.

Jeśli w ogóle była taka chwila, o której można by powiedzieć, że zakończyła moje dzieciństwo, to nastąpiła ona właśnie podczas tamtej zimy. W związku z pogorszonym stanem zdrowia musiałem zrezygnować z dziecięcych zabaw na świeżym powietrzu, tym większą uwagę poświęcając eksperymentom oraz sekcjom zwłok dokonywanym na rozmaitych drobnych zwierzątkach, dostarczanych przez pana Milliona w nieskończonej procesji rozdziawionych pyszczków i wybałuszonych szklistych oczu. Oprócz tego, jak już wspomniałem, wiele godzin spędzałem na lekturach albo po prostu leżałem na wznak z rękami za głową i usiłowałem sobie przypomnieć, o czym opowiadałem ojcu. Ani David, ani ja nie zdołaliśmy stworzyć żadnej choćby w miarę spójnej teorii dotyczącej natury pytań, które nam zadawał, jednak w mojej pamięci po dziś dzień utkwili sceny i zdarzenia, w których z całą

pewnością nie brałem udziału; domyślałem się, że to wizualizacje sugestii szeptanych mi do ucha w czasie, kiedy miotałem się między odmiennymi stanami świadomości. Moja ciotka, jeszcze niedawno trzymana z dala od nas, teraz zagadywała mnie w korytarzach, a niekiedy nawet przychodziła do naszego pokoju. Dowiedziałem się, że do jej obowiązków należało zarządzanie wewnętrznymi sprawami domu, i dzięki jej wstawiennictwu uzyskałem zgodę na urządzenie niewielkiego laboratorium w tym samym skrzydle budynku. Jednak, o czym już mówiłem, tę zimę spędziłem głównie przy metalowym stole sekcyjnym oraz w łóżku. Biały śnieg zasypał okno aż do połowy i oblepił nagie pnącza armatnicy, klienci zaś przychodzili w nieprzemakalnych butach, paltach i kapeluszach przyprószonych śniegiem, posapując, z zaczerwienionymi od mrozu twarzami. Drzewka pomarańczowe znikły, ogrodu na dachu nikt nie odwiedzał, dziedziniec zaś ożywał tylko na krótko, zazwyczaj późną nocą, kiedy podochoceni winem klienci toczyli z dziewczętami bitwy na śnieżki; kończyło się to nieodmiennie tym, że rozbierali dziewczęta do naga i tarzali się z nimi w śniegu.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Wiosna zaskoczyła mnie, tak jak zaskakuje wszystkich, którzy prawie nie wychodzą na dwór. Pewnego dnia, kiedy wciąż wydawało mi się (w tych rzadkich chwilach, gdy w ogóle myślałem o pogodzie), że na zewnątrz nadal trzyma zima, David otworzył okno na oścież i uparł się, żebym poszedł z nim do parku. Jak się okazało, był już kwiecień. Towarzyszył nam pan Million. Wyszliśmy przez frontowe drzwi do niewielkiego ogrodu oddzielającego dom od ulicy - gdy widziałem go

poprzednio, był przykryty zwałami śniegu, teraz pysznił się wczesnymi pąkami i szmerem fontanny. David poklepał trójgłowego psa po uśmiechniętym pysku i wyrecytował:

- „A oto i pies, z poczwórnym łbem wkracza w królestwo światła”.

Zwróciłem mu żartobliwie uwagę, że pomylił się w liczeniu.

- Wcale nie. Nie wiesz, że stary Cerber, który tak naprawdę jest suką, ma cztery głowy? Dopóki ma czwartą, pozostaje dziewicą, a ponieważ jest taka groźna, żaden pies nie śmie się zbliżyć, by mu ją odebrać.

Rozbawiło to nawet pana Milliona, ale nieco później, patrząc na tryskającego tężyzną fizyczną Davida i na jego szerokie ramiona, coraz bardziej przypominające ramiona dorosłego mężczyzny, pomyślałem sobie, że jeżeli trzy głowy naszego psa oznaczają Maitre'a, Madame i pana Milliona (tak sobie zawsze wyobrażałem), to znaczy mego ojca, ciotkę (to byłaby chyba ta głowa strzegąca dziewictwa) oraz naszego nauczyciela, to już niebawem trzeba będzie dorobić czwartą, dla Davida. Jemu park z pewnością wydawał się rajem, dla mnie natomiast, nie cieszącego się tak dobrym zdrowiem, nie było tam nic interesującego; niemal cały ranoek spędziłem, siedząc zgarbiony na ławce i obserwując, jak David gra w squasha. Około południa zyskałem towarzystwo; na sąsiedniej ławce, na tyle blisko, że nawet gdybym chciał, trudno by mi było ją zignorować, usiadła ciemnowłosa dziewczyna z nogą w gipsie. Przykuśtykała tam na kulach w towarzystwie opiekunki czy też guwernantki, która (z pewnością celowo) usadowiła się między nami. Ta niesympatyczna kobieta okazała się jednak zbyt sztywna, zarówno dosłownie, jak i w przenośni, by dobrze wywiązać się z zadania: wyprostowana do granic możliwości, usiadła na brzeżku ławki, podczas gdy dziewczyna, z wyciągniętą do przodu

unieruchomioną nogą, musiała odchylić się daleko do tyłu, dzięki czemu mogłem bez przeszkód podziwiać jej piękny profil, od czasu do czasu zaś, kiedy odwracała głowę, żeby powiedzieć coś do towarzyszącego jej stwora, widziałem całą twarz z karminowymi ustami i fiołkowymi oczami, raczej okrągłą niż owalną. Czarne włosy szerokim klinem przesłaniały jej czoło, brwi były także kruczoczarne i delikatnie wygięte, rzęsy długie i zawinięte. Kiedy zjawiała się sprzedawczyni kantońskich bułek z jajecznym nadzieniem (dłuższych od dłoni i tak gorących, że należało je jeść z nadzwyczajną ostrożnością, jakby były żywe), wykorzystałem ją w charakterze posłańca - kupiłem bułkę dla siebie, po czym zapłaciłem za jeszcze dwie i poleciłem, by zaniósła je dziewczynie oraz strzegącemu ją potworowi.

Jak się należało spodziewać, potwór odmówił, lecz dziewczyna, ku memu wielkiemu zadowoleniu, zaczęła go przekonywać, z błyszczącymi oczami i rozpalonymi policzkami przedstawiając argumenty, których, niestety, z powodu nadmiernej odległości nie mogłem słyszeć, ale i tak nie miałem najmniejszych

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

problemów z ich odczytaniem, zupełnie jakbym obserwował spektakl teatru pantomimy. Odmowa będzie niczym nieuzasadnioną obelgą dla nie żywiącego żadnych złych zamiarów nieznajomego. Była głodna i zamierzała sama kupić sobie bułkę, więc głupotą byłoby rezygnować z czegoś, na co i tak za chwilę wyda się pieniądze. Sprzedawczyni, której chyba ogromnie spodobała się rola pośredniczki, rozpaczała ze łzami w oczach, że w takim razie będzie musiała zwrócić mi moje złoto (w rzeczywistości banknot o niewysokim nominale, niemal równie zatłuszczony jak papier, w który były zawinięte bułki, a na pewno znacznie bardziej brudny); dyskusja

stawiała się coraz głośniejsza, aż wreszcie mogłem bez trudu usłyszeć głos dziewczyny - bardzo przyjemny dla ucha kontralt. W końcu, rzecz jasna, poczęstunek został przyjęty. Potwór podziękował mi oschłym skinieniem głowy, dziewczyna natomiast mrugnęła do mnie za plecami opiekunki.

Pół godziny później David i pan Million, który z bliska śledził jego poczynania na korcie, zapytali, czy mam ochotę na lunch. Odpowiedziałem twierdząco w nadziei, że po powrocie będę mógł jakby nigdy nic usiąść nieco bliżej dziewczyny.

Spożyliśmy posiłek (nie wiem jak oni, ale ja jadłem wyjątkowo szybko) w schludnej, niedużej knajpce w pobliżu targu kwiatowego. Niestety, kiedy wróciliśmy do parku, nie było w nim już ani dziewczyny, ani jej guwernantki.

Mniej więcej godzinę po tym, jak zjawiliśmy się w domu, wezwał mnie ojciec.

Szedłem na spotkanie z lekkim niepokojem, jako że do tej pory nigdy nie chciał się ze mną widzieć tak wcześnie - jeszcze nawet nie przyszli pierwsi klienci, a zazwyczaj nasze rozmowy odbywały się po wyjściu ostatnich. Okazało się jednak, iż moje obawy były bezpodstawne. Zaczął od pytania o moje zdrowie, a kiedy odpowiedziałem, że czuję się nieco lepiej niż zimą, rozpoczął pompatyczną przemowę - zupełnie różną od wygłaszanych zjadliwym, lekko znużonym tonem uwag, do których przywykłem - na temat interesu, który prowadził, i tego, że każdy młody mężczyzna musi prędzej czy później zacząć się przygotowywać do zarabiania na własne utrzymanie.

- Podobno jesteś uczonym - powiedział.

Odparłem, że mam nadzieję, iż przynajmniej w niewielkim stopniu zasługuję na to określenie, i przygotowałem się wewnętrznie na przyjęcie tradycyjnych już argumentów o bezsensowności studiowania chemii i biofizyki na planecie takiej jak

nasza, prawie całkiem pozbawionej przemysłu, o szkodliwości marnotrawienia czasu na zajęcia ani trochę nie przygotowujące do egzaminów, jakie musi zdać każdy kandydat, który pragnie wstąpić do służby publicznej, i tak dalej. Tymczasem czekało mnie spore zaskoczenie.

- Cieszę się - powiedział ojciec. - Prawdę mówiąc, wydałem polecenie panu Millionowi, żeby starał się kierować twoje zainteresowania w tę stronę, choć zapewne i tak by to uczynił. W moim przypadku nie potrzebował żadnej zachęty.

Cóż, te studia nie dadzą ci w przyszłości wiele satysfakcji, ale... - umilkł na chwilę, odchrząknął, potarł twarz rękami - ...ale mogą się okazać bardzo użyteczne. Poza tym można chyba powiedzieć, że stały się rodzinną tradycją.

Odparłem zgodnie z prawdą, że miło mi to słyszeć.

- Widziałeś moje laboratorium? To za tym dużym lustrem.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Nie widziałem, chociaż zdawałem sobie sprawę z istnienia tego miejsca, przez służbę zwanego niekiedy „przychodnią”, gdzie przyrządzał lekarstwa, co miesiąc badał zatrudnione dziewczęta, od czasu do czasu zaś szykował kurację dla „przyjaciół” klientów, ludzi na tyle nierozważnych, że (w przeciwieństwie do tych klientów, osób rozsądnych) nie ograniczyli się do zaspokajania swych cielesnych potrzeb w prowadzonym przez niego przybytku. Powiedziałem, że z przyjemnością bym obejrzał laboratorium, a on uśmiechnął się na to.

- Odeszliśmy od tematu. Nauka jest bardzo ważna, ale wkrótce przekonasz się, tak jak ja się przekonałem, że wchłania znacznie więcej pieniędzy, niż wytwarza.

Będziesz potrzebował rozmaitych przyrządów, książek i mnóstwa innych rzeczy, nie

wspominając już o konieczności zapewnienia sobie dachu nad głową. Na szczęście interesy idą całkiem nieźle i choć zamierzam żyć jeszcze długo, w znacznej mierze właśnie dzięki osiągnięciom nauki, to ty jesteś moim spadkobiercą i kiedyś wszystko po mnie odziedziczysz...

(A więc byłem starszy od Davida!)

- ...przejsć kolejno każdy etap. Wierz mi, żadnego nie można zlekceważyć.

Byłem tak zdumiony, a zarazem uradowany swoim odkryciem, że przestałem go na chwilę słuchać. Na wszelki wypadek skinąłem głową.

- W porządku. Zaczynasz od otwierania frontowych drzwi. Do tej pory robiła to jedna ze służących i przez miesiąc albo dwa będzie ci jeszcze pomagać, zadanie nie jest bowiem aż tak proste, jak by mogło ci się wydawać. Powiem panu Millionowi, żeby przygotował co trzeba.

Podziękowałem mu, on zaś otworzył drzwi, co oznaczało, że rozmowa dobiegła końca. Wyszedłem, nie mogąc uwierzyć, że to ten sam człowiek, który niemal codziennie przed świtem karmił się moim życiem.

Wtedy nie skojarzyłem nagłej zmiany mego statusu z wydarzeniami w parku, teraz jednak nie ulega dla mnie wątpliwości, że pan Million, który (całkiem dosłownie) ma oczy dokoła głowy, doniósł memu ojcu, iż osiągnąłem wiek, w którym nieświadomie zaczyna się przenosić na osoby spoza rodziny uczucia do tej pory kierowane wyłącznie do rodziców.

Tak czy inaczej, jeszcze tego samego wieczoru objąłem nowe obowiązki, stając się kimś, kogo pan Million nazwał „witaczem”, David natomiast (wyjaśnił mi, że wyraz ten pochodzi od słowa „portal”) portierem. Tym samym realizowałem w

praktyce to, co symbolicznie wyrażała postać trójgłowego psa w naszym ogrodzie.

Dziewczyna, która przede mną sprawowała tę funkcję - nazywała się Nerissa, często się uśmiechała i została wyznaczona na to stanowisko, bo była jedną z najładniejszych podopiecznych ojca, a zarazem wyróżniała się słusznym wzrostem, znaczną siłą i barami szerszymi od barów niejednego mężczyzny - zgodnie z obietnicą ojca służyła mi pomocą. Nie musieliśmy się nadmiernie przemęczać, ponieważ wszyscy klienci byli ludźmi zamożnymi, o wysokiej pozycji społecznej, a więc niezbyt skorymi do bójek lub awantur, chyba że w jakichś zupełnie

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

nadzwyczajnych okolicznościach albo pod wpływem substancji odurzających.

Większość z nich odwiedzała nas dziesiątki, niektórzy nawet setki razy. Wszyscy posługiwali się pseudonimami, których używali wyłącznie w naszym domu (Nerissa podawała mi je *sotto voce*, kiedy klienci zbliżali się ścieżką), a kiedy przekroczyli próg, odbieraliśmy wierzchnie okrycia i kierowaliśmy ich (jeśli trzeba było, prowadziliśmy) do właściwych pomieszczeń. Nerissa udawała, że ma za złe podszcypywanie (potrafiła tak się zachnąć, że klienci co mizerniejszej postury mało nie spadali ze schodów), zaraz potem wybuchała śmiechem, pozwalając szczytać się dalej, odbierała napiwek, po czym, jeśli akurat nie mieliśmy nic do roboty, opowiadała mi, jak to była „wzywana na górę” na specjalne żądanie jakiegoś wielbiciela dużych kobiet i ile wtedy dostawała za jedną noc. Śmiałem się razem z nią i odmawiałem brania napiwków, dając wyraźnie do zrozumienia, iż nie należę do personelu. Wielu klientów domyślało się tego bez mojej pomocy; często powtarzano mi, że jestem zadziwiająco podobny do ojca.

Wkrótce po tym jak podjąłem pracę recepcjonisty - chyba na trzeci albo czwarty dzień - zjawił się niezwykle gość. Wieczór był jeszcze młody, lecz ze względu na grubą warstwę chmur zmierzch zapadł wyjątkowo szybko; już co najmniej od godziny świeciły latarnie w ogrodzie, a przejeżdżające ulicą powozy można było co prawda usłyszeć, ale nie zobaczyć. Zapukał do drzwi; otworzyłem i zapytałem, tak jak każdego nieznajomego, czego sobie życzy.

- Chciałbym rozmawiać z doktorem Aubreyem Veilem.

Chyba zrobiłem niezbyt mądrą minę, ponieważ zaraz potem zapytał:

- Czy to Saltimbanque Street 666?

Adres się zgadzał, nazwisko zaś, które wymienił, zabrzmiało dziwnie znajomo, choć w pierwszej chwili nie skojarzyłem sobie, kiedy i w jakich okolicznościach je poprzednio słyszałem. Doszedłem do wniosku, że któryś z klientów wskazał nasz dom jako *adresse d'accommodation*, a ponieważ przybysz najwyraźniej nie trafił tu przypadkowo, ja zaś nie uważałem za rozsądne prowadzić z nim dyskusji przy otwartych drzwiach, mimo iż częściowo zasłaniały nas drzewa w ogrodzie, zaprosiłem go do środka, po czym kazałem Nerissie zaparzyć nam kawy, przy której moglibyśmy spokojnie porozmawiać w niedużej zacisznej poczekalni tuż obok głównego hallu. Pomieszczenie to było rzadko używane, więc służące nie przykładały się zbytnio do sprzątania, o czym świadczyła pokaźna warstwa kurzu na sprzętach i podłodze. Zanotowałem sobie w pamięci, żeby powiedzieć o tym ciotce, i wtedy spłynęło na mnie olśnienie: wiedziałem już, kiedy po raz pierwszy usłyszałem nazwisko doktora Veila: to właśnie ciotka, podczas naszej pierwszej rozmowy, nawiązała do jego teorii, według której mielibyśmy być tubylcami z Sainte Anne, którzy wymordowali ziemskich kolonistów i upodobnili się do nich do tego stopnia,

że zupełnie zapomnieli o swojej przeszłości.

Nieznajomy usiadł w obszernym fotelu o bogato zdobionych nogach i mocno już zetłalym obiciu. Miał brodę, bardzo czarną i nieco obfitszą niż nakazywała aktualna moda, był młody, choć oczywiście znacznie starszy ode mnie i chyba nawet byłby przystojny, gdyby nie to, że jego twarz - a przynajmniej jej widoczne fragmenty - była tak biała, że aż niemal szpetna. Jego ciemne ubranie wydawało się nienaturalnie

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

ciężkie. Przypomniałem sobie słowa jednego z gości, który opowiadał o tym, że poprzedniego dnia w zatoce wodował gwiazdolot z Sainte Anne, i zapytałem brodacza, czy był na jego pokładzie. Zdziwił się, a następnie roześmiał.

- Widzę, że jesteś dowcipny, a mieszkając pod jednym dachem z doktorem Veilem, zapewne dobrze znasz jego teorię. Nie, nie przyleciałem z Sainte Anne. Jestem z Ziemi. Nazywam się Marsch.

Wręczył mi wizytówkę. Musiałem dwa razy przeczytać jej treść, zanim w pełni dotarło do mnie znaczenie wszystkich skrótów poprzedzających nazwisko. Mój gość był uczonym, doktorem filozofii i antropologii, z Ziemi.

- Wcale nie starałem się być dowcipny - odparłem. - Naprawdę myślałem, że jest pan z Sainte Anne. Tutaj wszyscy jesteśmy do siebie trochę podobni, z wyjątkiem Cyganów i przestępców, a pan zupełnie mi nie pasuje do tego schematu.

- Rzeczywiście, zdążyłem to już zauważyć. Twoja twarz wydała mi się dziwnie znajoma.

- Podobno bardzo przypominam ojca.

- Aha. - Przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu. - Czy jesteś klonem?

Natrafiałem na ten termin w lekturach, ale wyłącznie z dziedziny botaniki. Jak niemal zawsze, kiedy zależało mi na tym, by kogoś olśnić inteligencją, nic mądrego nie przychodziło mi do głowy. Czułem się jak niedorozwinięte dziecko.

- Klonowanie to inaczej reprodukcja za pomocą partenogenezy, dzięki czemu nowy osobnik, albo osobnicy, bo mogą ich być tysiące, ma taką samą strukturę genetyczną jak rodzic. Na Ziemi nie wolno tego robić ze względu na antyewolucyjność tego procesu, ale wątpię, żeby tutaj ktoś zawracał sobie głowę takimi głupstwami.

- Czy dotyczy to również ludzi?

Skinął głową.

- W takim razie nigdy o tym nie słyszałem, a zresztą wątpię, czy mamy odpowiednią technologię. W porównaniu z Ziemią jesteśmy dość mocno zacofani.

Być może, mój ojciec zdoła panu jakoś pomóc.

- Nie mam zamiaru poddawać się klonowaniu.

Nadejście Nerissy przerwało nam rozmowę. Prawdę powiedziawszy, wspomniałem o ojcu wyłącznie z przyzwyczajenia; miałem poważne wątpliwości, czy potrafiłby przeprowadzić taki eksperyment, należało jednak brać pod uwagę taką możliwość, szczególnie gdyby w grę wchodziły duże pieniądze. Tymczasem obaj umilkliśmy, a kiedy Nerissa ustawiła filiżanki, naląła kawę i odeszła, zauważył:

- Niezwykła dziewczyna.

Miał jasnozielone oczy, bez brązowego odcienia charakterystycznego dla większości zielonych oczu. Na usta cisnęły mi się pytania o najświeższe nowiny z Ziemi i niemal natychmiast przyszło mi do głowy, że dziewczęta może zdołają zatrzymać go na dłużej albo przynajmniej sprawią, że zechce tu wrócić.

- Powinien pan zobaczyć ich więcej. Mój ojciec ma doskonały gust.

- Wolałbym zobaczyć się z doktorem Veilem. A może to właśnie twój ojciec?

- Skądże znowu!

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

- Podano mi ten adres: Saltimbanque Street 666, Port-Mimizon, Departement de la Main, Sainte Croix.

Był bardzo poważny, więc gdybym po prostu poinformował go, że zaszła pomyłka, przypuszczalnie wstałby i wyszedł.

- Dowiedziałem się o hipotezie Veila od ciotki - powiedziałem. - Odniosłem wrażenie, że dużo wie na ten temat. Może później wieczorem zechciałby pan z nią porozmawiać?

- A nie mogę teraz?

- Ciotka nie przyjmuje wielu gości. Prawdę mówiąc, podobno jeszcze przed moim przyjściem na świat pokłóciła się z moim ojcem i od tamtej pory prawie nie opuszcza swego apartamentu. Stamtąd rozdziela zadania między służbę i zarządza finansami. Bardzo rzadko można ją zobaczyć, a jeszcze rzadziej zdarza się, by ktoś obcy wszedł do jej pokoiów.

- Dlaczego mi o tym mówisz?

- Żeby pan zrozumiał, że mimo moich najszczerzych chęci wcale nie jest pewne, czy zdołam umówić pana na rozmowę, przynajmniej dzisiaj.

- Wystarczyłoby, żebyś ją zapytał, czy zna aktualny adres doktora Veila.

- Doktorze Marsch, ja naprawdę staram się panu pomóc.

- I nie uważasz, żeby to był najlepszy sposób?

- Właśnie.

- Inaczej mówiąc, jeśli po prostu zapytasz o to ciotkę, zanim zdąży sobie wyrobić zdanie na mój temat, nie udzieli ci odpowiedzi, nawet gdyby ją znała?

- Byłoby lepiej, gdybyśmy najpierw trochę porozmawiali. Bardzo chciałbym dowiedzieć się jak najwięcej o Ziemi.

Odniosłem wrażenie, że przez jego usta przemknął gorzki uśmiech.

- Najpierw ja chciałbym zapytać cię o...

Ponownie nam przerwano - oczywiście była to znowu Nerissa, która wybrała akurat tę chwilę, żeby sprawdzić, czy potrzebujemy jeszcze czegoś z kuchni. Miałem ochotę ją udusić, ponieważ doktor Marsch przerwał w pół zdania, a następnie wrócił do tematu, który (wydawało mi się) zdołałem bezpiecznie ominąć.

- Może ta dziewczyna spróbowałaby wyjednać mi audiencję u twojej ciotki?

Musiałem szybko coś wymyślić. Zamierzałem pójść na górę, odczekać chwilę, po czym wrócić i poinformować doktora Marscha, że owszem, ciotka chętnie go przyjmie, ale nieco później.

W ten sposób zyskałbym czas, żeby go dokładnie wypytać. Istniała jednak możliwość (bez wątpienia bardziej realna w moich oczach niż w rzeczywistości), że doktor nie zechce czekać albo, kiedy wreszcie zobaczy się z ciotką, że wspomni o tym zdarzeniu. Gdybym posłał Nerissę, miałbym go dla siebie przynajmniej do jej powrotu, a nawet dłużej, należało bowiem wątpić, czy ciotka zdecyduje się zmienić ustalony porządek dnia tylko po to, by natychmiast zobaczyć się z kimś nieznanym. Kazałem więc Nerissie pójść do apartamentu ciotki, doktor Marsch zaś dał jej wizytówkę, skreśliwszy uprzednio kilka słów na odwrocie.

- Zdaje się, że chciał pan mnie o coś zapytać?

Piąta głowa Cerbera

- Tak. Intryguje mnie, dlaczego ten dom sprawia wrażenie absurdalnie starego, chociaż stoi na planecie zamieszkaanej od niespełna dwustu lat.
- Został zbudowany sto czterdzieści lat temu. Jestem pewien, że na Ziemi jest wiele budowli znacznie od niego starszych.
- Istotnie, ale na każdą z nich przypada dziesięć tysięcy budynków, które nie mają nawet roku. Tutaj wszystkie domy wydają się stare.
- Pan Million twierdzi, że to dlatego, że nigdy nie uskarżaliśmy się na niedostatek terenu, więc nie musieliśmy burzyć starych budowli, by na ich miejscu mogły powstać nowe. Poza tym jest nas teraz mniej niż na przykład pięćdziesiąt lat temu.
- Kto to jest pan Million?

Wyjaśniłem mu, on zaś powiedział:

- Wygląda na to, że macie tu swobodny symulator dziesięć do dziewiątej. To może być nawet interesujące.
- Dziesięć do dziewiątej?
- Miliard, czyli dziesięć do potęgi dziewiątej. W ludzkim mózgu jest wiele miliardów połączeń, stwierdzono jednak, że można całkiem nieźle naśladować jego działanie nawet wtedy, kiedy tych połączeń jest tylko...

Byłbym gotów przysiąc, że Nerissa dopiero co odeszła, ona tymczasem już wróciła, dygnęła przed doktorem Marschem i powiedziała:

- Madame przyjmie pana.
- Zaraz? - wykrztusiłem.
- Tak. Natychmiast.

- W takim razie ja go zaprowadzę, a ty pilnuj drzwi.

Wybrałem najdłuższą drogę pogrążonymi w półmroku korytarzami, żeby choć trochę zyskać na czasie, on jednak chyba układał sobie w głowie pytania, które zamierzał zadać, na moje bowiem odpowiadał monosylabami. Wreszcie stanęliśmy przed drzwiami apartamentu ciotki. Otworzyła, ledwo zdążyłem zastukać; skraj czarnej sukni wisiał nieruchomo dwa cale nad dywanem, oddzielony od niego warstwą powietrza.

- Przykro mi, że panią niepokoję, madame, ale robię to tylko dlatego, że pani bratanek uważa, iż może mi pani pomóc w ustaleniu miejsca pobytu autora hipotezy Veila.

- To ja jestem doktor Veil - odparła ciotka. - Proszę wejść.

Zamknęła za nim drzwi, a ja zostałem w korytarzu z ustami rozdziawionymi ze zdumienia.

Przy najbliższej okazji opowiedziałem Phaedrii o tym zdarzeniu, ją jednak znacznie bardziej interesowały szczegóły życia w domu mego ojca. Phaedria była tą dziewczyną, która usiadła na sąsiedniej ławce w parku, kiedy obserwowałem Davida grającego w squasha. Podczas którejś z kolejnych wizyt w parku zostaliśmy sobie przedstawieni nie przez kogo innego jak przez towarzyszące jej monstrum, które tym razem pomogło jej zająć miejsce obok mnie, po czym, o dziwo, oddaliło się na

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

odległość, z której co prawda mogło nas obserwować, lecz z pewnością nie słyszało naszej rozmowy. Phaedria wystawiła unieruchomioną nogę niemal do połowy ścieżki

i uśmiechnęła się czarująco.

- Chyba nie masz nic przeciwko temu, że się przysiadłam?

- Jestem zachwycony.

- I zaskoczony. Wiesz o tym, że kiedy się dziwisz, robią ci się wielkie oczy?

- To prawda, jestem zaskoczony. Przychodziłem tu parę razy i wszędzie cię szukałem.

- My też cię szukałyśmy i też nie mogłyśmy cię znaleźć, ale mnie to wcale nie dziwi. Przecież nikt nie będzie siedział cały dzień w parku.

- Siedziałbym, gdybym wiedział, że mnie szukasz - odparłem. - I tak przychodziłem tu, kiedy tylko mogłem. Bałem się, że ona... - wskazałem potwora ruchem głowy - ...już cię tu nie przyprowadzi. Jak udało ci się ją przekonać?

- Wcale nie musiałam jej przekonywać - odparta Phaedria.

- Nie domyślasz się? Naprawdę niczego nie rozumiesz?

Przyznałem, że nie. Czuję się głupio i głupio się zachowywałem, ponieważ znaczną część uwagi zamiast rozmowie poświęcałem utrwalaniu w pamięci brzmienia jej głosu, koloru oczu, delikatnego zapachu skóry i łagodnego podmuchu, z jakim jej oddech głaskał moje policzki.

- ...i tak właśnie jest ze mną - mówiła Phaedria. - Kiedy ciotka Uranie, która jest ubogą krewną mojej matki, opowiedziała mu w domu o tobie, szybko ustalił, kim jesteś, i oto tu siedzę.

- Rzeczywiście - bąknąłem, a ona wybuchnęła śmiechem. Phaedria była jedną z tych dziewcząt, które od najmłodszych lat miotają się między nadzieją na zamążpójście a obawami, że zostaną sprzedane. Jej ojciec, jak sama powiedziała, prowadził ryzykowne interesy, spekulując towarami dostarczonymi przez statki z

południa, głównie tekstyliami i narkotykami. Obracał znacznymi kwotami i choć pieniądze nie należały do niego, wierzyciele nie mogli się o nie upomnieć, ponieważ były mu niezbędne do inwestowania, a tylko jego opłacalne inwestycje dawały im nadzieję na wyegzekwowanie całości długu. Nawet gdyby miał umrzeć jako nędzarz, to przynajmniej zdołał zapewnić córce niezbędne wykształcenie i tyle operacji plastycznych, ile było trzeba. Gdyby zdołał zbierać odpowiedni posag, wydałby ją za kawalera z zamożnej rodziny, jeśli natomiast potrzebowałby pieniędzy, uzyskałby za nią pięćdziesiąt razy więcej niż za dziecko zgarnięte z ulicy. Moja rodzina, ma się rozumieć, doskonale nadawała się do obu celów.

- Opowiedz mi o swoim domu - poprosiła. - Wiesz, jak nazywają go dzieciaki?

Cave Canem. Chłopcy zazdroszczą wszystkim, którzy tam byli, i przechwalają się, że oni też mają to za sobą, ale kłamią. Większość nawet nie postawiła stopy w waszym ogrodzie.

Ja jednak, równie mocno jak ona o mnie, chciałem rozmawiać o doktorze Marschu i ziemskiej nauce, a także o „dzieciakach”, o których wspomniała mimochodem, jej szkole i rodzinie. Poza tym, choć nie miałem żadnych oporów przed szczegółowym opisywaniem usług świadczonych klientom przez nasze dziewczęta, to było parę tematów (na przykład niezwykle sposób poruszania się

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

mojej ciotki), które wolałem pominąć milczeniem. Skończyło się na tym, że zjedliśmy po bułce kupionej u tej samej starej kobiety, siedzieliśmy na ławce w chłodnych promieniach słońca, mówiliśmy o różnych, bardzo osobistych sprawach i przed rozstaniem nie tylko zdążyliśmy się w sobie zakochać, ale nawet zaprzyjaźnić.

Umówiliśmy się na spotkanie nazajutrz.

W nocy, przypuszczalnie mniej więcej o tej porze, kiedy wróciłem do łóżka (a raczej zostałem tam doprowadzony przez kamerdynera, ponieważ po wielogodzinnej sesji w bibliotece ojca ledwo trzymałem się na nogach), zmieniła się pogoda. Przez okiennice zaczęły się sączyć aromatyczne zapachy późnej wiosny albo nawet wczesnego lata; ogień w naszym niewielkim kominku sam zgasł niemal natychmiast, jakby ze wstydu. Kamerdyner otworzył okno i do pokoju wlała się cudowna woń świadcząca o tym, że w najgłębszym cieniu rzucanym przez sosny i świerki rosnące na północnych stokach gór właśnie stopiły się resztki śniegu. Ponieważ umówiłem się z Phaedria na dziesiątą, przed udaniem się na spotkanie z ojcem zostawiłem na nocnym stoliku przy łóżku kartkę z prośbą, żeby obudzono mnie najpóźniej o dziewiątej. Zasnąłem wdychając aromatyczne zapachy, a po głowie kołatał mi się ni to plan, ni to sen, w którym Phaedria i ja wymykamy się spod opiekuńczych skrzydeł jej ciotki i idziemy we dwójkę po rozległym, starannie przystrzyżonym trawniku, którego zieleń urozmaicały błękitne i żółte kwiatki.

Obudziłem się o pierwszej po południu, w szyby łomotał ulewny deszcz. Pan Million, który czytał książkę w kącie sypialni, powiedział mi, że pada od szóstej rano i dlatego mnie nie obudził. Potwornie bolała mnie głowa - jak często po nocnych sesjach - więc zażyłem lekarstwo przepisane przez ojca. Pastyłki były szare i pachniały anyżkiem.

- Nie wyglądasz zbyt dobrze - zauważył pan Million.

- Chciałem pójść do parku.

- Wiem. - Potoczył się w moim kierunku, a ja przypomniałem sobie, że doktor

Marsch nazwał go „swobodnym symulatorem”. Po raz pierwszy od chwili, kiedy w

bardzo wczesnym dzieciństwie zaspokoiliem swoj ciekawo, pochyliem sie (okupujac to jeszcze bardziej intensywnym pulsowaniem w gowie) i odczytaem prawie cakiem ju zatarty napis na tabliczce przytwierdzonej do dolnej czeci metalowego korpusu. Bya tam nazwa pewnego ziemskiego koncernu cybernetycznego oraz jego imie - po francusku, jak zawsze do tej pory mi sie wydawao:

M. Million - „Monsieur” albo „Mister” Million. Nagle splyno na mnie olnienie, cho bybym znacznie blizej prawdy, gdybym powiedzia, e poczuem sie, jakbym niespodziewanie dosta silny cios pak w gowe: przypomniaem sobie, e kropki uywa sie niekiedy jako znaku mnoenia. Natychmiast spostrzeg zmian wyrazu mojej twarzy.

- Pojemno pamieci tysiac milionw sow - powiedzia. - Po angielsku bilion, po francusku miliard. W tym przypadku M to rzymska liczba tysiac. Byem pewien, e wiesz o tym od dawna.

- Jeste swobodnym symulatorem. Czym sie rozniesz od nieswobodnego i kogo symulujesz? Mojego ojca?

Gene Wolfe

Piata gowa Cerbera

- Nie. - Twarz na ekranie (dla mnie zawsze bya to twarz pana Milliona) wykonaa przeczajy ruch. - Traktuj mnie, a raczej czowieka, ktorego uosabiam, jako swego pradziadka. On, to znaczy ja, ju nie yje. eby stworzy doskona symulacj, trzeba warstwa po warstwie zeskanowa cay mozg i przenie jego struktur albo, jak mowimy, wdrukowa j w komputer. Skanowanie odbywa sie za pomoc silnego strumienia pedzajcych z ogromn predkoci czastek i zawsze jest

fatalne w skutkach.

Przez chwilę oswajałem się z tymi rewelacjami, po czym zapytałem:

- A symulator nieswobodny?

- Jeżeli symulator ma zewnętrznie przypominać człowieka, musi być połączony, inaczej mówiąc związany, ze stacjonarną jednostką centralną, ponieważ nawet najmniejszy sztuczny mózg o pojemności miliarda słów nie zmieści się w ludzkiej czaszce. - Umilkł, a jego twarz na ekranie rozsypała się na chwilę w miliard różnobarwnych punkcików. - Wybacz. Po raz pierwszy chcesz mnie słuchać, ale ja nie mam ochoty mówić. Dawno temu, tuż przed operacją, powiedziano mi, że w szczególnych okolicznościach moja symulacja będzie zdolna do odczuwania uczuć. Aż do dzisiaj uważałem, że mnie okłamano.

Próbowałem go zatrzymać, ale byłem tak zdumiony, że wytoczył się z pokoju, zanim zdołałem zareagować.

Bardzo długo - chyba godzinę, albo nawet więcej - siedziałem bez ruchu, wsłuchany w bębnienie kropli deszczu o szybę, rozmyślając o Phaedrii i o słowach pana Milliona. W to wszystko wplątały się wspomnienia z ostatniego nocnego spotkania z ojcem; czułem się tak, jakby pytania, które mi zadawał, wysysały ze mnie odpowiedzi, pozostawiając pustkę wypełnioną niespokojnymi snami o murach, płotach i przemyślnie zamaskowanych rowach zwanych ha-ha. Kiedyś przyśniło mi się, że stoję na brukowanym dziedzińcu otoczonym tak gęsto ustawionymi korynckimi kolumnami, że nie byłem w stanie przecisnąć się między nimi, chociaż miałem nie więcej niż trzy albo cztery lata. Po długich bezowocnych wysiłkach spostrzegłem, że na każdej kolumnie jest wyryte jakieś słowo (zapamiętałem tylko jedno z nich: skorupa) i że kamienie, którymi wyłożono dziedziniec, to w

rzeczywistości płyty nagrobne, podobne do tych w posadzkach starych francuskich kościołów. Na każdej znajdowało się moje nazwisko i data, inna niż na pozostałych. Wspomnienie tego snu prześladowało mnie nawet wówczas, gdy usiłowałem myśleć o Phaedrii. Kiedy pokojówka przyniosła miskę z ciepłą wodą - goliłem się już dwa razy w tygodniu - stwierdziłem, iż trzymam już w ręce brzytwę, a nawet zdążyłem zaciąć się tak głęboko, że krew spływała mi po piersi i wsiąkała w pościel.

Phaedrię spotkałem cztery albo pięć dni później. Była pochłonięta nowymi planami, w których David i ja mieliśmy do odegrania dość znaczącą rolę. Otóż wymyśliła sobie trupę teatralną, składającą się głównie z dziewcząt w jej wieku, która latem prezentowałaby spektakle w naturalnym amfiteatrze usytuowanym na terenie parku. Ponieważ trupa ta, jak wspomniałem, miała z założenia składać się

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

niemal wyłącznie z dziewcząt, aktorzy przeciwnej płci byli szczególnie w cenie, w związku z czym okazało się, że obaj mamy mnóstwo roboty. Sztuka powstała wspólnym wysiłkiem całego zespołu i opowiadała - co było nie do uniknięcia - o procesie stopniowego tracenia politycznych wpływów przez pierwszych, francuskojęzycznych kolonistów. Phaedria, wciąż z niesprawną nogą, miała wcielić się w postać kulawej córki francuskiego gubernatora, David miał być jej kochankiem (oszałamiająco przystojnym kapitanem strzelców), ja natomiast samym gubernatorem; przyjąłem tę rolę z ochotą, ponieważ była znacznie ciekawsza od roli Davida, a poza tym dawała mi okazję do nieskrępowanego okazywania Phaedrii ojcowskich uczuć.

Premiera odbyła się na początku czerwca i bardzo dobrze pamiętam towarzyszące jej okoliczności, a to z dwóch powodów: po pierwsze, moja ciotka, której nie widziałem od spotkania z doktorem Marschem, zawiadomiła mnie niemal w ostatniej chwili, że pragnie obejrzeć spektakl i że mam zaprowadzić ją do parku; po drugie, tak bardzo obawialiśmy się pustek na widowni, że zapytałem ojca, czy zgodziłby się przysłać choć kilka dziewcząt (wczesnym wieczorem i tak nie zjawiało się wielu klientów). Ku memu niekłamanemu zdumieniu wyraził zgodę - przypuszczalnie uznał to za dobry chwyt reklamowy - zastrzegając jedynie, że będą musiały wrócić najpóźniej po trzecim akcie, jeśli przyśle posłanica z wiadomością, że są potrzebne.

Ponieważ musiałem zjawić się na miejscu co najmniej godzinę przed spektaklem, było jeszcze popołudnie, kiedy zastukałem do drzwi apartamentu ciotki. Sama mi otworzyła, po czym poprosiła, bym pomógł służącej, która usiłowała zdjąć jakiś ciężki przedmiot z górnej półki w szafie. Przedmiot ów okazał się składanym wózkiem inwalidzkim, który natychmiast zmontowaliśmy, korzystając z jej wskazówek.

- Pomóżcie mi - zażądała, jak tylko uporaliśmy się z zadaniem.

Chwyciła nas za ramiona i opuszczała się na fotel. Cienki materiał sukni otulił nogi nie grubsze od moich przedramion oraz dziwne zgrubienie poniżej bioder.

- Chwilowo nie będę tego potrzebowała - powiedziała oschłym tonem, zauważywszy moje spojrzenie. - Stań za mną, chwyć mnie pod pachami i podnieś trochę.

Zrobiłem, co mi kazała, a wtedy pokojówka bezceremonialnie sięgnęła pod jej suknię i wyjęła niewielki, wyściełany skórą przedmiot podobny trochę do siodła.

- Może już pójdziemy? - wycodziła ciotka. - Spóźnisz się.

Służąca otworzyła drzwi, a ja wyprowadziłem wózek na korytarz. Nie wiem czemu, ale świadomość, że ciotka potrafi unosić się w powietrzu jak dym za sprawą najzwyklejszego urządzenia mechanicznego, podziałała na mnie deprymująco.

Zapytała, dlaczego jestem taki milczący, a ja wyjaśniłem jej to, po czym dodałem, że do tej pory wydawało mi się, iż nikomu nie udało się jeszcze wynaleźć sposobu na pokonanie grawitacji.

- Myślisz, że mnie się udało? Skoro tak, to czemu nie posłużę się tym przyrządem, żeby dotrzeć do parku?

- Zapewne nie chcesz zwracać na siebie uwagi.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

- Bzdura. To najzwyklejsza proteza. Można ją kupić w sklepie. - Odwróciła się w fotelu i spojrzała na mnie. Jej twarz była niemal taka sama jak twarz mojego ojca, bezwładne nogi zaś przypominały patyki, którymi posługiwaliśmy się z Davidem podczas dziecięcych zabaw, udając, że leżymy spokojnie w łózkach, podczas gdy naprawdę zwijaliśmy się w kłębki, takie właśnie kije zaś udawały nasze nogi i ręce. - Wytwarza silne pole elektromagnetyczne, które odpycha mnie od pola otaczającego pręty zbrojeniowe w posadzce. Dzięki temu unoszę się nad podłogą. Gdy chcę ruszyć naprzód, pochylam się do przodu, by się cofnąć, odchylam się do tyłu. Zatrzymuję się wtedy, kiedy jestem wyprostowana. Widzę, że kamień spadł ci z serca.

- To prawda. Antygravitacja chyba mnie trochę przestraszyła.

- Kiedy schodziłeś po schodach, mogłam opadać środkiem klatki schodowej, korzystając z tego, że wokół niej wije się żelazna poręcz.

Spektakl odbył się bez większych zakłóceń. Jak należało oczekiwać, publiczność wielokrotnie przerywała nam oklaskami, ponieważ większość osób, które zasiadły na widowni, wywodziła się (lub przynajmniej chciała sprawiać takie wrażenie) ze starej francuskiej arystokracji. Ku naszemu zaskoczeniu zjawilo się około pięciuset osób, nie licząc zwyczajnej w takich sytuacjach asysty kieszonkowców, policji i prostytutek. Najbardziej utkwiło mi w pamięci zdarzenie, które miało miejsce pod koniec pierwszego aktu, kiedy co najmniej przez dziesięć minut siedziałem za biurkiem i prawie się nie odzywałem. Scena była skierowana na zachód, słońce skryło się już za horyzontem, nasączywszy uprzednio niebo fioletami, czerwieniami, złocistościami i czernią. Na tym ognistym tle, które wyglądało jak stłoczone poczty sztandarowe Piekła, zaczęły się pojawiać pojedynczo i parami, niczym wydłużone cienie fantastycznych grenadierów w wymyślnych nakryciach głowy, delikatne profile, smukłe szyje i wąskie ramiona kurtyzan ojca; ponieważ dziewczęta się spóźniły, zajmowały miejsca w ostatnich rzędach amfiteatru, jakbyśmy byli knującym coś tłumem, one natomiast karną armią jakiegoś starożytnego, bizantyńskiego rządu.

Wreszcie wszystkie usiadły, nadeszła moja kolej... i zapomniałem kwestii.

Niewiele więcej utkwiło mi w pamięci z naszego pierwszego spektaklu - może jeszcze tylko to, że w pewnej chwili jakiś mój ruch skojarzył się paru widzom ze zmanierowanym zachowaniem mego ojca i rozległy się śmiechy zupełnie nieusprawiedliwione akcją przedstawienia, oraz to, że na początku drugiego aktu na niebie pojawiła się Sainte Annez doskonale widocznymi leniwymi rzekami i rozległymi zielonymi łąkomorzami, i skąpała widownię w zielonkawym blasku; aha, i jeszcze to, że pod koniec trzeciej odsłony ujrzałem kamerdynera ojca

przeciskającego się między ostatnimi rzędami. Zaraz potem dziewczęta, jak czarne cienie z jaśniejącymi zielonkawo brzegami, pospiesznie odeszły.

Tego lata daliśmy jeszcze trzy przedstawienia, wszystkie z takim samym powodzeniem. David, Phaedria i ja trzymaliśmy się razem, przy czym ona obdarzała nas mniej więcej takimi samymi względami - nie wiem, czy z własnej woli, czy za namową rodziców. Po wyzdrowieniu stała się dla Davida niemal równoprawną partnerką w wielu dyscyplinach sportowych, przewyższając sprawnością wszystkie dziewczęta, jakie przychodziły do parku, często jednak siadywała ze mną na ławce,

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

by wysłuchiwać monologów na tematy związane z botaniką i biologią (choć nie podzielała moich zainteresowań), dzielić się najświeższymi plotkami oraz popisywać się mną przed koleżankami i przyjaciółkami, jako że dzięki swemu odczytaniu potrafiłem celnie spointować każdą dyskusję i zawsze miałem w pogotowiu pełen arsenał dowcipnych powiedzonek.

To Phaedria zaproponowała - kiedy stało się jasne, że zyski z biletów sprzedanych na pierwszy spektakl nie wystarczą na kostiumy i dekoracje, które zamierzaliśmy wykorzystać w drugiej inscenizacji - żeby po zakończeniu przedstawienia wychodzić między widzów i zbierać datki, a nawet, gdyby nadarzyła się okazja, posunąć się do drobnych kradzieży. Niestety, większość ludzi miała zbyt wiele rozumu, żeby przychodzić wieczorem do parku z większą ilością pieniędzy niż trzeba na bilety i, ewentualnie, lody albo napoje, więc niezależnie od tego, jak bardzo byliśmy nieuczciwi, dochody wciąż nie przedstawiały się imponująco. Wkrótce wszyscy, a szczególnie Phaedria i David, zaczęliśmy snuć plany dotyczące bardziej

ryzykownych, ale i bardziej lukratywnych przedsięwzięć.

Mniej więcej w tym właśnie czasie - najprawdopodobniej w wyniku intensywnej i nieprzerwanej eksploatacji najgłębszych pokładów mojej jaźni podczas odbywających się niemal co noc spotkań, do których zdążyłem już tak przywyknąć, że nawet nie zastanawiałem się nad ich sensem - zaczęły mnie coraz częściej nawiedzać niepokojące utraty świadomości. David i pan Million opowiadali mi później, że zachowywałem się całkiem normalnie - może tylko byłem nieco spokojniejszy niż zazwyczaj, odpowiadałem na pytania sensownie, choć obojętnie, po czym nagle otrząsałem się i rozglądałem ze zdumieniem po otoczeniu; nawet jeśli było już wczesne popołudnie, ja nie pamiętałem zupełnie, co robiłem od rana.

Chociaż wciąż kochałem pana Milliona tak samo jak w dzieciństwie, to jednak po rozmowie, podczas której poznałem prawdziwe znaczenie napisu na jego korpusie, traktowałem go trochę inaczej. Ani na chwilę nie mogłem zapomnieć (nie zapomniałem tego do dzisiaj), że osobowość, która stała mi się tak bliska, w rzeczywistości umarła wiele lat przed moim przyjściem na świat i mam do czynienia tylko z jej matematyczną imitacją, reagującą tak samo jak oryginał na bodźce zewnętrzne. Nigdy nie zdołałem ustalić, czy pan Million jest świadomy na tyle, by mieć prawo mówić „myślę” i „czuję”. Kiedy go o to pytałem, wyznawał, że on również nie zna odpowiedzi, a nie będąc w stanie dokonać porównania, nie wie, na ile jego procesy myślowe odpowiadają standardom pełnej świadomości. Ja z kolei, ma się rozumieć, nie potrafiłem ocenić, czy taka odpowiedź świadczy o głębi przemyśleń duszy zamkniętej w abstrakcyjnych otchłaniach umysłu symulatora, czy słyszę jedynie przygotowany zawczasu tekst, odtworzony pod wpływem impulsu, jakim było moje pytanie.

Jak już wspomniałem, nasz teatr przetrwał całe lato. Podczas ostatniego spektaklu na scenę sypały się już pożółkłe liście, niczym przesycone zapachem perfum listy, które ktoś wyrzucił ze starego kufra. Kiedy ukłony dobiegły końca, ogarnęło nas tak wielkie wyczerpanie - bądź co bądź, nie tylko napisaliśmy wszystkie sztuki, ale i występowaliśmy w nich przez cały sezon - że pospiesznie zdjęliśmy kostiumy, zmyliśmy makijaż, po czym wmieszaliśmy się między ostatnich widzów

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

opuszczających amfiteatr i razem z nimi przy akompaniamencie nawoływań lelków podążyliśmy parkowymi ścieżkami w kierunku ulic i domów miasta. Byłem gotów natychmiast po powrocie objąć swoje obowiązki przy drzwiach, ale czekał tam już kamerdyner ojca i zaprowadził mnie prosto do biblioteki. Ojciec wyjaśnił oschłym tonem, że później będzie zajęty, w związku z czym porozmawia ze mną (tak się wyraził) już teraz. Wyglądał niezdrowo i sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego, tak że po raz pierwszy przyszła mi do głowy myśl, iż pewnego dnia umrze, ja zaś tego samego dnia zyskam jednocześnie wolność i majątek.

Rzecz jasna nie przypominam sobie, co mówiłem pod wpływem narkotyków, pamiętam za to dokładnie sen, który przyśnił mi się tej nocy, zupełnie jakbym dopiero co się z niego obudził. Płynąłem białym statkiem, takim jak te, które, ciągnięte przez woły, suną kanałem tak wolno, że ich ostre dzioby nie pozostawiają na wodzie prawie żadnego śladu. Byłem nie tylko jedynym członkiem załogi, ale w ogóle jedyną żywą duszą na pokładzie. Na rufie, uczepiony wielkiego koła sterowego w taki sposób, że to raczej ono nim sterowało, stał trup wysokiego szczupłego mężczyzny o twarzy takiej samej jak twarz na ekranie pana Milliona, a ta, jak już

mówiłem, mocno przypominała oblicze mego ojca. Ja jednak wiedziałem, że nie ojciec stoi przy sterze.

Podróż trwała bardzo długo. Płynęliśmy chyba po otwartym morzu, z silnym wiatrem wiejącym z lewej burty. Kiedy nocą wspinałem się po olinowaniu, maszty i reje drżały i śpiewały na wietrze, żagle rozpościerały się nade mną, po bokach i w dole, dokoła zaś wyrastały kolejne maszty z niezliczonymi rejami i żaglami. Kiedy za dnia pracowałem na pokładzie, bryzgi morskiej wody moczyły mi koszulę i pozostawiały ślady w kształcie łez na deskach, które szybko schły w promieniach słońca.

Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek naprawdę znalazł się na takim statku, ale może stało się tak w moim najwcześniejszym dzieciństwie, ponieważ skrzypienie masztów, świst wiatru w olinowaniu oraz łoskot fal rozbijających się o drewniany kadłub były równie wyraźne, realistyczne i oczywiste jak dobiegające z dachu śmiechy i odgłosy tłuczonego szkła, które towarzyszyły mi nocami, gdy starałem się zasnąć, albo dźwięk sygnałówek z cytadeli, który niekiedy budził mnie o świcie.

Miałem pełne ręce roboty, choć trudno mi powiedzieć, czemu te zajęcia mogły służyć. Nosilem wiadrami wodę do szorowania pokładu pokrytego zaschniętą krwią, ciągnąłem za liny niewiązane do niczego (albo raczej przymocowane do dużych, ciężkich przedmiotów ukrytych w górze za żaglami), obserwowałem horyzont z dziobu i rufy, z bocianiego gniazda i dachu nadbudówki, ale kiedy hen, daleko wodował gwiazdolot z rozżarzonymi do białości tarczami ochronnymi, nikomu o tym nie zameldowałem.

Przez cały czas trup przy kole sterowym do mnie mówił. Głowa zwisała mu

bezwładnie, jakby miał złamany kark, i przy każdym gwałtowniejszym obrocie wielkiego koła, szarpanego uderzeniami fal o ster, zataczała się w lewo lub w prawo, odchylała do tyłu albo opadała mu na pierś. Mimo to nie przestawał mówić ani na chwilę; dotarło do mnie - choć nie rozumiałem wiele - iż opowiada o jakiejś etycznej

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

teorii, której założenia nawet jemu wydawały się wątpliwe. Bałem się tej trwającej bez końca przemowy i robiłem wszystko co w mojej mocy, by jak najwięcej czasu spędzać na dziobie, jednak niekiedy silniejszy podmuch wiatru przynosił strzępy jego słów, ja natomiast, ilekroć oderwałem się od pracy, stwierdzałem ze zdumieniem, że jestem znacznie bliżej rufy, niż przypuszczałem, albo nawet że niemal dotykam martwego sternika.

Po długim czasie, kiedy już czułem się bardzo samotny i byłem ogromnie zmęczony, otworzyły się drzwi jednej z kabin, z wnętrza wyłoniła się moja ciotka i zawisa wyprostowana jakieś dwie stopy nad pochylonym pokładem. Jej suknia nie zwisała nieruchomo jak zazwyczaj, lecz powiewała na wietrze niczym chorągiew, co stwarzało wrażenie, że ciotka lada chwila odleci.

- Nie zbliżaj się do tego człowieka, ciotko - powiedziałem, nie bardzo wiedząc czemu. - Może zrobić ci coś złego.

- Nonsens, Numerze Piąty - odrzekła tak naturalnie, jakbyśmy stali w korytarzu przed drzwiami mojej sypialni. - On już nikomu nie zrobi nic złego ani dobrego.

Powinniśmy raczej zająć się moim bratem.

- Gdzie on jest?

- Na dole. - Wskazała pokład, może miała na myśli ładownię. - Próbuje ustalić,

dlaczego ten statek stoi w miejscu.

Wychyliłem się za burtę i zamiast morza ujrzałem nocne niebo. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, roiło się od gwiazd, a ja stwierdziłem ze zdumieniem, że ciotka ma rację: statek nie sunął naprzód, nawet się nie kołysał, lecz trwał w całkowitym bezruchu. Spojrzałem na nią ponownie.

- Nie porusza się - wyjaśniła - ponieważ mój brat unieruchomił go aż do chwili, kiedy ustali, dlaczego statek się nie porusza.

Niemal w tej samej chwili stwierdziłem, że zsuwam się po linie do czegoś, co chyba było ładownią cuchnącą zwierzętami. Obudziłem się, choć nie od razu zdałem sobie z tego sprawę.

Moje stopy zetknęły się z podłogą, a ja ujrzałem obok siebie Davida i Phaedrię. Znajdowaliśmy się w obszernym, podobnym do strychu pomieszczeniu. Gdzieś blisko zapał kogut. Phaedria, śliczna jak zwykle, była tak zdenerwowana, że aż zagryzała dolną wargę.

- Jak myślicie, gdzie są pieniądze? - zapytał David. Niósł skrzynkę z narzędziami.

- Nie musimy się spieszyć - powiedziała Phaedria, jakby spodziewała się usłyszeć coś innego albo jakby w ogóle nic nie usłyszała, zaprzątnięta własnymi myślami. - Marydol stoi na straży.

Marydol była jedną z dziewcząt, które występowały w naszych przedstawieniach.

- Jeżeli jeszcze nie uciekła. Jak myślisz, gdzie mogą być pieniądze?

- Nie tutaj. Na dole, w pokoju za gabinetem.

Ostrożnie ruszyła naprzód. Była cała ubrana na czarno, od baletek poczynając, na wstążce we włosach kończąc, w związku z czym jej biała twarz i ręce wydawały się

jeszcze bielsze, karminowe usta zaś raziły niczym pozostawiona przez pomyłkę kolorowa plama. David i ja podążyliśmy za nią.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Na podłodze, w dość znacznych odstępach, stały drewniane skrzynki z drobiem.

W każdej znajdował się jeden ptak, ale dopiero kiedy dotarliśmy do otwartej klapy w podłodze, uświadomiłem sobie, że to bojowe koguty. W pewnej chwili przez któryś ze świetlików wpadł promień słońca i oświetlił jedną ze skrzynek; kogut wyprostował się, rozpostarł skrzydła i potoczył dokoła spojrzeniem krwistoczerwonych oczu. Był upierzony kolorowo jak papuga.

- Chodźmy - szepnęła Phaedria. - Teraz będą psy.

Jak tylko zaczęliśmy schodzić po drabinie, piętro niżej wybuchła nieopisana wrzawa.

Psy uwiązano w boksach oddzielonych wysokimi ściankami, między rzędami boksów pozostawiono szerokie przejścia. Co prawda wszystkie zwierzęta były przeznaczone do walki, ale należały do rozmaitych ras: od dziesięciofuntowych terierów poczynając, na mastyfach dorównujących wielkością niedużym koniom kończąc - potwornych stworzeniach o zniekształconych głowach i potężnych szczękach, zdolnych jednym chapnięciem odgryźć obie nogi dorosłemu mężczyźnie.

Od zgiełku, jaki czyniły, aż trzęsła się drabina; jak tylko z niej zesliśmy, chwyciłem Phaedrię za ramię i na migi dałem jej do zrozumienia, że powinniśmy jak najprędzej stąd odejść, było bowiem dla mnie oczywiste, iż znaleźliśmy się tu bez pozwolenia.

Ona jednak energicznie pokręciła głową, a następnie, ponieważ nie zdołałem jej zrozumieć, mimo że przesadnie poruszała ustami, pośliniła palec i napisała na

zakurzonej ścianie: NIE SZKODZI ONE CIĄGLE SZCZEKAJĄ WYSTARCZY
BYLE HAŁAS.

Na kolejną kondygnację zeszliśmy po schodach, do których dotarliśmy po otwarciu ciężkich, ale nie zamkniętych na klucz drzwi, przypuszczalnie służących jedynie jako zaporę przeciwko hałasowi. Chociaż tej funkcji nie pełniły najlepiej, poczułem się znacznie lepiej, kiedy zamknęliśmy je za sobą. Zdążyłem już całkowicie oprzytomnieć i na dobrą sprawę powinienem był powiedzieć Davidowi i Phaedrii, że nie mam pojęcia, gdzie jestem i co robię, ale powstrzymał mnie wstyd. Poza tym nietrudno było się domyślić, co zamierzamy. David zapytał przecież, gdzie są pieniądze, a wcześniej wielokrotnie rozmawialiśmy - wydawało mi się, że na tym się skończy - o dokonaniu jednego, ale za to poważnego rabunku, który uchroniłby nas przed koniecznością częstego popełniania drobniejszych przestępstw. Gdzie byliśmy, dowiedziałem się, kiedy stamtąd odchodziliśmy, a skąd się tam wzięliśmy, domyśliłem się na podstawie uwag rzucanych mimochodem podczas rozmowy. Budynek, początkowo pełniący funkcję magazynu, stał przy rue des Egouts, prawie nad zatoką. Jego obecny właściciel zaopatrywał entuzjastów walk zwierząt - i nie tylko - i podobno zgromadził największą kolekcję „zawodników” w całym departamencie. Ojciec Phaedrii dowiedział się, że człowiek ów właśnie załadował na statek część najbardziej wartościowych okazów, więc natychmiast udał się do niego, by porozmawiać o interesach, zabierając ze sobą Phaedrię. Ponieważ wiedzieliśmy, że przybytek ten otwiera podwoje nie wcześniej niż po ostatnim Aniele Pańskim, zjawiliśmy się nazajutrz krótko po drugim i weszliśmy przez świetlik. Trudno mi opisać widok, jaki ukazał się naszym oczom na kolejnym piętrze, do którego dotarliśmy, a które było pierwszym piętrem budynku. Co prawda

Piąta głowa Cerbera

wielokrotnie widywałem niewolników przeznaczonych do walki, kiedy w drodze do biblioteki wraz z panem Millionem i Davidem przechodziłem przez targ niewolników, nigdy jednak więcej niż dwóch lub trzech jednocześnie, do tego zakutyh w ciężkie kajdany. Tutaj było ich mnóstwo. Przez chwilę zastanawiałem się, dlaczego nie rozszarpią się nawzajem na strzępy, a przy okazji również nas, potem jednak zobaczyłem, iż każdy jest przykuty krótkim łańcuchem do solidnego sworznia w podłodze; wydeptane kręgi świadczyły, jak daleko mógł sięgnąć każdy z więźniów. Nieliczne meble w postaci sienników oraz krzeseł i ławek były albo zbyt lekkie i za miękkie, żeby, nawet rzucone z dużą siłą, mogły komukolwiek wyrządzić krzywdę, albo zbyt ciężkie, by ktokolwiek zdołał ruszyć je z miejsca. Spodziewałem się, że niewolnicy powitają nas wyzwiskami i pogrozkami, jakimi obrzucali się zawsze przed walką, oni chyba jednak zdążyli już pojąć, że dopóki są przykuci, niewiele mogą zrobić. Co prawda wszystkie głowy zwróciły się w naszą stronę, ale jak tylko stwierdzili, że nie przynieśliśmy nic do jedzenia, przestali się nami interesować.

- To chyba nie są ludzie, prawda? - spytała Phaedria. Szła wyprostowana jak żołnierz na defiladzie i z zainteresowaniem przyglądała się niewolnikom. Kiedy na nią patrzyłem, uświadomiłem sobie ze zdziwieniem, że jest wyższa i szczuplejsza, niż mi się wydawało, i że jest nie tylko ładna, ale wręcz piękna. - To z pewnością jakieś zwierzęta.

Dzięki moim studiom byłem trochę lepiej poinformowany, wyjaśniłem jej więc, że urodzili się jako ludzie, a niektórzy z nich byli nimi jeszcze w wieku dziecięcym, i

że wszelkie różnice między nimi a nami stanowią rezultat zabiegów chirurgicznych (dokonywanych także na mózgu) oraz chemicznych ingerencji w ich systemy wewnętrzwydzielnicze - naturalnie oprócz tych najbardziej oczywistych i od razu rzucających się w oczy, spowodowanych obrażeniami, jakich doznali podczas walk.

- Wasz ojciec robi coś takiego z małymi dziewczynkami, prawda? Z tymi, które kupuje do swojego domu.

- Bardzo rzadko - odparł David. - Takie zabiegi zajmują mnóstwo czasu, a większość klientów i tak woli normalne dziewczęta. Nawet ci, którzy chcą, żeby były jak najbardziej dziwaczne.

- Chciałabym je kiedyś zobaczyć. Te, nad którymi pracował.

- To dla ciebie naprawdę taka nowość? - zdziwiłem się. - Wydawało mi się, że już tu przychodziłaś. Wiedziałaś o psach...

- Widziałam je wcześniej, a poza tym ten człowiek opowiadał o nich. Po prostu głośno myślę. To by było okropne, gdyby nadal byli ludźmi.

Śledzili nas wzrokiem, a ja zastanawiałem się, czy coś zrozumieli z naszej rozmowy.

Parter bardzo się różnił od wyższych kondygnacji. Na obitych boazerią ścianach wisiały oprawione fotografie psów, kogutów, niewolników oraz przedziwnych zwierząt. Przez wychodzące na rue des Egouts i zatokę wysokie, wąskie okna przeciskały się nieliczne promienie słońca, wydobywając z mroku to podłokietnik wyściełanego czerwoną skórą fotela, to nie większy od książki fragment ciemnobrązowego dywanu, to znowu do połowy opróżnioną karafkę. Zrobiłem trzy

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

kroki naprzód... i stanąłem jak wryty, ponieważ zobaczyłem idącego mi naprzeciw wysokiego młodego człowieka o wąskich ramionach. Na mój widok zatrzymał się raptownie z wyrazem zaskoczenia na twarzy, a ja dopiero wtedy się zorientowałem, że to tylko moje odbicie w dużym, oprawionym w złoconą ramę zwierciadle.

Jednocześnie doznałem przelotnego, ale mocno dezorientującego uczucia, które ogarnia nas czasami, gdy pozornie nieznajoma osoba odwróci się niespodziewanie albo wykona jakiś charakterystyczny ruch, a wtedy rozpoznajemy w niej dobrego przyjaciela i dziwimy się, że kiedy patrzyliśmy na niego oczami kogoś obcego, wyglądał zupełnie inaczej. Ten chłopiec o spiczastej brodzie i markotnej minie był mną - tak widzieli mnie Phaedria, David, pan Million i moja ciotka.

- Tutaj właściciel rozmawia z klientami - powiedziała Phaedria. - Jeżeli sprzedaje coś, co akurat ma na składzie, jego pracownicy sprowadzają na dół pojedyncze egzemplarze, ale ujadanie słyhać nawet tutaj. Zaprowadził tatę i mnie na górę i pokazał nam wszystko.

- Nawet miejsce gdzie trzyma pieniądze? - zapytał David.

- Widzicie tę tkaninę? Wygląda jak obicie ściany, ale w rzeczywistości to tylko zasłona. Kiedy tu siedzieliśmy, jakiś człowiek przyszedł oddać mu dług, a on wziął pieniądze i zaniósł je właśnie tam.

Za zasłoną znajdowały się drzwi prowadzące do niedużego gabinetu z kolejnymi drzwiami w przeciwległej ścianie. Nigdzie nie było ani śladu sejfu. David włamał się do biurka - łom wyjął ze skrzynki z narzędziami - ale znaleźliśmy tylko jakieś dokumenty. Właśnie zamierzałem otworzyć drugie drzwi, kiedy dobiegł zza nich odgłos podobny do drapania albo szurania.

Przez długą chwilę żadne z nas nie wykonało najmniejszego ruchu; ja zastygłem

z ręką na klamce, za moimi plecami Phaedria właśnie zaglądała pod dywan w poszukiwaniu skrytki, David głośno oddychał pochylony nad biurkiem. Znowu coś zaszurało, skrzypnęła deska.

- To jakieś zwierzę - wyszeptał prawie bezgłośnie David. Ostrożnie cofnąłem rękę i spojrzałem na niego. Wciąż ścisnął w dłoniach łom i był bardzo blady, ale uśmiechał się. - Zwierzę, które ktoś tam uwiązał. To wszystko.

- Skąd wiesz?

- Gdyby to był człowiek, albo wyszedłby, żeby sprawdzić, co to za hałasy, albo ukryłby się i siedział cicho.

- David ma rację - odezwała się Phaedria. - Otwórz drzwi.

- A jeżeli to nie zwierzę?

- Zwierzę.

- Załóżmy jednak, że nie?

Wyczytałem odpowiedź z ich twarzy. David mocniej ścisnął łom, a ja nacisnąłem klamkę i pchnąłem drzwi.

Pokój był duży, ale skąpo umeblowany i bardzo brudny. Jedyne źródło światła stanowiło okno umieszczone wysoko w przeciwległej ścianie, pośrodku pomieszczenia stała wielka skrzynia z ciemnego drewna, z żelaznymi okuciami, przed nią zaś leżało coś, co w pierwszej chwili wziąłem za stertę szmat. Wystarczyło jednak, że postąpiłem krok naprzód, a szmaty drgnęły i spomiędzy nich wysunęła się

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

trójkątna twarz, jakby modliszki. Brodę dzieliła od podłogi odległość najwyżej cala, ale w oczach osadzonych pod wydatnymi łukami brwiowymi płonęły niewielkie

szkarłatne ogniki.

- To na pewno to - powiedziała Phaedria. Patrzyła nie na twarz, lecz na okutą skrzynię. - Davidzie, uda ci się ją otworzyć?

- Chyba tak. - Podobnie jak ja, wpatrywał się w oczy stworzenia przyodzianego w łańchmany. - A co z tym? - zapytał po chwili.

Zanim któreś z nas zdążyło odpowiedzieć, istota otworzyła usta, odsłaniając długie żółtoszare zęby.

- Chory... - wycharczała.

Chyba nikt z nas nie podejrzewał, że potrafi mówić, było więc to dla nas takie samo zaskoczenie, jakby nagle przemówiła mumia. Ulicą przejechał powóz, zaterkotały żelazne obręcze kół po bruku.

- Chodźmy stąd - bąknął David.

- On jest chory - powiedziała Phaedria. - Nie rozumiecie? Właściciel umieścił go tutaj, żeby się nim opiekować. Jest chory, i tyle.

- Czy właśnie dlatego że jest chory, przykuł go do skrzyni z pieniędzmi? - zapytał David z powątpiewaniem.

- To jedyny mebel w pokoju, w dodatku ciężki. Wystarczy, że podejdziesz i uderzysz go łomem w głowę. Jeśli się boisz, ja to zrobię.

- Nie trzeba.

Podeszliśmy obaj. David wykonał władczy gest ręką, w której trzymał łom.

- Hej, ty! Odsuń się!

Niewolnik wybełkotał coś niezrozumiale i odczołgał się na bok, wlokąc za sobą łańcuch. Był owinięty brudnym, poszarpanym kocem i wydawał się niewiele większy od dziecka, chociaż miał ogromne ręce.

Odwróciłem się do Phaedrii z zamiarem poproszenia jej, byśmy stąd odeszli, gdyby okazało się, że David nie jest w stanie szybko otworzyć skrzyni. Pamiętam, że zanim cokolwiek usłyszałem albo poczułem, otworzyła szeroko oczy; wciąż jeszcze zastanawiałem się dlaczego, kiedy torba Davida upadła z łoskotem na podłogę, zaraz potem upadł mój brat, zdążywszy wydać tylko coś jakby zduszone westchnienie.

Phaedria wrzasnęła przeraźliwie, a psy na drugim piętrze zaczęły wściekle ujadać. Wszystko to, rzecz jasna, trwało niewiele ponad sekundę. Obróciłem się na pięcie niemal w tej samej chwili, kiedy głowa Davida uderzyła w podłogę. Okazało się, że niewolnik chwycił go za kostkę i powalił silnym szarpnięciem; momentalnie odrzucił koc i skoczył na niego.

Chwyciłem napastnika za kark, przekonany, że kurczowo chwyci się Davida i będę musiał użyć wszystkich sił, by ich rozłączyć, on jednak, jak tylko poczuł mój uchwyt, puścił zdobycz i zaczął się szarpać jak schwytyany pająk. Miał czworo ramion.

Kiedy to spostrzegłem, cisnąłem go na podłogę i odskoczyłem z obrzydzeniem, jakby ktoś cisnął mi szczura w twarz. Ta instynktowna reakcja chyba mi uratowała życie, bo zadał obiema nogami potężne kopnięcia, które, gdyby trafiło w mój brzuch, przypuszczalnie by mnie zabiło. Stało się jednak inaczej: on potoczył się w jedną

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

stronę, ja w drugą, poza zasięg łańcucha. Tymczasem David zdążył się podnieść, Phaedria zaś na wszelki wypadek odsunęła się jeszcze o krok.

Przez jakiś czas przyglądaliśmy mu się w milczeniu, po czym David zacytował cierpkim tonem:

Bo przyszła Trojan zguba i kres długiej wojny.

Niezgodne przedtem bogi w jednym zdaniu stoją,

Wszystkie Hera skłoniła; złe wisi nad Troją.

Nie mieliśmy nastroju do żartów. Phaedria westchnęła głośno i zapytała:

- Jak oni to zrobili?

Wyjaśniłem, że przypuszczalnie przeszczepili dodatkową parę ramion, zmniejszywszy uprzednio naturalny opór organizmu przed przyjmowaniem obcej tkanki, oraz że w trakcie operacji najprawdopodobniej usunięto mu kilka żeber, zastępując je elementami barków dawcy.

- Wykonywałem podobne eksperymenty na myszach, choć oczywiście na znacznie skromniejszą skalę, i dlatego jestem zdumiony, że wydaje się mieć pełną władzę w dodatkowych ramionach. Najwięcej problemów przysparzało mi zawsze łączenie nerwów. Ktokolwiek tego dokonał, z pewnością zanotował najpierw setki niepowodzeń. Ten niewolnik musi być wart fortunę.

- Wydawało mi się, że wypuściłeś myszy na wolność i zająłeś się małpami - zauważył David.

Miałem taki zamiar, lecz niestety nie udało mi się go zrealizować. Mocno wątpiłem, czy akurat teraz i w tym miejscu powinniśmy rozmawiać na ten temat, i podzieliłem się z Davidem swymi wątpliwościami.

- Wydawało mi się, że chcesz jak najprędzej stąd wyjść.

Istotnie, chciałem, ale przedtem; teraz chciałem czegoś innego, i to znacznie bardziej. Pragnąłem przeprowadzić operację na tej istocie, by dokładnie poznać jej budowę wewnętrzną, mocniej niż David albo Phaedria kiedykolwiek pragnęli pieniędzy. David lubił myśleć, że jest ode mnie odważniejszy. Wiedziałem więc

dobrze, jak powinienem postąpić.

- Jeśli chcesz uciec, nie krępuj się, ale wolałbym, żebyś się mną nie zasłaniał - odparłem.

Dobrze zagrałem. David zmierzył mnie niechętnym spojrzeniem i powiedział:

- Dobra, dobra. W takim razie jak go zabijemy?

- Możemy stanąć tuż poza zasięgiem jego ramion i rzucać w niego ciężkimi przedmiotami - zaproponowała Phaedria.

- A on będzie odrzucał to, co nie trafi w cel.

Podczas naszej rozmowy czteroręki niewolnik ani na chwilę nie przestawał się uśmiechać. Byłem pewien, że rozumie przynajmniej część z tego, co mówimy, dałem więc znak Davidowi i Phaedrii, byśmy przeszli do sąsiedniego pokoju. Zamknąłem drzwi.

- Nie chciałem, żeby nas słyszał - wyjaśniłem. - Gdybyśmy mieli jakieś dzidy albo włócznie, moglibyśmy go zabić, nie zbliżając się za blisko. Czekam na pomysły.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

David bezradnie podrapał się po głowie, Phaedria natomiast powiedziała:

- Czekaście! Coś sobie przypomniałam.

Zmarszczyła brwi i przez chwilę udawała, że szuka w pamięci, choć w rzeczywistości chodziło jej wyłącznie o to, byśmy czekali w napięciu na jej słowa.

- I co? - nie wytrzymał wreszcie David.

Strzeliła palcami.

- Tyczki do okien. Wiecie, te długie kije z haczykami na końcu. Pamiętacie okna w dużym pokoju? Są bardzo wysoko. Kiedy tu byliśmy, przyszedł służący z taką

tyczką i otworzył okno. Powinny gdzieś tu być.

Po krótkich poszukiwaniach znaleźliśmy dwa takie kije. Wyglądało na to, że nadają się do naszych potrzeb: miały około sześciu stóp długości, niespełna półtora cala średnicy i były wykonane z twardego drewna. David zamarkował atak na Phaedrię, po czym zapytał:

- Z czego zrobimy grot?

W kieszeni na piersi miałem skalpel, z którym nigdy się nie rozstawałem.

Przytwierdziłem go do końca kija taśmą izolacyjną - na szczęście David miał ją przy pasku, a nie w torbie z narzędziami. Długo się zastanawialiśmy, z czego zrobić drugi grot, aż wreszcie mój brat zaproponował kawałek szkła.

- Nie możemy stłuc szyby, bo usłyszą nas na zewnątrz - powiedziała Phaedria. -

Jesteś pewien, że taki grot nie złamie się przy pierwszym uderzeniu?

- Nie, jeżeli szkło będzie wystarczająco grube. Patrzcie tutaj. Spojrzałem... i ponownie zobaczyłem własną twarz. David wskazywał wielkie zwierciadło, które sprawiło mi taką niespodziankę, kiedy tutaj wszedłem. Uderzył w nie butem.

Rozpadło się na niezliczone fragmenty z trzaskiem, który wywołał kolejną falę wściekłego ujadania. Następnie wybrał długi, trójkątny kawałek i podniósł go do światła; odłamek lustra zaśnił jak drogocenny klejnot.

- Chyba nie gorszy od tych, które robili na Sainte Anne z agatu i jaspisu, co?

Uzgodniliśmy, że zajdziemy go z dwóch stron. Niewolnik wskoczył na skrzynię i obserwował nas stamtąd ze spokojem, przenosząc wzrok z Davida na mnie i z powrotem. Kiedy zbliżyliśmy się na wystarczającą odległość, David zaatakował jako pierwszy.

Niewolnik wykonał unik, dzięki czemu szklane ostrze tylko prześlizgnęło mu się po żebrach, po czym chwycił za drzewce i pociągnął ku sobie. Ja także wykonałem pchnięcie, lecz chybiłem; nim zdążyłem odzyskać równowagę, on zeskoczył już ze skrzyni i rzucił się na Davida. Zacząłem uderzać moją włócznią, usłyszałem przeraźliwy krzyk brata, ujrzałem tryskającą tętniczą krew i dopiero wtedy zorientowałem się, że trafiłem go w udo. Natychmiast odrzuciłem broń, po czym dałem susa przez skrzynię i przyłączyłem się do walki wręcz.

Niewolnik czekał na mnie, leżąc na wznak, z wystawionymi w górę nogami i ramionami. Wyglądał jak gigantyczny, szczerzący zęby pająk. Z pewnością by mnie

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

udusił, gdyby nie David, który chyba zupełnie przypadkowo akurat wtedy zasłonił mu oczy przedramieniem, dzięki czemu cztery ręce nie zacisnęły się na moim gardle.

Niewiele pozostaje do opowiedzenia. Niewolnik odepchnął Davida, przyciągnął mnie do siebie i usiłował rozszarpać mi gardło zębami, ja jednak wbiłem mu kciuk w oko, Phaedria natomiast (okazała się znacznie odważniejsza, niż przypuszczałem) włożyła mi do wolnej ręki włócznię Davida. Wbiłem szklane ostrze w gardło czwororękiej istoty, przerywając obie tętnice i krtań. Następnie założyliśmy opaskę na udo Davida i uciekliśmy - bez pieniędzy i bez wiedzy, o jaką pragnąłem się wzbogacić. Marydol pomogła nam odtransportować Davida do domu, gdzie powiedzieliśmy panu Millionowi, że potknął się i upadł podczas penetrowania starego opuszczonego budynku. Wątpię jednak, żeby nam uwierzył.

Jest jeszcze coś, co powinienem powiedzieć o tym zdarzeniu - to znaczy o zabiciu niewolnika - chociaż kusi mnie, żeby przejść od razu do opisu odkrycia,

którego dokonałem wkrótce potem i które, przynajmniej wtedy, odcisnęło na mnie znacznie silniejsze piętno. Chodzi tylko o ulotne wrażenie, dodatkowo - jestem tego pewien - wyolbrzymione i zniekształcone w moich wspomnieniach. Otóż kiedy podrzynałem gardło niewolnikowi, dostrzegłem w jego oczach (moja twarz była tuż przy jego twarzy, światło padało z okna za moimi plecami) swoje podwójne odbicie w jego tęczęwkach. Przez chwilę wydawało mi się, że nasze twarze są do siebie bardzo podobne. Nie jestem w stanie o tym zapomnieć, szczególnie w kontekście uzyskanych od doktora Marscha informacji o klonowaniu oraz opinii handlarza dziećmi, jaką cieszył się mój ojciec, kiedy miałem kilka lat. Od momentu uwolnienia staram się odnaleźć matkę, czyli kobietę z fotografii, którą pokazała mi ciotka, domyślam się jednak, iż zdjęcie to wykonano długo przed moim przyjściem na świat, być może nawet na Ziemi.

Odkrycia, o którym wspomniałem, udało mi się dokonać niemal natychmiast po opuszczeniu budynku, w którym zabiłem niewolnika. Otóż spostrzegłem, że mamy już nie jesień, tylko środek lata. Ponieważ wszyscy czworo (dołączyła do nas stojąca na straży Marydol) niepokoił się o Davida i jednocześnie byliśmy zajęci fabrykowaniem jak najmniej nieprawdopodobnej historyjki, która pozwoliłaby wyjaśnić, skąd się wzięła jego rana, wstrząs, jakiego doznałem, nie był aż tak wielki, niemniej jednak nie mogło być mowy o pomyłce: taki wilgotny upał panował wyłącznie latem. Drzewa - ostatnio widziałem je całkiem nagie teraz uginały się pod ciężarem liści, wśród których uwijały się wilgi. W fontannie w ogrodzie nie szemrała już ciepła woda, która miała chronić rury i samą fontannę przez zamarznięciem; kiedy zanurzyłem rękę w baseniku, stwierdziłem, że woda jest chłodna jak rosa. Okazało się więc, że okresy utraty świadomości, czy też lunatykowania, pożarły mi

całą zimę i wiosnę. Poczulem się tak, jakbym utracił część siebie.

W domu od razu wskoczyła mi na ramię małpa. Byłem pewien, że to zwierzę ojca, później jednak pan Million wyjaśnił, że należy do mnie. Podobno przeprowadzałem na niej doświadczenia w laboratorium, ale przypadła mi do gustu i zabrałem do siebie. Zupełnie nie mogłem sobie jej przypomnieć, lecz liczne blizny na jej ciele i zdeformowane kończyny świadczyły o tym, że zdążyliśmy zawrzeć bliższą znajomość.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Popo towarzyszy mi do dzisiaj. Podczas mego pobytu w więzieniu opiekował się nim pan Million. Przy dobrej pogodzie wciąż jeszcze wspina się na szare, nadgryzione zębem czasu mury domu, a kiedy widzę go biegnącego po parapetach lub przycupniętego na tle nieba, wydaje mi się niekiedy, że mój ojciec żyje i lada chwila zostaną wezwany do biblioteki... ale nie mam o to do niego pretensji.

Ojciec nie wezwał lekarza, tylko sam zajął się Davidem, i nawet jeśli zaintrygowało go, w jaki sposób syn nabawił się takiej rany, w żaden sposób tego nie okazał. Teraz jestem skłonny przypuszczać (jeśli takie domysły mają jakąkolwiek wartość), iż podejrzewał, że to ja użyłem noża w jakiejś sprzeczce. Wspominam o tym dlatego, że od tej pory zawsze, ilekroć zostawaliśmy sami, wydawał się mieć na baczności. Nie był tchórzem i zdążył przywyknąć do kontaktów z najgroźniejszymi przestępcami, niemniej jednak w moim towarzystwie już nigdy nie pozwolił sobie na pełną swobodę. Naturalnie nie sposób wykluczyć, iż przyczyną tego było coś, co zrobiłem albo powiedziałem podczas zimy, która nie pozostawiła śladu w mej

pamięci.

Marydol i Phaedria, a także moja ciotka i pan Million często odwiedzali Davida, w związku z czym pokój, w którym go umieszczono, stał się miejscem naszych spotkań, zakłócanych jedynie przez sporadyczne wizyty ojca. Bardzo polubiłem niewysoką, jasnowłosą Marydol o łagodnym usposobieniu. Nierzadko odprowadzałem ją do domu, w drodze powrotnej zaś zatrzymywałem się na targu niewolników, tak jak niegdyś czyniłem z panem Millionem i Davidem, kupowałem prażony chleb i słodką czarną kawę, i śledziłem przebieg licytacji. Niewolnicy mają najbardziej tępe twarze na świecie, ja jednak wpatrywałem się w nie godzinami; minęło sporo czasu, chyba ponad miesiąc, zanim całkiem nagle i niespodziewanie pojałem, dlaczego to czynię. Na podest wyprowadzono młodego mężczyznę, zamiatacza. Jego twarz i grzbiet były pokryte bliznami po uderzeniach bicia, nie miał większości zębów, lecz mimo to i tak go rozpoznałem: wyglądał jak ja albo jak mój ojciec. Przemówiłem do niego, zamierzając kupić go i uwolnić, on jednak odpowiedział z taką służalczością i poddaństwem, że odwróciłem się z niesmakiem. Tej nocy w bibliotece (ojciec wezwał mnie po raz pierwszy od dłuższego czasu) przyglądałem się naszym odbiciom w lustrze zasłaniającym wejście do laboratorium. On wydawał się młodszy niż w istocie, ja - starszy. Na dobrą sprawę mogliśmy być tym samym człowiekiem; kiedy stanął twarzą do mnie, a ja, patrząc nad jego ramieniem, zobaczyłem swoją głowę wieńczącą korpus o czterech ramionach, odniosłem wrażenie, że spoglądam na niewolnika, którego znaleźliśmy w pokoju ze skrzynią.

Nie wiem, kto wpadł na pomysł, żeby go zabić. Pamiętam tylko tyle, że któregoś wieczoru, szykując się na spoczynek po odprowadzeniu Marydol i Phaedrii,

uświadomiłem sobie, że wcześniej, kiedy wraz z panem Millionem i ciotką siedzieliśmy przy łóżku Davida, rozmawialiśmy właśnie o tym.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Rzecz jasna nie otwarcie. Chyba nawet sami nie zdawaliśmy sobie do końca sprawy, co nam chodzi po głowie. Najpierw ciotka wspomniała o pieniądzach, które rzekomo ukrył, zaraz potem Phaedria przypomniała o luksusowym jachcie, David natomiast mówił o organizowanych z przepychem polowaniach i wpływach politycznych, jakie można zdobyć za pieniądze.

Ja w milczeniu rozmyślałem o godzinach, tygodniach i miesiącach, które mi odebrał, o moim ja, które systematycznie niszczył. Myślałem o tym, że może się zdarzyć, iż któregoś wieczoru wejść jak zwykle do biblioteki, ocknę się zaś jako starzec i żebrak. Zaraz potem zrozumiałem, iż muszę go zabić, gdybym bowiem wyjawiał mu te myśli, leżąc w narkotycznym transie na skórzanej kozetce, uśmierciłby mnie bez najmniejszego wahania.

Układałem plan, czekając na kamerdynera. Miało obyć się bez śledztwa, nawet bez stwierdzenia zgonu. Postanowiłem go po prostu zastąpić. Z punktu widzenia klientów nic się nie zmieni, Phaedria zaś powie naszym wspólnym znajomym, że posprzeczałem się z nim i wyjechałem. Przez jakiś czas nikomu nie będę się pokazywał, potem zaś, w makijażu, w zaciemnionym pokoju, zacznę od czasu do czasu przyjmować wybranych interesantów. Oczywiście plan był od początku skazany na niepowodzenie, mnie jednak wydawał się wówczas całkiem sensowny, a nawet łatwy w realizacji. Skalpel spoczywał w mojej kieszeni, gotowy do użycia. Ciała mogliśmy się pozbyć w laboratorium.

Wyczytał to z mojej twarzy. Rozmawiał ze mną tak samo jak zawsze, ale byłem pewien, że wie. W pokoju po raz pierwszy stały kwiaty; przemknęło mi przez głowę, że być może, domyślił się jeszcze wcześniej i polecił je przynieść, jakby chciał, by uświetniły szczególną okazję. Nie kazał mi położyć się na kozetce, tylko posadził w fotelu, sam natomiast zajął miejsce za biurkiem.

- Dzisiaj będziemy mieli towarzystwo - oświadczył.

Patrzyłem na niego w milczeniu.

- Jesteś na mnie wściekły. Widziałem, jak to w tobie narasta. Czyżbyś nie wiedział kto...

Przerwało mu pukanie do drzwi. Ojciec zawołał: „Wejść!” i Nerissa wprowadziła jedną z dziewcząt, której towarzyszył doktor Marsch. Nie spodziewałem się go zobaczyć, jeszcze bardziej jednak zdumiał mnie widok dziewczyny w bibliotece mego ojca. Sądząc po tym, że usiadła tuż przy Marschu, wybrał ją na tę noc.

- Dobry wieczór, doktorze - powiedział ojciec. - Dobrze się pan bawi?

Marsch odsłonił w uśmiechu duże kwadratowe zęby. Miał na sobie najmodniejsze ubranie, jego blada cera w dalszym ciągu mocno kontrastowała z ciemnym zarostem.

- Owszem, i to zarówno duchowo, jak i cieleśnie - odparł. - Widziałem na przykład, jak naga dziewczyna niespotykanych rozmiarów, prawdziwa olbrzymka dwa razy większa od dorosłego mężczyzny, przeszła przez ścianę.

- To hologramy - powiedziałem.

Uśmiechnął się ponownie.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

- Wiem. Widziałem też wiele innych rzeczy. Zamierzałem wymienić je wszystkie, lecz chyba znudziłbym publiczność, ograniczę się więc do stwierdzenia, że to niezwykle miejsce... Ale pan przecież doskonale o tym wie.

- Mimo to pochwały wciąż sprawiają mi ogromną przyjemność.

- Czy teraz odbędzie się dyskusja, o której wspominał pan wcześniej?

Ojciec spojrział na dziewczynę, a ta wstała, pocałowała doktora Marscha i wyszła z pokoju. Ciężkie drzwi zamknęły się za nią z delikatnym trzaskiem.

Jak odgłos zaskakującej zapadki albo dźwięk tłuczonego starego szkła.

Od tamtej pory wielokrotnie przywoływałem we wspomnieniach widok oddalającej się dziewczyny: pantofle na wysokich obcasach, groteskowo długie nogi, sukienka z dekoltem na plecach sięgającym kości ogonowej, odkryty kark, utrefione włosy ozdobione wstążeczkami i maleńkimi światełkami. Nie miała pojęcia, że zamykając za sobą drzwi, kończy istnienie świata takiego, jaki oboje znaliśmy.

- Zaczeka na pana - poinformował mój ojciec doktora.

- Nawet jeśli nie zaczeka, z pewnością dostarczy mi pan nową. - W blasku lamp oczy antropologa zdawały się płonąć jak dwa zielone ogniki. - Jak mogę panu pomóc?

- Bada pan między innymi ludzkie rasy. Czy nazwałby pan rasą grupę ludzi myślących w podobny sposób? I czy tutaj, na Sainte Croix, zbiera pan materiały, które zamierza pan wykorzystać na Ziemi?

- Rzeczywiście, zbieram materiały, ale wciąż jeszcze nie wiem, czy wrócę na ojczystą planetę. - Chyba wykonałem jakiś gwałtowny ruch, uśmiechnął się bowiem

do mnie pobłażliwie. - Dziwi cię to?

- Zawsze uważałem Ziemię za najważniejszy ośrodek myśli naukowej. Bez trudu mogę sobie wyobrazić uczonego, który opuszcza ją w celu przeprowadzenia badań w terenie, ale...

- ...ale nie mieści ci się w głowie, żeby nie chciał na nią wrócić? Spróbuj postawić się na moim miejscu. Na szczęście dla mnie, nie ty jeden szanujesz siwe włosy i mądrość matki Ziemi. Wasz uniwersytet zaproponował mi profesurę oraz pensję w takiej wysokości, jaką sam wyznaczę, a także co drugi rok wolny od prowadzenia zajęć, żebym mógł się poświęcić wyłącznie pracy naukowej. Podróż stąd na Ziemię trwa dwadzieścia lat newtonowskich - co prawda to zaledwie sześć miesięcy czasu subiektywnego, niemniej kiedy tam wrócę, moja wiedza będzie przestarzała o czterdzieści lat. Taka perspektywa wcale mi się nie uśmiecha.

Obawiam się, że wasza planeta zyskała wybitnego luminarza nauki.

- Mam wrażenie, że nieco odbiegamy od tematu - zauważył ojciec.

Marsch skinął głową.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

- Chciałem jeszcze tylko dodać, że właśnie antropolog jest najlepiej przygotowany do tego, by zdomowić się w każdej kulturze, nawet tak dziwnej jak ta, którą otoczyła się wasza rodzina. Chyba wolno mi nazywać was rodziną, ponieważ oprócz ciebie tworzą ją jeszcze dwie osoby. Nie macie nic przeciwko temu, żebym traktował was jak jednego człowieka? - Spojrzał na mnie, jakby właśnie z mojej strony oczekiwał protestu, a kiedy nie zareagowałem, mówił dalej: - Mam na myśli twojego syna Davida, ponieważ jest właśnie synem, a nie bratem twej wciąż

odnawiającej się osobowości, oraz kobietę, którą uważasz za ciotkę, a która w rzeczywistości jest córką... Jak by to powiedzieć?... Jednej z twoich wcześniejszych wersji.

- A więc twierdzi pan, że jestem sklonowaną kopią ojca. Najwyraźniej obaj oczekiwaliście gwałtownej reakcji z mojej strony, ale muszę was rozczarować: podejrzewałem to już od dłuższego czasu.

- Miło mi to słyszeć - powiedział ojciec. - Szczerze mówiąc, kiedy mniej więcej w twoim wieku dokonałem identycznego odkrycia, wstrząsnęło mną do głębi.

Poszedłem do biblioteki ojca, czyli do pokoju, w którym teraz siedzimy, zamierzając go zabić.

- I zrobił pan to? - zapytał doktor Marsch.

- Nie wydaje mi się, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Liczą się intencje. Mam nadzieję, że pańska obecność choć trochę pomoże Numerowi Piątemu.

- Tak go pan nazywa?

- Dla wygody, bo przecież nazywa się tak samo jak ja.

- Jest pańskim piątym sklonowanym dzieckiem?

- Moim piątym eksperymentem? O nie. - Wąskie, zgarbione ramiona okryte

wyblakłą purpurą starego szlafroka upodabniały ojca do drapieżnego ptaka. W którejś

z książek rzeczywiście znalazłem opis jastrzębia o czerwonym grzbiecie. Ulubiona

małpa ojca, skurczona ze starości, wspięła się na biurko. - Raczej pięćdziesiątym,

jeśli chce pan wiedzieć. Produkowałem je dla wprawy. Wy, którzy nigdy tego nie

robiliście, uważacie, że sprawa jest prosta, ponieważ słyszeliście o tym, że taką rzecz

da się zrobić, nie macie jednak najmniejszego pojęcia o tym, jak trudno unikać

spontanicznego powstania różnic. Każdy gen dominujący musiał takim pozostać, a że ludzie to nie gruszki, więc nie wszystko da się załatwić prostymi kombinacjami z parami genów.

- Czy niszczył pan owoce nieudanych eksperymentów?

- Sprzedawał je - powiedziałem, zanim zdążył otworzyć usta.

- Jeszcze w dzieciństwie zastanawiałem się, dlaczego pan Million zawsze przygląda się niewolnikom na targu. Teraz już wiem.

Ukryty w futerale skalpel wciąż miałem w kieszeni. Czułem go wyraźnie.

- Pan Million jest chyba nieco bardziej sentymentalny ode mnie - zauważył ojciec

- a poza tym ja nie lubię wychodzić z domu. Cóż, doktorze; chyba będzie pan musiał zmienić swoją teorię, według której jesteśmy tą samą osobą. Jak pan widzi, są jednak pewne różnice.

Tym razem nie dopuściłem do słowa doktora Marscha.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

- Dlaczego? - zapytałem. - Dlaczego właśnie David i ja? Dlaczego ciotka

Jeannine dawno temu? Dlaczego to wciąż trwa?

- Właśnie, dlaczego? - powtórzył za mną ojciec. - Zadajemy pytania tylko po to, żeby je zadawać.

- Nie rozumiem.

- Dążę do wiedzy na swój temat albo, jeśli walisz, dążymy do niej. Jesteś tu

dlatego, że robiłem i robię akurat to, nie coś innego, ja zaś jestem tutaj, ponieważ osobnik, który był przede mną, też to robił, on zaś z kolei stanowił rezultat

eksperymentów prowadzonych przez człowieka, którego umysł został odtworzony w

panu Millionie. Ale to nie wszystko. - Pochylił się do przodu, a stara mała podniosła
posiwiwały pysk i spojrzała mu prosto w oczy wielkimi, zdumionymi ślepiami. -
Pragniemy odkryć przyczynę naszych niepowodzeń, pragniemy się dowiedzieć,
dlaczego inni zmieniają się i rozwijają, a my wciąż trwamy tu w bezruchu.
Pomyślałem o jachcie, o którym rozmawiałem z Phaedrią, i oświadczyłem:
- Ja tu nie zostanę.

Doktor uśmiechnął się ponownie.

- Chyba mnie nie zrozumiałeś - odparł ojciec. - Mówiąc „tu”, nie miałem na
myśli tego miejsca, lecz pewien etap rozwoju intelektualnego i społecznego. Sporo
podróżowałem, ciebie też zapewne to czeka, lecz na koniec...

- ...wrócił pan do punktu wyjścia - dokończył za niego Marsch.

- Znaleźliśmy się w ślepej uliczce! - Pierwszy i ostatni raz widziałem ojca tak
podekscytowanego. Szerokim gestem wskazał półki uginające się pod ciężarem
zeszytów, notesów i taśm. - I to po tylu pokoleniach! Nie zdobyliśmy sławy ani
nawet władzy na tej nędznej planetce! Coś trzeba zmienić, ale co? - Wpatrywał się w
Marscha płonącym spojrzeniem.

- Nie jesteście wyjątkiem - powiedział doktor z uśmiechem.

- Wiem, że to brzmi jak truizm, ale miałem na myśli ciągłe powielanie tego
samego osobnika. Odkąd stało się to możliwe, czyli na jakieś dwadzieścia pięć lat
przed końcem dwudziestego wieku, na Ziemi często sięgano po tę metodę.

Pożyczyliśmy określenie od inżynierów i nazwaliśmy to zjawisko procesem
relaksacji - może nie najpiękniejsza nazwa, ale najbliższa prawdzie. Wie pan, co to
jest relaksacja?

- Nie.

- Istnieją zagadnienia, które można rozwiązać wyłącznie stosując kolejne przybliżenia. Weźmy na przykład problem wymiany ciepła z otoczeniem: początkowo nie da się precyzyjnie określić temperatury na powierzchni obiektu o skomplikowanym kształcie. Mimo to inżynier, a raczej jego komputer, jest w stanie przyjąć sensowne założenia, sprawdzić je, a potem, na podstawie wyników, poczynić kolejne założenia. W miarę jak zwiększa się liczba przybliżeń, prowadzone równoległe eksperymenty coraz bardziej upodabniają się do siebie, aż w końcu nie sposób mówić o jakichkolwiek różnicach. Właśnie dlatego twierdzę, że w gruncie rzeczy jesteście tą samą osobą.

Ojciec wyraźnie zaczął się niecierpliwić.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

- Chcę, aby wytłumaczył pan Numerowi Piątemu, że eksperymenty, które na nim przeprowadzam, a szczególnie terapeutyczne seanse narkotykowe, których tak nie lubi, są niezbędne, i jeśli mamy osiągnąć coś więcej, musimy się dowiedzieć... -

Chyba dopiero teraz zdał sobie sprawę, że prawie krzyczy. Umilkł raptownie, a kiedy ponownie przemówił, jego głos brzmiał prawie normalnie: - Po to właśnie został stworzony zarówno on, jak i David. Dzięki nim miałem nadzieję dowiedzieć się czegoś nowego.

- Bez wątplenia takie samo pragnienie towarzyszyło panu, kiedy znacznie wcześniej powołał pan do życia doktor Veil - zauważył Marsch. - Jeśli jednak chodzi o badania, które przeprowadza pan na swojej młodszej kopii, to równie dobrze mógłbym jemu pomóc badać pana.

- Chwileczkę! - wykrzyknąłem. - Wciąż pan powtarza, że jesteśmy identyczni,

ale to nieprawda! Owszem, pod pewnymi względami jesteście do siebie podobni, ale ja nie jestem taki sam jak ojciec.

- Wyłącznie za sprawą różnicy wieku. Ile masz lat? Osiemnaście, prawda? -

Spojrzał na mego ojca. - A pan co najmniej pięćdziesiąt. Tak naprawdę istnieją tylko dwie siły, które powodują powstawanie różnic między ludźmi: dziedziczenie i środowisko, to co wrodzone i to co nabyte. Ponieważ osobowość kształtuje się głównie podczas pierwszych trzech lat życia, decydującą rolę odgrywa środowisko domowe. Każdy człowiek rodzi się w jakimś środowisku domowym, nawet jeśli jest tak surowe i nieprzyjazne, że natychmiast go zabija, nikt zaś - z wyjątkiem sytuacji zwanych przez nas relaksacją antropologiczną - nie tworzy sobie sam tego środowiska. On je już zastaje, ukształtowane przez poprzednie pokolenie.

- Tylko dlatego że obaj wychowywaliśmy się w tym samym domu, nie może pan...

- W domu, który sam pan zbudował, wyposażył i zaludnił wedle swego uznania.

Zostawmy to jednak na boku. Proponuję, żebyśmy teraz porozmawiali o człowieku, którego żaden z was nie widział, urodzonym w miejscu stworzonym przez rodziców bardzo różniących się od niego, czyli o tym, który jako pierwszy...

Przestałem go słuchać. Przyszedłem, żeby zamordować ojca, a nie mogłem tego dokonać, dopóki doktor Marsch był tutaj. Obserwowałem go, pochylonego do przodu w fotelu, wykonującego oszczędne gesty białymi rękami o długich palcach, poruszającego ustami okolonymi ciemnym zarostem, lecz nie słyszałem ani słowa z tego, co mówił, zupełnie jakbym ogłuchł albo jakby jemu pozostała jedynie umiejętność porozumiewania się za pomocą myśli, a ja zdemaskowałem je jako głupie kłamstwa i odgrodziłem się od nich.

- Pan jest z Sainte Anne - powiedziałem.

Przerwał w połowie bezsensownego zdania i spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Owszem, spędziłem tam kilka lat.

- Pan się tam urodził i studiował antropologię z książek wydrukowanych na Ziemi przed dwudziestu laty. W stu albo pięćdziesięciu procentach jest pan aborygenem, my zaś jesteśmy ludźmi.

Marsch zerknął z ukosa na mego ojca.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

- Aborygeni wyginęli. Uczni z Sainte Anne są zgodni co do tego, że wymarli co najmniej sto lat temu.

- Nie wierzył pan w to, kiedy przyszedł pan zobaczyć się z moją ciotką.

- Nigdy nie uznałem słuszności hipotezy Veila, a próbowałem skontaktować się osobiście ze wszystkimi, którzy publikowali prace z interesującej mnie dziedziny.

Wybaczenie, ale nie mam czasu słuchać tych bzdur.

- Jest pan aborygenem i nigdy nie był pan na Ziemi.

Niebawem zostałem sam na sam z ojcem.

Większą część wyroku odbywałem w obozie pracy w Poszarpanych Górach.

Zazwyczaj przebywało w nim zaledwie stu pięćdziesięciu więźniów, po ostrej zimie zaś ich liczba spadała nawet do niespełna osiemdziesięciu. Ścinałiśmy drzewa, przerabialiśmy je na węgiel drzewny, który później służył nam za opał, a kiedy dobraliśmy odpowiednie gałęzie, robiliśmy z nich prymitywne narty. Podczas wypraw powyżej granicy lasu zbieraliśmy słony mech, podobno mający właściwości

lecnicze, oraz układaliśmy plany na wypadek, gdyby ze zbocza zeszła kamienna lawina i zniszczyła strzegące nas maszyny, chociaż nie zdarzyło się, żeby jakiś głaz chociaż drgnął. Praca była ciężka, nasi strażnicy traktowali nas dokładnie tak, jak ich zaprogramowano, dzięki czemu nie istniał problem nadmiernej brutalności ani pobłażliwości wobec nielicznych faworytów. Tylko elegancko ubrani ludzie zasiadający przy prezydialnych stołach mogli sobie pozwolić na okrucieństwo albo łagodność.

A przynajmniej tak im się zdawało. Niekiedy godzinami opowiadałem strażnikom o panu Millionie; w kącie, w którym spałem, znalazłem raz kawałek mięsa, kiedy indziej kostkę cukru, brudną i porowatą jak zwietrzały okruch piaskowca.

Zbrodniarz nie może odnieść żadnych korzyści ze swego uczynku, sąd jednak - dowiedziałem się o tym dużo później - nie znalazł żadnych dowodów przemawiających za tym, że David był naprawdę synem mego ojca, i uczynił moją ciotkę jedyną spadkobierczynią całego majątku. Ciotka umarła wkrótce potem, ja zaś otrzymałem list od jakiegoś prawnika z informacją, że na mocy spisanego przez nią testamentu zostałem właścicielem „dużego domu w Port-Mimizon, wraz ze wszystkimi sprzętami i wyposażeniem”. Z listu dowiedziałem się również, że dom ten, „położony przy Saltimbanque Street 666, obecnie znajduje się pod opieką zrobotyzowanego strażnika”. Ponieważ zrobotyzowani strażnicy, pod których opieką ja się znajdowałem, nie zgodzili się udostępnić mi materiałów piśmiennych, list pozostał bez odpowiedzi.

Czas mijał na skrzydłach ptaków. Jesienią znajdowałem martwe skowronki u podnóża północnych urwisk, wiosną natomiast u podnóża południowych.

Dostałem list od pana Milliona. Większość dziewcząt odeszła podczas śledztwa w sprawie śmierci mego ojca, pozostałe musiał odprawić po zgonie ciotki, ponieważ stwierdził, że będąc maszyną, nie jest w stanie zdobyć sobie należnego posłuchu.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

David przeniósł się do stolicy, Phaedria dobrze wyszła za mąż, Marydol została sprzedana przez rodziców. Data na liście była o trzy lata późniejsza od daty mego procesu, nie miałem jednak pojęcia, ile czasu minęło od wysłania listu. Sądząc po wyglądzie koperty, wielokrotnie otwierano ją i zalepiano.

Jakiś morski ptak, chyba głuptak, wyczerpany walką z wichurą wylądował w obozie. Zabiliśmy go i zjedliśmy.

Jeden ze strażników oszalał, spalił żywcem piętnastu więźniów, po czym przez całą noc toczył z pozostałymi strażnikami bitwę na miecze z białego i błękitnego światła. Na jego miejsce nie przysłano nowego.

Razem z kilkoma więźniami przeniesiono mnie do obozu położonego dalej na północ, gdzie zagłębiałem się w przepaści tak głębokie, że kiedy strąciłem kamień, słyszałem, jak spadając obija się o czerwone ściany i pociąga za sobą szybko wzbierającą lawinę, do moich uszu nigdy jednak nie dotarł odgłos uderzenia w dno skryte w nieprzeniknionej ciemności.

Wyobrażałem sobie, że są ze mną ludzie, których znałem. Kiedy kulilem się na wietrze nad miską zupy, Phaedria siadała na sąsiedniej ławce i z uśmiechem opowiadała o przyjaciółkach. David godzinami grał w squasha na klepisku pełniącym funkcję placu apelowego, spał zaś przy ścianie w moim kącie. Marydol trzymała mnie za rękę, kiedy z piłą na ramieniu szedłem w góry.

Stopniowo wszyscy stawali się coraz mniej rzeczywiści, ale nawet w ostatnim roku odbywania kary codziennie przed zaśnięciem powtarzałem sobie, że nazajutrz z samego rana pan Million zabierze nas do biblioteki, i codziennie rano budziłem się z lękiem, że przyszedł po mnie kamerdyner ojca.

A potem mnie i trzem innym więźniom powiedziano, że mamy się przenieść do kolejnego obozu. Zabraliśmy ze sobą prowiant, lecz i tak mało nie umarliśmy z głodu i wycieńczenia. Kiedy dotarliśmy na miejsce, okazało się, że musimy iść jeszcze dalej, i dopiero tam, w trzecim obozie, zostaliśmy przesłuchani nie przez więźniów takich jak my, lecz przez wolnych ludzi w mundurach, którzy notowali każde nasze słowo. Następnie kazali nam się wykąpać, spalić stare ubrania, po czym dostaliśmy gęstą zupę z mięsem i kaszą.

Dopiero wtedy stopniowo zacząłem dopuszczać do siebie myśl, co to wszystko może oznaczać. Zanurzyłem w zupie kawałek chleba, wyjąłem go, ociekający tłuszczem, z przyklejonymi kawałeczkami mięsa i ziarnami kaszy, i pomyślałem o opiekany chlebie i słodkiej kawie na targu nie jak o czymś z odległej przeszłości, tylko jak o czymś, co dopiero mnie czeka. Zaczęły mi się trząść ręce, tak że nie byłem w stanie utrzymać ani miski, ani łyżki; najchętniej rzuciłbym wszystko i z krzykiem pognał na druty.

Trzeciego dnia zapakowano nas (było nas już sześciu) na ciągnięty przez muła wózek, który tak długo jechał w dół krętymi drogami, aż po zimie konającej za naszymi plecami nie pozostał żaden ślad, znikły brzozy i świerki, natomiast na

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

gałęziach rosnących po obu stronach drogi kasztanowców i dębów pojawiły się kwiaty.

Na ulicach Port-Mimizon roiło się od ludzi. Gdyby nie to, że pan Million wynajął dla mnie lektykę, bez wątpienia zgubiłbym się w okamgnieniu. Poleciłem, by nosiciele zatrzymali się na chwilę, i kupiłem gazetę (za pieniądze, które mi przekazał), chciałem bowiem sprawdzić, jaką mamy datę.

Otrzymałem najczęściej stosowaną w przypadkach takich jak mój karę od dwóch do pięćdziesięciu lat więzienia, i choć wiedziałem dokładnie, kiedy zacząłem ją odbywać, w obozie szybko straciłem rachubę czasu, tak samo jak współwięźniowie.

Wystarczyło zachorować, by po dziesięciu dniach być pewnym, że minęły co najmniej dwa lata. Nie zapamiętałem ani jednego tytułu, żadnego fragmentu tekstu z tej gazety. Przez całą drogę do domu czytałem wciąż od nowa datę pod winietą.

Dziewięć lat.

Kiedy zamordowałem ojca, miałem lat osiemnaście, teraz więc liczyłem ich sobie dwadzieścia siedem, ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że stuknęła mi już czterdziestka.

Ściany naszego domu z odpadającym płatami szarym tynkiem nic się nie zmieniły. Żelazny pies z trzema wilczymi głowami nadal stał w ogrodzie, ale fontanna milczała, a kępy mchu i paproci poprzerastały chwastami. Pan Million zapłacił nosicielom i otworzył kluczem drzwi, które za czasów mego ojca nigdy nie były zamykane, ponieważ strzegł ich ktoś ze służby; w chwili kiedy to uczynił, podbiegła do nas niebywale wysoka i koścista kobieta handlująca pralinkami na ulicy. Była to Nerissa. Miałem więc już służącego i, gdybym tylko zechciał, mogłem

mieć kobietę do łóżka, choć nie byłbym w stanie jej zapłacić.

Teraz powinienem chyba wyjaśnić, co skłoniło mnie do podjęcia kilkudniowego już trudu pisania tej relacji, oraz wytłumaczyć, dlaczego uznałem za stosowne to wyjaśnić. Bardzo proszę. Otóż piszę po to, żeby odsłonić się przed sobą, a także dlatego że wiem, iż kiedyś przeczytam te słowa i będę się im dziwił. Jednak zanim to nastąpi, może zdolałam rozwikłać swoją tajemnicę, a może przestanie mi już zależeć na jej wyjaśnieniu.

Minęły już trzy lata, odkąd jestem z powrotem na wolności. Kiedy weszliśmy z Nerisą do domu, zastaliśmy go w opłakanym stanie, moja ciotka bowiem - powiedział mi o tym pan Million - poświęciła ostatnie tygodnie życia intensywnym poszukiwaniom skarbu, rzekomo ukrytego przez mego ojca. Nie znalazła go, a ja wątpię, czy ktokolwiek zdoła dokonać tej sztuki. Ponieważ znałem charakter ojca lepiej niż ona, jestem niemal pewien, że większą część dochodów przeznaczal na eksperymenty i niezbędną aparaturę. Początkowo znalazłem się w dotkliwych tarapatach finansowych, ale nasz dom zdążył zyskać taką reputację, że gdy tylko *Gene Wolfe*

Piąta głowa Cerbera

rozeszła się pogłoska, iż znowu otworzył podwoje, zaczęły doń masowo ściągać kobiety poszukujące kupców oraz mężczyźni szukający kobiet, które mogliby kupić. Jak się okazało, wystarczy umożliwić im spotkanie. Mam teraz dobry personel; jest z nami także Phaedria, której małżeństwo okazało się niezbyt udane. Wczorajszej nocy, kiedy pracowałem w laboratorium, usłyszałem ją pod drzwiami biblioteki. Otworzyłem - była tam z dzieckiem. Kiedyś po nas przyjdą.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

„Opowieść”

Johna V. Marscha

*Jeśli pragniesz osiąść wszystko,
nie wolno ci pożądać niczego.*

*Jeśli pragniesz stać się wszystkim,
Musisz chcieć być niczym.*

*Jeśli pragniesz wiedzieć wszystko,
Musisz starać się nie wiedzieć niczego.*

*Albowiem jeśli zapragniesz osiąść
cokolwiek, nie zdołasz osiąść*

Boga jako swego jedynego skarbu.

Święty Jan od Krzyża

Dziewczyna o imieniu Rozkołysane Gałęzie Cedru żyła w krainie ruchomych kamieni, gdzie lata są dłuższe, i przyszło to na nią tak, jak przychodzi na kobiety: jej ciało stało się grube i niezgrabne, z nabrzmiałych piersi zaczęło się sączyć mleko. Kiedy po jej udach spłynęły gorące strugi, matka zaprowadziła ją w miejsce, gdzie rodzą się ludzie, u zbiegu dwóch skalnych ostróg. Tam, na gładkim piasku, przy kamieniu, za zasłoną krzewów, gdzie wszystko, czego nie widać, sprzyja matkom, wydała na świat dwóch chłopców.

Pierwszy urodził się o świcie, a ponieważ w tej samej chwili zerwał się zimny wiatr wiejący od wschodu, dała mu na imię John (oznacza to tyle co „mężczyzna”, więc wszyscy chłopcy tak się nazywają) Wschodni Wiatr.

Drugi urodził się nie tak, jak zwykle rodzą się ludzie (czyli głową do przodu, jakby się wspinali), lecz stopami, jakby schodził w dół z miejsca położonego wyżej. Babka trzymała w ramionach jego brata i nie wiedziała, że będzie ich dwóch, więc przez chwilę uderzał stopami o ziemię, ponieważ nie miał go kto wyciągnąć. Z tego powodu matka nazwała go John Stąpający po Piasku.

Zaraz po urodzeniu synów chciała się podnieść, lecz jej matka nie dopuściła do tego.

- Zabijesz się - powiedziała. - Lepiej przystaw ich do piersi, żebyś nie straciła pokarmu.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Rozkołysane Gałęzie Cedru wzięła chłopców na ręce, dała im ssać, po czym ułożyła się z powrotem na zimnym piasku. Jedwabiste włosy utworzyły wokół jej głowy czarną aureolę, łzy bólu pozostawiły na policzkach wyraźne ślady. Matka poczęła rozgarniać piasek rękami, a kiedy dotarła do warstwy, w której zachowało się jeszcze nieco ciepła minionego dnia, przysypała nim nogi dziewczyny.

- Dziękuję, matko - powiedziała Rozkołysane Gałęzie Cedru, wpatrzona w dwie maleńkie twarzyczki, wciąż umazane krwią, pijące z niej łapczywie.

- Tak samo zrobiła moja matka, kiedy ty przyszedłeś na świat. Tak samo ty zrobisz, kiedy będą rodzić twoje córki.

- To są chłopcy, matko.

- Będziesz miała i córki. Skoro przeżyłaś pierwszy poród, przeżyjesz i następne.

- Trzeba ich umyć w rzece - powiedziała Rozkołysane Gałęzie Cedru, usiadła, a po chwili wstała. Była ładną dziewczyną, lecz jej ciało, tak nagle opróżnione, wydawało się teraz obwisłe i bezkształtne. Zachwiała się i pewnie by upadła, gdyby nie jej matka, lecz mimo to nie chciała się znowu położyć.

Słońce wisiało już wysoko na niebie, kiedy dotarły do rzeki. Tam właśnie Rozkołysane Gałęzie Cedru straciła matkę, którą utopiono na płyciźnie, i Wschodni Wiatr, którego jej zabrano.

Stąpający po Piasku w wieku trzynastu lat prawie dorównywał wzrostem dorosłemu mężczyźnie. Na tej planecie, przy której zawracały wszystkie statki, lata były bardzo długie, jego kości miały więc dość czasu, by się wydłużyć, a ramiona - by się rozrosnąć i nabrać siły. Nie był otyły (w krainie ruchomych kamieni w ogóle nie było otyłych ludzi) i zajmował się zdobywaniem pożywienia, choć nawiedzały go

przedziwne sny. Kiedy zbliżała się czternasta rocznica jego urodzin, matka, stary Krwawiący Palec oraz Szybkie Stopy uradzili, żeby posłać go do kapłana, wyruszył więc samotnie w wędrówkę po górzystej krainie, gdzie skaliste zbocza pną się w niebo niczym czarne obłoki, a wszystko co żywe pierzcha przed wiatrem, słońcem, pyłem, piaskiem i kamieniami. Szedł za dnia, zupełnie sam, zawsze na południe, przed pójściem na spoczynek natomiast łapał skalne myszy, zabijał je i kładł obok posłania. Do rana niekiedy znikały.

Piątego dnia w południe dotarł do Wąwozu Wiecznego Grzmotu, gdzie mieszkał kapłan. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zdołał zabić pseudobażanta; niósł upominek za owłosione nogi, wlokąc za sobą długą nagą szyję i łysą głowę zwierzęcia. Ponieważ wiedział, że właśnie stał się mężczyzną i że zdoła dojść do wąwozu przed zachodem słońca (orientował się po charakterystycznych szczegółach krajobrazu, które opisał mu Szybkie Stopy), szedł niespiesznie, dumnym krokiem, ale z odrobiną lęku.

Usłyszał Wieczny Grzmot, zanim go zobaczył. Teren był prawie idealnie płaski, upstrzony skałami i krzakami, i nic nie wskazywało na to, że tuż obok zaczyna się przepaść. Słychać było słaby, basowy pomruk. W pewnej chwili Stąpający po Piasku ujrzał delikatną mgiełkę. Z pewnością nie mogła świadczyć o obecności wąwozu,

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

widział bowiem przez nią dalszy ciąg skalistego płaskowyzu, pomruk zaś był ledwo słyszalny.

Po kolejnych trzech krokach pomruk przeistoczył się w ogłuszający ryk. Ziemia drżała pod stopami. W kamienistym gruncie otworzyła się wąska szczelina, na której

dnie pieniała się biała kipiela. Rozpylona woda w okamgnieniu splukala kurz z ciala Stapajacego po Piasku, do tej pory bylo mu goraco, a teraz poczul chlod. Przez gladkie, wilgotne kamienie przebiegalo nieustanne drzenie. Usiadl ostroznie nad przepascia, po czym, stopami naprzod, jak czlowiek, ktory schodzi w dol z miejsca polozonego wyzej, zaglebil sie w Wawoz Wiecznego Grzmotu. Grote, w ktorej mieszkal kaplan, znalazl dopiero na samym dole, przy spienionej wodzie, skad niebo wygladalo jak szeroka na palec fioletowa wstazka posypana dziennymi gwiazdami.

Wejscie do jaskini wypelnialy bryzgi piany i loskot wody, dalej jednak bylo znacznie ciszej i spokojniej, poniewaz skalny korytarz prowadzil w gore. Stapajacy po Piasku najpierw szedl prawie wyprostowany, potem od czasu do czasu podpieral sie jedna ruka, wreszcie wspinal sie jak zwierze na czworakach, trzymajac martwego pseudobazanta w zebach, az wreszcie jego palce natrafily na stopy kaplana, a jego rece zetknely sie z pomarszczona, sucha skora na nogach. Po omacku polozyl podarunek na ziemi, wsród piór, kości i sierści poprzednich ofiar, a nastepnie wycofal sie ku wejsciu do jaskini.

Kiedy nadeszla noc, polozyl sie w przeznaczonym do tego miejscu i po jakimś czasie zdolal zasnac, mimo niemilknacego ani na chwile ryku, lecz duch kaplana nie odwiedzil go we snie. Lezal na materacu ze splatanych galęzi unoszonym sie na plytkiej wodzie, dokoła rosly ogromne drzewa otoczone gmatwanina przypominajacych wężę korzeni. Miały zupełnie biala kore, jak jawory, pnie zaś wystrzeliwaly na niebotyczna wysokość, by zniknac w czarnej masie liści. Jednak we snie Stapajacy po Piasku nie musial zadzierać glowy, by na nie spojrzec, poniewaz zbiornik wodny, na powierzchni ktorego sie unosil, byl tak wielki, że gęsto rosne

drzewa tworzyły jedynie ciemną otoczkę na horyzoncie, zasłaniającą miejsce, gdzie niebo styka się z ziemią.

Zdawał sobie sprawę, że się zmienił, choć trudno byłoby mu powiedzieć w jaki sposób. Kończyny miał chyba dłuższe, ale słabsze, lecz nie mógł się o tym przekonać, ponieważ nimi nie poruszał. Tak długo wpatrywał się w niebo, aż w końcu zaczęło mu się wydawać, że w nie spada. Tratwa kołysała się ledwo wyczuwalnie w takt uderzeń serca.

Były to jego czternaste urodziny, więc gwiazdozbiory zajmowały na firmamencie te same miejsca co w dniu, kiedy przyszedł na świat. Rankiem słońce miało wstać w Gorączce, ale błękitny dysk bliźniaczej planety, który właśnie zaczął się wyłaniać zza drzew, całkowicie zasłaniał dwie jasne gwiazdy Dziecka Mroku. Planety były zupełnie gdzie indziej niż wtedy. Zmusił się, by zapomnieć o tym, że Śnieżna Kobieta weszła między Pięć Kwiatów, i wyobraził ją sobie na miejscu Ziarna Oczu, gdzie znajdowała się w noc jego urodzin. Szybki powinien być w Mlecznej Dolinie,

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Nieboszczyk tam, gdzie Utracone Życzenia... Na nocnym niebie bezgłośnie huczał Wodospad.

Tuż przy jego głowie rozległ się chlupot kroków. Wschodni Wiatr usiadł raptownie, ale dzięki długiej praktyce zrobił to w taki sposób, że tratwa prawie się nie zakołysała.

- Czego się nauczyłeś?

To był Ostatni Głos, największy z gwiazdnych wędrowców, jego nauczyciel.

- Mniej niż oczekiwałem - odparł ponuro Wschodni Wiatr. - Obawiam się, że

zasnąłem. Zasłużyłem na chłostę.

- Przynajmniej jesteś szczery - zauważył Ostatni Głos.

- Często mi powtarzałeś, że ten, kto chce iść naprzód, musi przyznawać się do błędów.

- Powtarzałem ci również, że nie do oskarżonego należy wydawanie wyroków.

- A jaki będzie wyrok w tej sprawie? - zapytał Wschodni Wiatr, siląc się na obojętność.

- W zawieszeniu, mój najlepszy uczniu. Zasnąłeś.

- Ale tylko na chwilę. Przyśnił mi się dziwny sen, zresztą nie po raz pierwszy.

- Wiem.

Spokojny i władczy. Ostatni Głos pochylił się nad uczniem. Był niezwykle wysoki, a błękitny blask bliźniaczej planety wydobywał z ciemności bladą twarz, z której, jak nakazywała tradycja, codziennie wrywano część zarostu. Skórę na bokach głowy przypalono mu w Górach Męskości rozżarzonym żelazem, w związku z czym włosy, bujniejsze od włosów niejednej kobiety, tworzyły jedynie coś w rodzaju sztywnego pióropusza biegnącego przez środek czaszki.

- Znowu śniłem, że jestem człowiekiem z gór i powędrowałem do źródeł rzeki, by wysłuchać przepowiedni w świętej grotcie. Na swoje usprawiedliwienie mogę tylko dodać, iż przyśniło mi się, że kładę się spać w pobliżu wody. - Umilkł, lecz Ostatni Głos milczał, więc Wschodni Wiatr dodał: - Liczyłeś na to, że wędruję wśród gwiazd, ale, jak widzisz, ten sen był pozbawiony ducha.

- Być może. A co powiedziały ci gwiazdy o jutrzejszym przedsięwzięciu? Czy zadmiesz w konchę?

- Stanie się wedle woli mego Mistrza.

Stąpający, po Piasku obudził się zeszywniały z zimna. Miewał już takie sny, ale zazwyczaj szybko o nich zapominał, a nawet jeśli ten zawierał jakieś przesłanie, to go nie rozumiał. Poza tym wiedział doskonale, że Ostatni Głos z pewnością nie był kapłanem, którego ducha oczekiwał. Przez kilka minut zastanawiał się, czy powinien zostać w wąwozie tak długo, aż ponownie ogarnie go senność, lecz chęć ujrzenia nieba i wspomnienie ciepłych promieni słońca na płaskowyżu odwiodły go od tego zamiaru. Zbliżało się południe, kiedy, potwornie głodny, zakończył wspinaczkę i padł na nagrzaną, pokrytą warstwą pyłu ziemię.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Godzinę później mógł już wstać i pomyśleć o polowaniu. Był dobrym myśliwym, młodym i silnym, w dodatku bardziej cierpliwym nawet od długozębnej kocicy, która czatuje rozplaszczona na skalnej półce dzień albo dwa, myśląc o dzieciach, które coraz bardziej słabną, miauczą rozpaczliwie, czekając jej powrotu, zasypiają, znowu miauczą, aż wreszcie zjawi się z upolowaną zdobyczą. Kiedy Stąpający po Piasku był zaledwie rok lub dwa lata młodszy, byli też inni, może nie aż tak silni. Po całym dniu spędzonym na bezowocnym polowaniu wracali z pustymi rękami i brzuchami, licząc na to, że pozostawiono im resztki z posiłku, i błagając matki, by pozwoliły im possać piersi przeznaczone dla młodszych dzieci. Ci już nie żyli. Przekonali się na własnej skórze, że ten, kto ma pełen brzuch, łatwo trafia z powrotem do domu, głodny natomiast często gubi drogę, aż wreszcie nadchodzi dzień, kiedy nie wraca w ogóle. Przez dwa dni Stąpający po Piasku polował tak, jak potrafią polować tylko ludzie z gór: widział wszystko, potrafił wywęszyć gniazdo sowomyszy, połknąć jej dzieci

jak krewetki i zetrzeć w zębach na miazgę zgromadzone ziarno. Z grzywą rozwianych włosów skradał się, prawie niezauważalny, bo jego pokryta pyłem skóra przybrała barwę skał, skradał się bezszelestnie jak mgła, która wpełza na strome zbocza i daje się zauważyć dopiero wtedy, gdy dotyka policzka albo nagle oślepia. Drugiego dnia, godzinę przed zapadnięciem całkowitej ciemności, natrafił na ślady jelenia wykleszczacza, niedużego zmiennokształtnego zwierzęcia żywiącego się krwiolubnymi stworzonkami, które z kryjówek wywabia odgłos uderzeń kopyt o skały. Stąpający ruszył jego tropem, kiedy na niebie pojawiła się bliźniacza planeta, i tropił go jeszcze, kiedy skryła się już do połowy za granią dymiących gór na zachodnim horyzoncie. Wkrótce potem usłyszał przed sobą triumfalną pieśń Dzieci Mroku i wiedział już, że jego wysiłek poszedł na marne.

We wspaniałych, dawno minionych czasach długiego snu, kiedy Bóg był królem świata, ludzie nawet nocą bez lęku przebywali w towarzystwie Dzieci Mroku, Dzieci Mroku zaś bez lęku przebywały za dnia w towarzystwie ludzi. Jednak długi sen już dawno temu odpłynął rzeką ku bagnistym łąkomorzom i śmierci. Mimo to Stąpający po Piasku uznał, iż tak wielki myśliwy (ponieważ posiadał rzadko spotykaną zdolność patrzenia na siebie oczami innych i dostrzegania własnych śmiesznośtek, nie omieszkiał dodać w myśli: a w dodatku głodny) może podjąć próbę wskrzeszenia dawnych obyczajów. Wszystko i tak spoczywa w ręku Boga. Być może, po zachodzie słońca Dzieci Mroku zmieniają się w bezwzględnych zabójców, jednak wyszłyby na głupców, gdyby usiłowały go zgładzić wbrew boskiej woli, wszystko jedno, w dzień czy w nocy.

Bezgłośnie, ale dumnie wyprostowany szedł przed siebie tak długo, aż wreszcie w błękitnym blasku bliźniaczej planety ujrzał miejsce, w którym, jak nietoperze

zwabione zapachem krwi, Dzieci Mroku otoczyły wykleszczacza. Na długo zanim do nich dotarł, wszystkie głowy odwróciły się w jego kierunku na swoich sztychach.

- Oby świt zastał was tam, gdzie jest pod dostatkiem pożywienia - przemówił uprzejmie Stąpający po Piasku.

Zdażył zrobić jakieś pięć kroków w całkowitej ciszy, a potem zabrzmiał głos, który wydobył się nie z ludzkich ust:

- Zaiste, pożywienia jest pod dostatkiem.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Kiedy kobiety w osadzie chciały nastraszyć latorośle, które ani myślały kłaść się spać, mimo że ich cienie robiły się coraz dłuższe, opowiadały o ociekających trucizną zębach Dzieci Mroku. Stąpający nie wierzył w te opowieści, przypomniał sobie jednak o nich, usłyszawszy ów głos.

- To dobrze - odparł, chociaż zdawał sobie sprawę, że mówiąc o pożywieniu, tamten wcale nie miał na myśli martwego zwierzęcia. - Usłyszałem waszą pieśń.

Śpiewaliście o wielu napełnionych brzuchach. To ja napędziłem wam zdobycz, więc teraz proszę, byście się ze mną podzielili. W przeciwnym razie zabiję największego z was, żeby zaspokoić głód, pozostali zaś dostaną tylko jego kości. Mnie tam wszystko jedno.

- Ludzie są inni. Ludzie nie zjadają swoich.

- Mówisz o was? Robicie to wtedy, kiedy jesteście głodni, a jesteście głodni bez przerwy.

- Nieee... - zaszemrało w odpowiedzi kilkanaście głosów.

- Pewien człowiek, którego dobrze znam (nazywa się Szybkie Stopy, jest wysoki

i nie boi się słońca), zabił jednego z was i odciął mu głowę, żeby złożyć ją w ofierze.

Kiedy się obudził, znalazł samą czaszkę.

- To lisy - odezwał się inny głos. - Albo któryś z waszych, co nawet bardziej prawdopodobne. Daliście nam myszy, a teraz w zamian żądasz mięsa wykleszczacza.

Zaiste, drogie to myszy. Powinniśmy byli udusić cię, kiedy spałeś.

- Kosztowałoby to was życie wielu ludzi.

- Mógłbym cię zabić nawet teraz, sam, bez niczyjej pomocy. Tak jak zabijamy wasze skamlące o strawę młode. Uciszamy je raz na zawsze, po czym jemy do syta.

Jedna z czarnych postaci podniosła się z miejsca.

- Nie jestem bezradnym dzieckiem. Mam już czternaście wiosen, a poza tym nie umieram z głodu. Jadłem już dzisiaj i wkrótce znowu się najem.

Dziecko Mroku postąpiło krok naprzód. Kilka par rąk wyciągnęło się w jego kierunku, jakby po to, by je zatrzymać, ale nie uczyniły tego.

- Chodź! - wykrzyknął Stąpający po Piasku. - Zamierzasz wywabić mnie z osady i rozszarpać wśród skał? Morderca dzieci!

Rozprostował ręce i nogi, by poczuć drżącą w nich siłę. Co prawda wcześniej postanowił, że w razie gdyby został zaatakowany, natychmiast rzuci się do ucieczki (wiedział bowiem, że jest znacznie szybszy), ale teraz nabrał pewności, że poradzi sobie z niedużym przeciwnikiem, nawet gdyby naprawdę groziło mu ukąszenie zębami jadowymi.

- Nie wolno wam uczynić mu krzywdy - odezwał się ten sam głos co na początku, stanowczo, ale niemal szeptem. - Jest święty.

- Nie przyszedłem tu, żeby z wami walczyć - odparł Stąpający po Piasku. - Chcę tylko, byście ucziwie podzielili się ze mną zdobyczą. Przeprowadziłem ją wam

prosto w ręce. Śpiewaliście, że macie pod dostatkiem pożywienia.

- Ty nędzny, miejscowy zwierzaku! - parsknęło Dziecko Mroku stojące naprzeciwko niego. - Wystarczy, że dotknę cię najmniejszym palcem, a twoje kości popękają jak suche patyki i przebiją ci skórę!

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Stąpający cofnął się przed szponami, którymi tamten machnął mu przed twarzą, i odparł z pogardą:

- Jeśli jest wasz, każcie mu usiąść, bo w przeciwnym razie będzie mój.

- Święty... - zaszemrały głosy podobne do nocnego wiatru, który na próżno szuka miejsca na spoczynek.

Zamierzał lewą ręką odtrącić zakrzywione pazury, prawą zaś chwycić za wiotką szyję i zmiażdżyć ją w śmiertelnym uścisku. Czekał w lekkim rozkroku, pochylony nieco do przodu, aż nieduża postać zbliży się na tyle, by znaleźć się w zasięgu jego ramion. Niespodziewanie (być może dlatego, że szeroki na milę słup dymu nad Górami Męskości przesunął się nieco) blask kryjącej się właśnie za horyzontem bliźniaczej planety padł na twarz Dziecka Mroku, po czym zgasł niczym błyskawica.

Twarz była ciemnoskóra, wychudzona, z ogromnymi oczami, nie większa od twarzyczki niemowlęcia. Z ust i nosa wypływała jakaś gęsta ciecz.

Chociaż później Stąpający bez trudu przypomniał sobie te szczegóły, w krótkim błysku błękitnego światła nie zwrócił na nie uwagi. Zobaczył natomiast twarze pozostałych Dzieci Mroku i siłę, jaką w sobie czują, kiedy są najedzone, i to, że tylko się łudzą, wystarczy bowiem na nie dmuchnąć, by je zniszczyć. Ponieważ był młody, ujrzał coś takiego po raz pierwszy w życiu. Jak tylko szpony musnęły jego gardło,

odskoczył, a następnie, krztusząc się i szlochając z niezrozumiałego dla siebie powodu, począł się zbliżać do postaci stłoczonych przy martwym zwierzęciu.

- Spójrzcie - powiedział ten sam głos, który przemówił do niego jako pierwszy. -

On płacze. Chodź, chłopcze! Usiądź z nami i jedz.

Stąpający po Piasku poczuł dotknięcie niedużych dłoni i przykucnął przy zdobyczy.

- Nie wolno ci go skrzywdzić - upomniał ktoś tego, który przed chwilą usiłował rozszarpać Stąpającemu gardło. - Jest naszym gościem.

- Ach!

- Od czasu do czasu można się z nimi zabawić, bo to trzyma ich w ryzach, ale teraz pozwól mu zjeść.

Ktoś inny włożył Stąpającemu do ręki kawał mięsa, on zaś, jak zwykle, pożarł je natychmiast, by mu go nie odebrano. Dziecko Mroku, które go zaatakowało, położyło mu rękę na ramieniu.

- Wybacz, jeśli cię przestraszyłem.

- Wszystko w porządku.

Bliźniacza planeta wreszcie skryła się za horyzontem i na jesiennym niebie w pełnej krasie zaśniły gwiazdozbiory: Kobieta o Płonących Włosach, brodaty Pięcionogi, Ametystowa Róża, zwana przez mieszkańców łąkomórz Tysiącem Macek i Rybą. Jak tylko Stąpający poczuł w ustach wspaniały smak mięsa, a chwilę potem jego ciężar w żołądku, ogarnęło go zadowolenie. Otaczające go skurczone postaci były jego przyjaciółmi. Nakarmili go. Jak dobrze tak sobie siedzieć i pożywiać się wśród przyjaciół, podczas gdy Kobieta o Płonących Włosach stoi na głowie na czarnym niebie.

Głos, który przemówił do niego jako pierwszy (Stąpający długo nie był w stanie ustalić, z których ust się wydobywał), odezwał się ponownie:

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

- Teraz jesteś naszym przyjacielem. Minęło sporo czasu, odkąd po raz ostatni mieliśmy przyjaciół wśród tubylczej ludności.

Stąpający po Piasku nie miał pojęcia, co to oznacza, więc na wszelki wypadek skinął głową, ponieważ wydawało mu się, że tak będzie najbezpieczniej.

- Powiadasz, że śpiewamy. Powiedziałeś, że śpiewaliśmy o tym, że mamy pod dostatkiem pożywienia. W tobie też jest radosna pieśń, choć bez kontrapunktu.

- Kim jesteś? - zapytał Stąpający. - Nie wiem, który z was mówi.

- To ja. - Dwoje Dzieci Mroku rozstało się na boki (a przynajmniej takie można było odnieść wrażenie), czarna plama, którą Stąpający do tej pory uważał za cień rzucany przez głąz skąpany w blasku gwiazd, poruszyła się, wyprostowała i ukazała wysuszoną twarz o jasnych oczach.

- Cieszę się, że mogę cię poznać - powiedział Stąpający i przedstawił się.

- Nazywają mnie Starym Mędrcom - odparł najstarszy z Dzieci Mroku. - Ja także cieszę się z naszego spotkania.

Uwagi Stąpającego po Piasku nie umknął fakt, że przez sylwetkę Starego Mędrca przeświecały gwiazdy, z czego wynikało, że jest duchem. Nie przejął się tym jednak, ponieważ duchy (choć zazwyczaj starały się przebywać w świecie snów, czemu doprawdy trudno się dziwić) stanowiły nieodłączny składnik życia, a przyjaźnie usposobiony duch mógł się okazać cennym sprzymierzeńcem.

- Uważasz mnie za cień umarłego, ale tak nie jest - powiedział Stary.

- Wszyscy jesteśmy cieniami umarłych, tyle że rzucanymi w przód, nie do tyłu - odparł dyplomatycznie Stąpający.

- Ze mną sprawa ma się zupełnie inaczej. Ponieważ jesteś naszym przyjacielem, powiem ci prawdę o sobie. Czy widzisz tę gromadę (zapewniam cię, że wszyscy są twoimi przyjaciółmi) zgromadzoną wokół martwego jelenia?

-Tak.

(Stąpający zdążył już nawet ich policzyć: było ich siedmiu).

- Wspomniałeś o tym, że słyszałeś ich śpiew. Jest wiele pieśni: Pieśń o Wielu Napełnionych Żołądkach, Pieśń o Splątaniu Podniebnych Dróg, która ma na celu wyprowadzić w pole naszych nieprzyjaciół, Pieśń Łowiecka, Pieśń o Odwiecznym Smutku, którą śpiewamy latem, kiedy na niebie pyszni się Waleczny Jaszczur z naszą pradawną ojczyzną w postaci maleńkiego żółtego klejnociku w ogonie, i tak dalej.

Wasi ludzie powiadają, że te pieśni czasem nie pozwalają im zasnąć.

Stąpający miał właśnie pełne usta, więc tylko skinął głową.

- Kiedy do mnie mówisz albo kiedy twoi pobratymcy śpiewają w waszych osadach, twoja mowa oraz ich śpiew rozchodzi się w postaci drgania powietrza.

Kiedy ze sobą rozmawiacie, wasze głosy także są drganiami powietrza.

- Powietrze drży również wtedy, kiedy uderza grom - wtrącił Stąpający po

Piasku. - To jest dopiero drzenie! Kiedy do ciebie mówię, też czuję drzenie, tyle że głęboko w gardle.

- Rzeczywiście: twoje gardło drży i przekazuje drgania powietrzu. Na tej samej zasadzie człowiek, który potrząsa ramieniem, trzęsie także krzakiem, na którego gałęzi zacisnął palce. Jednak podczas naszego śpiewu nie powietrze drży, tylko my sami. Ja jestem pieśnią, którą śpiewają Dzieci Mroku, ja jestem ich myślą, kiedy

Piąta głowa Cerbera

myślą jak jedno. Wyciągnij przed siebie ręce, tak żeby się nie stykały, a potem wyobraź sobie, że ich nie masz. Tym właśnie potrząsamy.

- Czyli niczym.

- To, co uważasz za nic, jest tym, co oddziela rzeczy. Kiedy zniknie, wszystkie światy spotkają się w płomienistym zderzeniu, z którego powstaną nowe światy. A teraz słuchaj uważnie: ponieważ zostałeś naszym przyjacielem, jeszcze tej nocy musisz się nauczyć, jak wzywać naszej pomocy, gdybyś jej potrzebował. Robi się to w ten oto sposób: kiedy usłyszysz nasz śpiew - a wkrótce się przekonasz, że jeśli dobrze się wsłuchasz, siedząc lub leżąc bez ruchu i myśląc o nas intensywnie, jesteś w stanie usłyszeć nas nawet z wielkiego oddalenia - musisz się do niego przyłączyć. Śpiewaj z nami w duchu, a my usłyszymy echo naszej pieśni w twoich myślach i będziemy wiedzieć, że nas potrzebujesz. Spróbuj.

Otoczające Stąpającego Dzieci Mroku rozpoczęły Pieśń Dziennego Snu, która opowiada o wschodzie słońca, o pierwszym blasku dnia, o długich cieniach i kolumnach piasku podrywanych z ziemi przez wiatr i tańczących na szczytach wzgórz.

- Śpiewaj - zachęcił go Stary Mędrzec.

I Stąpający przyłączył się do śpiewu. Początkowo starał się dodać coś od siebie, tak jak było w zwyczaju w jego osadzie, jednak Dzieciom Mroku ani trochę się to nie spodobało, ograniczył się więc do powtarzania tego, co słyszał. Wkrótce wszyscy tańczyli wokół ubitego zwierzęcia, tak że wiatr i piasek mogły im tylko pozazdrościć. Dopiero teraz Stąpający stwierdził, że wbrew temu, co początkowo sądził, nie

wszystkie Dzieci Mroku były stare. Dwoje istotnie sprawiało wrażenie niezmiernie zaawansowanych wiekiem, jedno wyglądało na kobietę, chociaż, tak samo jak pozostałe, miało na głowie zaledwie kilka rzadkich kosmyków, wiek dwojga trudno było określić, dwoje zaś z pewnością nie wyrosło jeszcze z wieku chłopięcego. Tańcząc, Stąpający po Piasku obserwował ich twarze, zdumiony, że wydają się jednocześnie młode i stare. Stare, ale młode. Widział teraz znacznie lepiej niż wtedy, kiedy zjawił się przy martwym jeleniu, i nagle uświadomił sobie dwie rzeczy, tak że zdumienie goniło zdumienie - na wschodzie nieprzenikniona czerń nieba zaczęła nasączać się purpurą i zniknął Stary Mędrzec. Stąpający odwrócił się twarzą do wschodzącego słońca - trochę odruchowo, a trochę dlatego że podejrzewał, iż Stary mógł odejść właśnie w tamtą stronę. Kiedy ponownie spojrzął wokół siebie. Dzieci Mroku już rozpierzchły się wśród skał. W pierwszej chwili chciał za nimi pobiec, ale zrezygnował z tego zamiaru, uznał bowiem, że nie będą sobie tego życzyć.

- Idźcie z Bogiem! - zawołał i pomachał im na pożegnanie.

Pierwsze promienie nowego słońca przygnały ku niemu czarne i złociste, rozbiegane plamy cienia i światła. Spojrzął w dół, na ubitego jelenia; zostało jeszcze parę ochłapów mięsa oraz kości, z których mógłby wyssać szpik, naturalnie jeśli zdołałby je połamać.

- Jak to dobrze zacząć dzień od obfitej uczy - powiedział z przekąsem do resztek, po czym zasiadł do posiłku, by ubiec mrówki.

Godzinę później, dłubiąc w zębach, rozmyślał o swoim śnie z poprzedniej nocy.

Był pewien, że Stary Mędrzec mógłby mu go wyjaśnić, i żałował, że o to nie

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

poprosił. Teraz, w blasku dnia, nie miał co liczyć na dobre sny, ale był zziębnięty i zmęczony. Wyciągnął się w ciepłej plamie słonecznego blasku... i zorientował się, że chyba zna idącą przed nim kobietę. Przyspieszył kroku; wkrótce rozpoznał w niej swoją matkę, ale kiedy otworzył usta, by ją przywitać, stwierdził, że nie jest w stanie wydobyć głosu. Chwilę później on, zawsze poruszający się niezwykle pewnie, potknął się o kamień; co prawda wyciągnął przed siebie ręce, by złagodzić upadek, wstrząs jednak był tak silny, że odczuł go w całym ciele. Ocknąwszy się stwierdził, że siedzi na ziemi, zlany potem, a dokoła nie ma żywej duszy.

Wstał, wciąż drżąc jak liść, i strzepał piasek, który przykleił się do wilgotnych rąk i boku. Głupota. Spanie w dzień nie miało najmniejszego sensu; duch natychmiast opuszczał ciało i wyruszał na wędrówkę, więc nawet gdyby kapłan nawiedził go we śnie, nikogo by nie zastał. Kto wie, może nawet rozgniewałby się i już nigdy nie wrócił? Stąpający powinien albo wrócić do grotty i spróbować ponownie, albo przyznać się do porażki i odejść... nawet sama myśl o tym była nie do zniesienia. W takim razie wróci do wąwozu.

Ale nie z pustymi rękami. Pseudobażant, którego przyniósł poprzednio, okazał się zbyt skromnym darem - może dlatego że kapłan miał mu coś za złe, ale powodem mogło być również to, że planował dla niego jakieś niezwykle, wspaniałe oświecenie, a zwykły pseudobażant nie zdołałby odpowiednio uświetnić takiej okazji. Co innego jeleni. Idąc z północy, widział niewiele śladów zwierzyny; gdyby chciał się udać na wschód, musiałby przedostać się na drugi brzeg wąwozu, na zachodzie zaś, po drodze do rozplomienionych gór, rozciągała się niegościnna kamienna pustynia. Skierował się więc na południe.

Teren wznosił się powoli, roślinność - i tak niezbyt obfita - stawała się coraz

rzadsza, szara barwa skał stopniowo ustępowała czerwonej. Około południa, po nieprzerwanym marszu dotarł do podnóża górskiego łańcucha i ujrzał coś, co do tej pory oglądał tylko dwa razy w życiu: niewielką, doskonale nawodnioną dolinę, istną oazę na jałowej pustyni, gdzie na prawdziwej ziemi rosła prawdziwa trawa, kilka prawdziwych kwiatów, a nawet drzewo.

Fakt, że Stąpający po Piasku trafił w to miejsce, miał ogromne znaczenie, ponieważ można było tu zaspokoić pragnienie i zatrzymać się na kilka godzin, jeśli komuś nie zbywało odwagi. Stąpający był w tej szczęśliwej sytuacji, że zjawił się samotnie, a więc drzewo nie powinno żywić do niego dużej urazy. Jak nakazywał obyczaj, zbliżał się ani za szybko, ani za wolno, z uprzejmym wyrazem twarzy.

Właśnie zamierzał je pozdrowić, kiedy zauważył siedzącą między korzeniami dziewczynę z niemowlęciem.

Na chwilę, wbrew wszelkim zasadom, odwrócił wzrok od drzewa. Dziewczyna miała twarz w kształcie serca, nieśmiałą, jeszcze prawie dziecinną. Jej długie włosy były bardzo czyste (dla Stąpającego stanowiło to całkowitą nowość), ponieważ umyła je w sadzawce obok drzewa i rozczesała palcami, tak że teraz spływały czarną kaskadą na śniade ramiona. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami, bez ruchu, a na jej kolanach spało maleńkie dziecko z kwiatem wpiętym we włosy.

Stąpający po Piasku uroczyście pozdrowił drzewo, poprosił, by pozwoliło mu zaspokoić pragnienie, i obiecał, że nie zabawi tu długo. Odpowiedział mu szept liści;

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

co prawda nie zrozumiał słów, odniósł jednak wrażenie, że ton odpowiedzi jest przychylny. Uśmiechnął się z wdzięcznością, po czym podszedł do sadzawki,

przykłąknął i zaczął pić.

Pił długo, tak jak czynią pustynne zwierzęta, a kiedy napił się do syta i uniósł głowę, obok swojego odbicia zobaczył w pomarszczonej wodzie odbicie dziewczyny.

Przyglądała mu się dużymi, zalęknionymi oczami, ale nie próbowała uciekać.

- Niech to będzie dla ciebie dobry dzień - powitał ją.

- Dla ciebie także.

- Jestem Stąpający po Piasku. - Pomyślał o wędrowce do groty, o jeleniu, pseudobażancie i Starym Mędrцу. - Wielki wędrowiec, wielki myśliwy i przyjaciel Dzieci Mroku.

- Jestem Siedem Oczekujących Dziewcząt - przedstawiła się dziewczyna i uśmiechnęła się czule do niemowlęcia. - A to jest Mary Różowe Motyle. Nazwałam ją tak ze względu na jej rączki. Kiedy nie śpi, bez przerwy nimi wymachuje.

Stąpający, który w swoim niezbyt długim życiu zdążył się już przekonać, jak wiele dzieci przychodzi na świat i jak nielicznym dane jest osiągnąć wiek dojrzały, uśmiechnął się i skinął głową.

Dziewczyna patrzyła na sadzawkę u stóp drzewa, na samo drzewo, na trawę i kwiaty, tylko nie na niego. Dostrzegł, jak przygryza dolną wargę niedużymi białymi zębami. Wiatr malował tajemnicze wzory na trawie, drzewo zaś znowu powiedziało coś, czego nie zrozumiał. Może udało się to Siedmiu Oczekującym Dziewczętom?

- Czy zamierzasz zostać tu na noc? - zapytała wreszcie nieśmiało.

Bez trudu domyślił się, do czego zmierza, i odpowiedział najłagodniej jak potrafił:

- Przykro mi, ale nie mam niczego do jedzenia. Co prawda poluję, lecz całą zdobycz muszę zachować na ofiarę dla kapłana z Wąwozu Wiecznego Grzmotu.

Czyżbyś była tu sama?

- Wyszukałam odosobnione miejsce, żeby urodzić Różowe Motyle, a potem nie byłam w stanie nadążyć za moimi ludźmi. Tej nocy spałyśmy tam, za pochyloną skałą.

Wskazała kierunek niezdarnym gestem.

- Nie wiedziałem o tym - powiedział Stąpający po Piasku - ale dobrze wiem, co to znaczy siedzieć samotnie i czekać, kiedy nikt nie przychodzi. To okropne uczucie.

- Jesteś mężczyzną. Ciebie czeka to dopiero wtedy, kiedy się zestarzejesz.

- Nie chciałem cię rozgniewać.

- Nie gniewam się. I nie jestem sama. Mam przecież Różowe Motyle i karmię ją swoim mlekiem. Teraz śpimy tutaj.

- Co noc?

Hardo skinęła głową.

- Nie jest dobrze spać w pobliżu drzewa dłużej niż jedną noc.

- Różowe Motyle jest jego córką. Powiedziało mi o tym we śnie na długo przed jej przyjściem na świat. Chce mieć ją blisko.

- Wszyscy jesteśmy dziećmi drzew - odparł ostrożnie Stąpający - lecz one mimo to rzadko chcą mieć nas przy sobie dłużej niż przez jedną noc.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

- Jest dla nas dobre. Pomyślałam nawet... - Dziewczyna umilkła na chwilę, po czym dokończyła tak cicho, że jej głos z trudem przedzierał się przez szelest trawy poruszanej wiatrem: - Kiedy cię zobaczyłam, pomyślałam nawet, że to ono nam cię przysłało, byś nas nakarmił.

Stąpający spojrział z powątpiewaniem na sadzawkę.

- Są tu ryby?

Dziewczyna opuściła wzrok, jakby musiała uczynić jakieś wstydlive wyznanie.

- Nie udało mi się żadnej złapać od... od...

- Od jak dawna?

- Od trzech dni. Tylko dzięki nim zdołałyśmy przeżyć. Jadłam ryby z sadzawki i karmiłam Różowe Motyle mlekiem. Wciąż mam pokarm. - Spojrzała na dziecko, a zaraz potem na Stąpającego. Jej szeroko otwarte oczy błagały go, żeby jej uwierzył. -

Przed chwilą jadła.

Stąpający po Piasku przeniósł wzrok na niebo.

- Zobacz, jakie jest czyste - powiedział. - Będzie zimno.

- Czy ty też zatrzymasz się tutaj na noc?

- Wszystko, co upoluję, muszę przeznaczyć na dar.

Opowiedział jej o kapłanie i o swoim śnie.

- Ale wrócisz?

Skinął głową, ona zaś powiedziała mu, gdzie się najlepiej poluje i opisała miejsca, w których jej ludziom udawało się dopaść zwierzynę... kiedy jeszcze w ogóle im się to udawało.

Wspinaczka na długie skaliste zbocze powyżej drzewa, sadzawki i kręgu żywej trawy zajęła mu niemal godzinę. Przy pochylonej skale - zakrzywiony kamienny palec, pozostałość po skalnym nawisie zniszczonym przez erozję, wskazywał nie wiadomo po co w niebo - odnalazł ślady plemienia, z którego pochodziła Siedem Oczekujących Dziewcząt: głązy chroniące śpiących od wiatru, wydeptane ścieżki, dokładnie oczyszczone kości niedużych zwierząt. To odkrycie nie miało jednak dla

niego żadnej wartości.

Polował bez rezultatu aż do wschodu bliźniaczej planety. W normalnych okolicznościach od razu udałby się na spoczynek, ale obiecał dziewczynie, że wróci, a poza tym w powietrzu dawało się już wyczuć kłające igielki mrozu. Tak jak się spodziewał, zastał ją między obnażonymi korzeniami drzewa, tuląc dziecko do piersi.

Wyczerpany, padł na ziemię tuż przy niej. Szmer jego oddechu i ciepło jego ciała obudziły ją; ocknęła się raptownie, ale poznała go od razu i uśmiechnęła się z ulgą.

- Złapałeś coś? - zapytała.

Pokręcił głową,

- A ja tak. Spójrz. Pomyślałam, że może będziesz chciał złożyć ją w darze.

Podala mu małą, już zeszywniałą rybkę. Stąpający wziął ją, ale zaraz potem potrząsnął głową; skoro pseudobazant okazał się zbyt skromną ofiarą, co dopiero mówić o maleńkiej rybce.

- Zepsuje się, zanim tam dotrę - powiedział.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Rozerwał brzuch zębami, powiększył palcem otwór, wypatroszył rybę, a następnie rozerwał na dwie części i usunął kręgosłup wraz z większością ości. Jeden kawałek dał dziewczynie.

- Dobra - powiedziała, przełknąwszy prawie bez gryzienia. - Dokąd idziesz?

Stąpający, starannie przeżuając kawałek ryby, podniósł się i wyprostował w błękitnym blasku bliźniaczej planety.

- Na polowanie. Do tej pory szukałem czegoś okazałego, co mógłbym złożyć w

darze. Teraz postaram się znaleźć coś małego, co wystarczyłoby nam na kolację. Nie pogardzę nawet skalnymi myszami.

Zaraz potem odszedł, a dziewczyna została, tuląc dziecko do piersi i patrząc przez niezbyt szczelną zasłonę liści na jasną wstęgę Wodospadu oraz szeroko rozlane morza i liczne burze bliźniaczej planety. Potem oczy jej się zamknęły, wyciągnęła rękę i zdjęła planetę z drzewa. Przyłożywszy ją do ust, poczuła niespotykaną słodycz. Zaraz potem obudziła się ponownie, ale słodki smak nie zniknął z jej ust. Ktoś pochylał się nad nią; przez chwilę bardzo się bała.

- Chodź. - To był on. Stąpający po Piasku. - Zbudź się. Mam coś dla ciebie.

Dotknął jej ust palcami; były lepkie, pachniały owocami, kwiatami i ziemią.

Wstała, drżąc z zimna, i mocno przycisnęła Różowe Motyle, grzejąc jej brzuch i nóżki własnymi piersiami.

- Chodź! - ponaglił ją Stąpający.

- Czy to daleko?

-Nie.

(W rzeczywistości czekała ich długa droga i nawet zaproponowałby Siedmiu Oczekującym Dziewczętom, że poniesie dziewczynkę, ale zdawał sobie sprawę, że młoda matka na pewno się na to nie zgodzi z obawy, że mógłby dziecku zrobić krzywdę).

Cel ich wędrówki leżał na północnym wschodzie, w pobliżu źródeł rzeki. Kiedy tam dotarli - do niewielkiego zagłębienia w ziemi, które Stąpający zrobił piętą - Siedem Oczekujących Dziewcząt z trudem trzymała się na nogach.

- To tutaj - powiedział. - Zatrzymałem się na odpoczynek, położyłem głowę na ziemi i wtedy usłyszałem ich głosy. Silnymi palcami rozgrzebał pozornie twarde

grunt, wyrzucił kilka pustych plastrów, wreszcie dotarł do pełnego, niemal czarnego w błękitnym blasku planety. Dokoła rozbrzmiewało leniwe mruczenie. Stąpający przełamał plaster na dwie części, jedną wepchnął sobie do ust, drugą włożył do ust dziewczynie. Nagle poczuła, jak bardzo była głodna; przeżuwała łąpczywie, przelękając słodką substancję i wypluwając wosk.

- Pomóż mi - poprosił. - Nie użądła cię, jest za zimno. Po prostu zgarniaj je na bok.

Ułożyła Różowe Motyle w bezpiecznym miejscu i kopała razem z nim, od czasu do czasu przerywając, by posmarować miodem usta i palce niemowlęcia. Jedli nie tylko miód, lecz także tłuste białe larwy; kopali i jedli tak długo, że wreszcie nie tylko ręce i twarze, ale całe ciała mieli powalane miodem i ciemną ziemią. Stąpający po Piasku najsmakowitsze kąski oddawał dziewczynie, ona zaś jemu, aż w końcu padli sobie w ramiona, szczęśliwi i objedzeni prawie do nieprzytomności. Ocierała

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

się o niego pełnym, twardym żołądkiem, czuła na twarzy dotyk jego ust, brudnych i słodkich.

Odepchnęła go delikatnie.

- Nie, nie tak - wyszeptała. - Nie kładź się na mnie, bo pękne albo zrobi mi się niedobrze. Lepiej zrobmy to tak...

Oplotła palcami jego wielki twardy korzeń. Później, kiedy było już po wszystkim, położyli Różowe Motyle między swymi spoconymi ciałami, żeby ją ogrzać, i przespali we trójkę do rana, spleceni nogami i oddechami.

Do uszu Stąpającego po Piasku dotarło huczenie z Wąwozu Wiecznego Grzmotu.

Wstał i poszedł do groty kapłana, lecz tym razem, choć było tam równie ciemno jak poprzednio, wszystko widział. Odnalazł w sobie moc - nie miał pojęcia gdzie ani w jaki sposób - widzenia bez pomocy oczu i bez światła. Jaskinia ciągnęła się przed nim i na boki, wypełniona pogruchotanymi blokami skalnymi.

Szedł naprzód i w górę. Stopniowo robiło się coraz bardziej sucho, pod nogami miał skruszałą glinę. U sklepienia wisiały kamienne sople, identyczne wyrastały mu pod nogami, tak że miał wrażenie, jakby znalazł się we wnętrzu gigantycznej paszczy. Po pewnym czasie kamienne zębiska znikły; pozostał tylko gliniany język i coraz bardziej zwężający się przełyk. Wreszcie ujrzał łożę kapłana, otoczone szkieletami darów; kapłan usiadł, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

- Wybacz mi - powiedział Stąpający po Piasku. - Jesteś głodny, a ja niczego ci nie przyniosłem.

Wyciągnął ręce i spostrzegł ze zdumieniem, że w jednej trzyma ociekający miodem plaster, w drugiej zaś garść tłustych larw zlepionych miodem. Kapłan z uśmiechem przyjął dar, po czym schylił się, spośród zalegających posadzkę kości wybrał czaszkę jakiegoś zwierzęcia i podał ją Stąpającemu.

Czaszka była stara i wyschnięta, lecz ręce kapłana pozostawiły na niej ślady świeżej krwi. Krew przywróciła jej życie: na oczach Stąpającego czaszka stała się wilgotna i świeża, pojawiła się na niej sieć błękitnych żył, warstwa mięśni, wreszcie skóra i sierść. Trzymał w rękach głowę wydry. Oczy, wilgotne i żywe, wpatrywały się w jego twarz.

Ujrzał w nich rzekę, w której wydra przyszła na świat; woda ciurkała obok splądrowanego ula, spływała niżej, między wzgórz, dążąc ku prawdziwej powierzchni planety, przewalała się z hukiem przez Wąwóz Wiecznego Grzmotu, by

wreszcie zwolnić i rozlać się dostojnie na łąkomorzu. Ujrzał wyprężone w locie czaple siwe i białe oraz żółte żaby walczące między sobą o dostęp do powietrza, a także, przez warstwę wolno płynącej zielonkawej wody, zupełnie jakby sam się w niej zanurzył, dwadzieścia stóp niżej, wśród kamieni, żwiru i przyniesionego z gór piasku, smukłą sylwetkę wydry. Ciemnobrązowe, niemal czarne zwierzątko sunęło niczym wąż, by nagle fiknąć kozła i pokazać krótkie, mocno pracujące łapy.

- Co?... - wymamrotał. - Co się stało?

Różowe Motyle wierciła się niecierpliwie u jego boku. Na pół śpiąc pomógł jej dosięgnąć matczynej piersi, a sam położył rękę na drugiej. Było mu zimno. Wrócił myślami do snu, ale jeszcze nie skończył śnić.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Stał nad szeroko rozlaną rzeką po kostki w błocie. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale gwiazdy już zaczęły blaknąć. Poranny wiatr tworzył na powierzchni wody drobne fale, które sunęły aż na skraj świata. Razem z nim byli Szybkie Stopy, stary

Krwawiący Palec, Jadalne Liście, Słodkousta oraz Rozkołysane Gałęzie Cedru.

Zza jego pleców wyszli dwaj mężczyźni. Wiedział o tym, że mieszkańcy

łąkomórz nie dopuszczali młodzieńców do kobiet tak długo, aż ogień z gór

potwierdził ich męskość, znacząc bliznami uda i grzbiety. Ci mieli takie blizny, a

także zakręcone włosy, nadgarstki obwiązane trawą i girlandy białych kwiatów na szyjach. Ten z pokiereszowaną głową zaintonował pieśń, ale po chwili umilkł.

Stąpający spostrzegł, że Szybkie Stopy zorientował się, iż mężczyzna patrzy na

niego; Szybkie Stopy cofnął się o krok, stracił grunt pod nogami, zanurzył się,

wystawił głowę nad powierzchnię, ale ludzie o ciałach pokrytych bliznami chwycili

go i ponownie wpełnęli pod wodę. Walczył coraz słabiej, Stąpający zaś - doskonale zdawał sobie sprawę, że to tylko sen, który śni u boku Siedmiu Oczekujących Dziewcząt - pomyślał, że na miejscu Szybkich Stóp udałby martwego, by tamci pozwolili mu wypłynąć na powierzchnię. Tymczasem Szybkie Stopy przestał się miotać, muł, który jego wierzgające nogi podniosły z dna, odpłynął z prądem.

Wszystkie cztery kończyny unosiły się bezwładnie w przezroczystej wodzie, długie włosy falowały jak wodorosty. Stąpający ze snu ruszył w jego stronę, wysoko podnosząc stopy i stawiając je tak ostrożnie, że prawie nie było słychać plusku.

Spojrzał na bladą, pozbawioną wyrazu twarz pod wodą, a wtedy oczy otworzyły się raptownie, błysnęła w nich straszliwa udręka, która jednak szybko zgasła, oczy zmętniały i przestały cokolwiek widzieć.

Stąpający nie mógł złapać tchu. Usiadł, drżąc jak w gorączce łapał powietrze szeroko otwartymi ustami, na piersi czuł nieznośny ciężar. Niemal natychmiast wstał, by wystawić głowę nad wodę, której nigdzie nie było ani śladu. Siedem Oczekujących Dziewcząt poruszyła się niespokojnie, Różowe Motyle obudziła się i rozplakała.

Wspiął się na niewysoki pagórek. Tak jak w jego śnie, słońce właśnie szykowało się do pojawienia nad horyzontem, torując sobie drogę różowofioletowym blaskiem niewidocznej jeszcze twarzy.

Kiedy Siedem Oczekujących Dziewcząt zaspokoila pragnienie wodą z rzeki i przystawiła niemowlę do piersi, wyjaśnił jej znaczenie swego snu:

- Szybkie Stopy wpadł na ten sam pomysł co ja. Postanowił udawać martwego, ale ludzie z łąkomorza przejrżeli podstęp i... - wzdrygnął się.
- Sam powiedziałeś, że stracił grunt pod nogami, więc pewnie i tak by utonął.

- Chyba tak.

- Pójdiesz dzisiaj na polowanie? Wciąż nie masz odpowiedniego daru, a ponieważ zeszłej nocy nie spałeś przy drzewie, możesz przenocować tam dzisiaj.

- Nie wydaje mi się, żeby kapłan oczekiwał ode mnie kolejnego daru - powiedział z namysłem Stąpający. - Do tej pory miałem wrażenie, że mi nie pomaga, teraz jednak wiem już, że sen, który przyśnił mi się w grocie, nawiedził mnie za jego sprawą, podobnie jak ten dzisiejszy. Najprawdopodobniej ludzie z łąkomorza pojмали moich.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Siedem Oczekujących Dziewcząt mocniej przycisnęła dziecko do piersi i odwróciła wzrok.

- Daleko stąd do bagien... - wyszeptała.

- Owszem, ale sen podpowiedział mi, w jaki sposób mogę się tam szybko dostać.

Staął na brzegu niewielkiego strumienia, który miał się zamienić w ogromną rzekę, i spojrzał w nurt. Woda była krystalicznie czysta, mogła mu sięgnąć najwyżej do bioder. Na piaszczystym dnie leżały kamienie. Wskoczył do strumienia.

Wartka woda porwała go natychmiast. Kiedy wystawił głowę na powierzchnię.

Siedem Oczekujących Dziewcząt była już daleko; małeńka figurka oświetlona blaskiem nowego słońca. Pomachała mu i podniosła Różowe Motyle, by ją widział, i chociaż nie słyszał jej słów, wiedział, że zawołała za nim:

- Niech cię Bóg prowadzi!

Przewrócił się na brzuch i zaczął mocno pracować rękami i nogami, wyobrażając sobie, że jest wydrą z nozdrzami osadzonymi blisko wierzchołka głowy i krótkimi,

muskularnymi łapami, doskonale nadającymi się do pływania. Od czasu do czasu zatrzymywał się, wystawiał głowę z wody i nasłuchiwał ryku wodospadów.

Było ich sporo, często więc musiał wychodzić z wody i omijać je drogą lądową, ale mniejsze bystrzyny pokonywał wplaw, szybko nabierając wprawy. Przez połowę Wąwozu Wiecznego Grzmotu niósł wielką rybę, by złożyć ją kapłanowi w ofierze. Tam gdzie koryto się rozszerzało, wiry często wciągały go w głębinę; czekał wtedy cierpliwie, aż wyczerpie się ich siła, zawieszony w zielonkawej poświacie, z włosami otaczającymi twarz rozfalowaną chmurą, po czym odpychał się nogami od dna i ruszał ku powierzchni, ciągnąc za sobą warkocz bąbelków powietrza.

Jeszcze tego samego dnia, nic o tym nie wiedząc, dotarł do doskonale znanych terenów - skalistych wzgórz zamieszkałych przez jego ludzi - pokonawszy odległość większą niż podczas trwającej pięć dni wędrówki na południe, do Wąwozu Wiecznego Grzmotu. Wieczorem, ogromnie znużony, wyszedł z wody na piaszczysty brzeg. Noc przespał na piasku, osłonięty wysoką trawą, i ani razu nie spojrzał na gwiazdy.

Nazajutrz rano przez pół godziny maszerował wzdłuż brzegu rzeki, zanim, coraz bardziej głodny, wszedł z powrotem do wody. Teraz było mu znacznie łatwiej: ryby zjawiały się w takiej obfitości, że bez trudu schwytał ładną sztukę. Wkrótce potem, płynąc pod wodą z otwartymi oczami i prawie w całkowitym bezruchu, zaskoczył nieostrożnego kaczora, chwycił go za łapy, wciągnął pod powierzchnię i utopił.

Rzeka płynęła tu znacznie spokojniej, więc jeśli nie starał się zanadto przyspieszyć, nie płacił zbyt dużym zmęczeniem. Woda sunęła dostojnie między zalesionymi wzgórzami, potem zaś rozlała się jeszcze szerzej i wypłynęła na niziny,

gdzie ogromne drzewa zanurzały w niej korzenie i wysuwały potężne konary, bezskutecznie usiłując przykryć ją baldachimem liści. Jeszcze dalej zdawała się trwać bez ruchu, schwytała w pułapkę bezkresnych trzciniowisk, martwa i zimna, pozostawiając na ustach smak potu.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Ponownie zapadła noc, lecz tym razem nie było przyjaznego brzegu. Stąpający ostrożnie brnął pół mili po bagnie, usiłując dotrzeć do samotnego drzewa. W powietrzu krążyło wodne ptactwo, krzycząc głośno, jakby śmierć słońca oznaczała nastanie czasu strasznego i niebezpiecznego.

Przemówił do drzewa, lecz nie odpowiedziało; miał wrażenie, że tutejsze drzewa są pozbawione mocy drzemiącej w nielicznych drzewach, które rosły w jego rodzinnej okolicy, że nie komunikowały się ani z żywymi, ani martwymi, że nie zapładniały kobiet. Mimo to poprosił o pozwolenie (mógł przecież się mylić), po czym wspiął się na wygodne rozwidlenie konarów i ułożył do snu. Co prawda odszukało go tam kilka owadów, ale w niskiej temperaturze nie były zanadto natarczywe. Przez zasłonę chmur na nocnym niebie z trudem przesączał się blask bliźniaczej planety. Stąpający zasnął, obudził się, najpierw wyczuł, następnie usłyszał, wreszcie ujrzał w słabym świetle zmierzającego nie wiadomo skąd i dokąd niedźwiedzia trupojada - wielkiego, niezdarne i cuchnącego.

Prawie udało mu się ponownie zasnąć. *Żal, żal, żal...*

Wcale nie, powtarzał uparcie w duchu, ale za każdym razem, kiedy pomyślał o Siedmiu Oczekujących Dziewczętach, Różowych Motylach oraz żywym, myślącym drzewie panującym miłościwie nad sadzawką i skrawkiem trawy w krainie

ruchomych kamieni, coś go bolało.

Żal, żal, żal, śpiewał nocny wiatr.

Nieprawda, odpowiadał Stąpający po Piasku. Nienawiść. Ludzie z łąkomorza zabili Szybkie Stopy, który często dzielił się ze Stąpającym tym, co upolował, kiedy ten był jeszcze mały. Zamierzali zabić Zakrwawiony Palec, Jadalne Liście, Słodkoustą i jego matkę.

Żal, śpiewaj o żalu.

Nie żal, myślał, tylko wiatr, drzewo. Usiadł i nasłuchiwał przez jakiś czas, aby przekonać samego siebie, że słyszy jedynie westchnienia wiatru albo mamrotanie drzewa snującego opowieści o piękniejszych okolicach. Odgłos ów (może rzeczywiście zbyt pochopnie ocenił to samotne, otoczone trzciniami drzewo?) z pewnością nie był nieprzyjazny. Był... niczym.

Zagubiony wiatr wzdychał co jakiś czas, ale bez słów. Liście ledwo drżały.

Wysoko w górze przetoczył się grzmot. *Żal*, śpiewały liczne głosy. *Żal, żal, żal.*

Samotność i wieczna noc.

Nie, to nie wiatr i nie drzewo. To Dzieci Mroku. Gdzieś daleko.

- Witajcie - przemówił Stąpający powoli i wyraźnie. - Nie jestem samotny i nie czuję żalu, ale przyłączę się do waszej pieśni.

Żal, żal, żal. Przywołał z pamięci słowa Starego Mędrca: „Ponieważ zostałeś naszym przyjacielem, jeszcze tej nocy musisz się nauczyć, jak wzywać naszej pomocy, gdybyś jej potrzebował”. Niepoprawny chłopięcy optymizm kazał mu wierzyć, że własnymi siłami uwolni pobratymców, ale jeśli Dzieci Mroku naprawdę zamierzały mu pomóc, to nie miał nic przeciwko temu. Samotność, zaśpiewał razem z nimi, po czym dodał, zamknąwszy usta i otworzywszy na oścież umysł dla chmur i

pustkowiec wypełnionego wodą oraz trzciniami: *i wieczna noc.*

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Żal, żal, żal, śpiewały gdzieś Dzieci Mroku, lecz teraz ta bezgłośna pieśń zdawała się nie tyle wyrażać uczucia, ile towarzyszyć jakiemuś rytuałowi. Usłyszeli go.

Chodź do nas, przyjacielu. Wspomóż nas w potrzebie.

Usiłował zapytać, co się stało, lecz nie był w stanie tego uczynić. Jak tylko jego myśl przestawała być myślą pieśni, jak tylko zrywała się więź łącząca ją z tamtymi, zostawał całkiem sam.

Pomóż nam, śpiewały Dzieci Mroku. *Pomóż nam.*

Stąpający zszedł z drzewa, choć na samą myśl o niedźwiedziu trupojadzie ugięły się pod nim nogi. Gdzieś w oddali nieprzyjaźnie zachichotał nocny ptak. Nie dość, że trudno było stwierdzić, skąd dobiega pieśń, to jakiegokolwiek działanie prawie uniemożliwiało jej odbiór. Stąpający znieruchomiał, oparł się o pień, wreszcie zacisnął powieki i odchylił głowę do tyłu. *Żal, żal, żal.* Chyba północny zachód, w bok od głównego koryta rzeki. Zerknął na niebo w nadziei, że Lodowate Oko pozwoli mu precyzyjnie określić położenie, lecz przewalające się w górze chmury uniemożliwiały obserwację gwiazd.

Przeszedł z donośnym chłupotem kilka kroków, po czym znowu znieruchomiał, zawstydzony czynionym przez siebie hałasem. Dokoła wszystko zdawało się nasłuchiwać. Spróbował ponownie i po kilkuset krokach opanował metodę chodzenia, pozwalającą poruszać się w miarę cicho. Brnąc po kolana w wodzie, przesuwał stopy równoległe do podłoża, a następnie opuszczał je skierowane palcami w dół. Zupełnie jak ptak brodzący, przemknęło mu przez głowę. Dawno temu

widował na brzegu rzeki długonogich, przystrojonych pióropuszcami pożeraczy żab.

Teraz naprawdę jestem Stąpającym po Piasku, pomyślał.

Pod stopami miał jednak nie piasek, lecz błoto. Parokrotnie obawiał się, że ugrzęźnie w nim na dobre; niewielkie zwierzęta chyba dość blisko spokrewnione ze skalnymi kotami pierzchały przed nim we wszystkie strony albo ratowały się, nurkując w wodnych oczkach. Coś, czego nie był w stanie wypatrzeć w ciemności, pogwizdywało na niego z kęp trzcin i czarnych jam.

Żal, żal, żal, śpiewały Dzieci Mroku coraz bliżej. Grunt, choć wciąż podmokły, nie był już przykryty warstwą wody. Stąpający przesuwał się od cienia do cienia, zamierając w bezruchu za każdym razem, kiedy przez chmury przedarło się nieco blasku bliźniaczej planety. Z oddali dobiegł jakiś głos (równie wysoki jak głosy Dzieci Mroku, ale rozbrzmiewający naprawdę):

- Zaczaili się na niego.

- Nic mu nie zrobią - odparł drugi, znacznie mniej wyraźnie. - Jest naszym przyjacielem. On... my... zabijemy wszystkich.

Stąpający ukrył się w kępie trzcin. Minęło pięć, potem dziesięć minut, a on wciąż ani drgnął. Chmury odpłynęły na wschód, lecz natychmiast zastąpiły je nowe. Wiatr kołysał trzcunami i szeptał coś tajemniczo. Dużo później inny głos, nie należący do Dziecka Mroku, powiedział:

- Odeszli. Jeśli w ogóle tu byli. Tamci ich słyszeli.

Inny głos bąknął coś w odpowiedzi. Jakieś sto kroków z przodu Stąpający raczej usłyszał niż zobaczył niewielkie poruszenie. Zaczekał jeszcze pięć minut, po czym ostrożnie ruszył w lewo, by obejść to miejsce szerokim łukiem.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Godzinę później wiedział już, że zasadzkę utworzyło czterech mężczyzn, którzy zajęli pozycje w rogach nieforemnego czworokąta; podejrzewał, że Dzieci Mroku znalazły się wewnątrz pułapki. Nie po raz pierwszy był zwierzyną - w dzieciństwie dwukrotnie musiał uciekać przed wygłodniałymi bandami - więc bez trudu zdołałby się wycofać i poszukać nowego miejsca na odpoczynek albo wrócić do starego. On jednak, wystraszony i podekscytowany, wciąż skradał się naprzód.

- Wkrótce będzie świtać - przemówił jeden z mężczyzn.

- Cicho! Mogą przyjść następni.

Stąpający po Piasku był już prawie pośrodku czworokąta. Powoli, ostrożnie sunął do przodu. Nagle jego wyciągnięta ręka natrafiła na pustkę; teren opadał gwałtownie, co prawda nie pionowo, ale bardzo stromo. Ziemia była miękka. Wytężył wzrok, usiłując dostrzec cokolwiek w ciemności.

- Widzimy cię - usłyszał szept Dziecka Mroku. - Wychył się jeszcze trochę do przodu, jeśli możesz, i wyciągnij rękę.

Jak tylko to uczynił, poczuł uścisk drobniutkich, cienkich palców. Skręcił tam, gdzie go pociągnęły, i ujrzał obok siebie cień, a zaraz potem drugi. W sumie były trzy, lecz pierwszy już zdążył rozpląnąć się między trzcunami. Cztery, ale obok niego był już tylko ten czwarty. Pięc... i chwilę później był sam na sam z piątym. Przypadł do wilgotnej ziemi, zawrócił i poczołgał się tam, skąd przybył. To z prawej, to z lewej odzywały się przyciszone głosy, a w pewnej chwili któryś z myśliwych powiedział tuż przy jego uchu:

- Idź sprawdzić.

Zaraz potem rozległ się donośny łomot i trzask łamanych trzcin. Po prawej

stronie jakiś człowiek poderwał się z ziemi i rzucił do ucieczki. Kiedy przebiegał obok zaczajonego Dziecka Mroku, małeńka postać podcięła go i powaliła na ziemię. Stąpający dopadł go w chwili, gdy ciało myśliwego zetknęło się z gruntem; wbił mu w kark twarde jak kamień kciuki i przycisnął do ziemi. Niebo rozcięła błyskawica. W jej blasku ujrział dwie małeńkie dłonie sunące bezlitośnie ku oczom obezwładnionego mężczyzny.

Chwilę później podniósł się na nogi. Dokoła panowała nieprzenikniona ciemność, ludzie z łąkomorza przeraźliwie krzyczeli, wtórował im tryumfalny, wysoki głos. Tuż przed Stąpającym po Piasku zamajaczyła jakaś postać; niewiele myśląc kopnął ją w krocze, po czym z całej siły rąbnął kolaniem w pochyloną głowę. Zanim zdążył się cofnąć, na karku tamtego nie wiadomo skąd wylądowało kolejne Dziecko Mroku i ścisnęło mu szyję nogami.

- Uciekajmy!

- Dlaczego? - Głos Dziecka Mroku emanował spokojem i zadowoleniem. -

Przecież jesteśmy górą!

Człowiek, na którym siedziało, do tej pory zgięty wpół, wyprostował się raptownie. Nogi natychmiast zacisnęły się jeszcze mocniej i po chwili myśliwy osunął się na kolana. Zapadła cisza jeszcze głębsza niż przed walką, ponieważ zamikły nawet ptaki i owady, a wiatr nie kołysał już trzcunami.

- Już po wszystkim - oznajmiło Dziecko Mroku wysokim głosem. - I co, podobają ci się?

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Stąpający wcale nie był pewien, czy walka naprawdę dobiegła końca.

- Rzeczywiście, jesteście bardzo odważni, ale nie zapominajcie, że to ja rozprawiłem się z dwoma z nich.

Myśliwy dźwignął się z klęczek i chwiejnym krokiem odszedł tam, dokąd skierowało go siedzące mu okrakiem na karku Dziecko Mroku.

- Nie miałem na myśli nas, tylko naszych przeciwników - rozległ się głos. - Jest ich tylu, że wystarczy na kilka posiłków. Teraz zbieramy się obok kryjówki, w której nas trzymali. Idź tam, a sam się przekonasz.

- A ty nie idziesz?

Stąpający rozejrzał się w poszukiwaniu rozmówcy, lecz nigdzie nie mógł go dostrzec. Nie otrzymał też odpowiedzi. Odwrócił się i, wiedziony doskonale rozwiniętym zmysłem orientacji, wrócił do zagłębienia terenu. Byli tam już wszyscy czterej myśliwi: trzej z jeźdźcami na karkach, czwarty jęczący rozpaczliwie, z zakrwawionymi rękami uniesionymi do pustych oczodołów. W stratowanej bagiennej trawie przycupnęło jeszcze dwoje Dzieci Mroku.

- Dzisiaj zjemy ślepcę, resztę zaprowadzimy w góry i podzielimy się z przyjaciółmi - oświadczył ktoś zza pleców Stąpającego.

Człowiek pozbawiony oczu jęknął jeszcze głośniej.

- Chciałbym cię zobaczyć - powiedział Stąpający po Piasku.

- Czy jesteś Starym Mędrce, z którym rozmawiałem trzy noce temu?

-Nie.

Nie wiadomo skąd pojawiło się szóste Dziecko Mroku. W słabej poświacie (nawet Stąpający, ze swym doskonałym wzrokiem, widział zaledwie niewyraźne zarysy postaci) sprawiał wrażenie całkowicie materialnego, ale znacznie starszego od pozostałych. Chmury rozstąpiły się na chwilę i wtedy blask gwiazd zalśnił na jego

głowie, jakby była pokryta szronem.

- Zorientowaliśmy się, że jesteś przyjacielem, tylko dzięki twemu śpiewowi.

Jesteś jeszcze bardzo młody. Czyżbyś stał się jednym z nas zaledwie trzy noce temu?

- Istotnie, jestem waszym przyjacielem - odparł ostrożnie Stąpający - ale nie wydaje mi się, żebym był jednym z was.

- Tylko w myślach. Liczy się wyłącznie to, co w głowie.

- Gwiazdy - przemówił ślepiec głosem sączącym się jak krew z otwartej rany. -

Gdyby był tutaj Ostatni Głos, nasz gwiazdny wędrowiec, wszystko by wam wytłumaczył. Opowiedziałby, jak to jest, kiedy opuszcza się ciało, by żeglować wśród gwiazd i dosiąść Walecznego Jaszczura, jak to jest, kiedy widzi się to samo, co widzi Bóg, i wie się to, co on wie.

- Wśród nas też trafiają się tacy jak ten - powiedział Stąpający po Piasku - ale my zrzucaamy ich ze skalnych urwisk.

- Gwiazdy mówią językiem Boga, a rzeka mówi językiem gwiazd - ciągnął uparcie człowiek z wyłupanymi oczami. - Ci, co spoglądają w nocne wody, mogą dostrzec w falach zapowiedź nadejścia ruchomych gwiazd. Dajemy im was, niczego nieświadomych ludzi z gór, wasze życie, a kiedy jakaś gwiazda opuści swe miejsce, zaciemnimy wodę krwią gwiazdznego wędrowca.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Co prawda Stary Mędrzec zniknął (a przynajmniej Stąpający po Piasku nie był w stanie wypatrzeć go wśród milczących Dzieci Mroku), ale dał się słyszeć jego głos:

- Wystarczy. Jesteśmy głodni.

- Jeszcze tylko kilka chwil. Chcę zapytać o moją matkę i przyjaciół. Ci ludzie

wzięli ich do niewoli.

- Najpierw niech odejdą nieludzie - odparł ślepiec.

- Odejdźcie - polecił Stąpający. Dwoje Dzieci Mroku, które nie siedziały na karkach więźniów, poruszyło stopami, by zaszeleściła trawa, lecz nie ruszyło się z miejsca. - Już ich nie ma. A więc, co z pojmanymi?

- Czy to ty mnie oślepiłeś?

- Nie. Zrobiło to Dziecko Mroku. Moje palce czułeś na gardle.

- Ale zjawily się tutaj zwabione twoim śpiewem?

- Owszem.

- Trzymamy ich w ustronnym miejscu w pobliżu wzgórz. Ich śpiew często sprowadza kolejnych, tak że niekiedy mamy nawet dwudziestu, ponieważ nie obchodzi ich, że ktoś inny może zostać zjedzony, pod warunkiem że sami zdołają uciec. Czasem jednak, tak jak teraz, tracimy wszystko, choć nigdy nie przypuszczałem, że właśnie mnie spotka coś takiego. Nie wiedziałem jednak, że śpiew może sprowadzić chłopca.

- Jestem już mężczyzną. Wiem, co to kobieta, i śniłem wielkie sny. Utopiliście Szybkie Stopy, skalaliście jego śmiercią czystość Boga. Co z resztą?

- Będziesz starał się ich uwolnić, Palce na Moim Gardle?

- Nazywam się Stąpający po Piasku. Owszem.

- Są daleko na północ stąd - powiedział ślepiec przerażającym głosem. - W pobliżu wielkiego obserwatorium Oka, w jamie zwanej Drugim Okiem. Ja straciłem oboje oczu, powiedz mi więc, jaki jest teraz układ gwiazd? Muszę wiedzieć, kiedy umrzeć.

Stąpający odruchowo spojrział w górę, chociaż niebo zasłaniała gruba powłoka

chmur, i w tej samej chwili ślepiec rzucił się na niego. Dzieci Mroku w okamgnieniu opadły go jak mrówki padlinę, Stąpający zaś kopnął go w twarz. Pozostali więźniowie zaczęli się rozpaczliwie szarpać, lecz dosiadający ich jeźdźcy szybko dali sobie radę.

- Czy będziesz jadł z nami jego mięso? - zapytał Stary Mędrzec, kiedy człowiek z wyłupionymi oczami został poskromiony.

- Jesteś jednym z nas, więc możesz spożywać tę strawę bez ujmy na honorze.

Pojawił się bezgłośnie, lecz nie uczestniczył w szamotaninie. W każdym razie Stąpający po Piasku miał wrażenie, że jedna z niewyraźnych postaci to właśnie on.

- Nie - odparł. - Wczoraj zjadłem do syta. Czyżbyście nie zamierzali ścigać tych, którzy uciekli?

- Później. Ciągnąc go ze sobą, nigdy byśmy ich nie dogonili, a jeśli by go zostawić, wkrótce on też by uciekł, mimo że nic nie widzi. Połamałibyśmy mu nogi, gdyby nie to, że w pobliżu kręci się niedźwiedź trupojad. Zwietryliśmy go tuż przed twoim przyjściem.

Stąpający skinął głową.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

- Ja także.

- Czy chcesz być przy śmierci tego człowieka?

- Wolę wyruszyć tropem tamtych.

Był przekonany, że podążyli na północ, w dół rzeki, ku Drugiemu Oku.

- To dobry pomysł.

Stąpający po Piasku odwrócił się i odszedł. Zanim zdążył zrobić dziesięć kroków,

lunał deszcz. Poprzez jego szum usłyszał przedśmiertny charkot ślepeca.

Wstał pogodny chłodny dzień. Kiedy słońce wspięło się nad horyzont na szerokość dłoni, znikły ostatnie chmury, pozostawiając czyste niebo, granatowe z odcieniem czerni i poznaczone gasnącymi gwiazdami. Na łąkomorzu trzciny kołysały się i skrzypiały poruszane wiatrem, od czasu do czasu jakiś ptak pokonał drogę od krańca do krańca nieboskłonu, niesiony burzliwymi zawirowaniami powietrza niczym Stąpający prądem rzeki.

Wytropienie trzech uciekinierów nie nastęczyło mu żadnych trudności.

Mieszkańcy łąkomórz łowili ryby, dzielnie walczyli i polowali na drobną zwierzynę, ale nie byli prawdziwymi myśliwymi - przynajmniej według kryteriów, jakie obowiązywały w górach. Jeszcze ich nie zobaczył, lecz setki znaków świadczyło o tym, że są niedaleko: zdeptana roślinka, która jeszcze nie zdążyła się wyprostować, odcisk stopy w podmokłej ziemi, który jeszcze nie zdążył wypełnić się wodą.

Natrafiał również na ślady innych ludzi. Ci, których ścigał, kroczyli ścieżkami wydeptanymi nie tylko przez zwierzęta, dokoła wyczuwało się obecność czegoś, czego nie było na wyżynach, czegoś okrutnego i zarazem obojętnego, pogrążonego głęboko w myślach, pogardliwie traktującego wszystko, co nie sięgało chmur.

Jednocześnie ani na chwilę nie zapomniał o pozostawionych z tyłu Dzieciach Mroku. U schyłku nocy słyszał ich pieśń o Wielu Napęczonych Żołądkach, potem zaś Pieśń Dziennego Snu. Teraz milczeli, lecz nawet milczący pozostawali obecni. Sądząc po śladach, uciekająca trójka szybko traciła siły - stawiali coraz krótsze kroki i powłóczyli nogami - ale Stąpający niczego by nie osiągnął, doganiając ich samotnie, tym bardziej że zupełnie mu na nich nie zależało. Traktował ich wyłącznie

jako przynętę, dzięki której uda mu się zwabić Dzieci Mroku w głąb łąkomorza, gdzie będą mu potrzebni. Sam także z trudem trzymał się na nogach. Jak tylko trafił na nieco bardziej suche miejsce, gdzie rośło kilka krzaków, położył się na ziemi i zasnął.

- Gdzie on jest? - zapytał Ostatni Głos. - Ach! - rzekł, usłyszawszy odpowiedź Wschodniego Wiatru, który wszystko widział.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Schwytali go o zmierzchu. Postawni mężczyźni o ciałach pokrytych bliznami i złowrogich oczach podkradli się od tyłu i okrążyli go szerokim kołem. Miotał się w różne strony, szukając drogi ucieczki, lecz mieszkańcy łąkomorza wciąż się zbliżali. Liczył na to, że w ciemności będzie miał większe szansę, lecz właśnie w ciemności został pojmany. Walczył dzielnie, więc musieli go mocno poturbować.

Więzili go przez pięć dni, a potem przez całą noc pędzili przed sobą, by o świcie wrzucić do dziury w ziemi zwanej Drugim Okiem. Było tam już czworo ludzi: jego matka Rozkołysane Gałęzie Cedru, Jadalne Liście, stary Krwawiący Palec oraz Słodkousta.

- Synu! - wykrzyknęła Rozkołysane Gałęzie Cedru i załżała się łzami. Była bardzo wychudzona.

Przez pół dnia Stąpający po Piasku wdrapywał się na ściany Drugiego Oka.

Zmusił Jadalne Liście i Słodkoustą, żeby go podsadzali, a nawet namówił Krwawiący Palec, żeby ten, zgięty wpół, stanął w szerokim rozkroku i pozwolił Jadalnym

Liściom wspiąć się na barki, tak by Stąpający wdrapał się na szczyt piramidy i uciekł. Jednak ściany dziury w ziemi zwanej Drugim Okiem były z piasku, który nie daje oparcia rękom ani stopom, więc im bardziej starał się wydostać, tym mizerniejsze osiągał rezultaty. Wreszcie pod Krawięcym Palcem ugięły się nogi. Jadalne Liście runął na dno jamy, Stąpający spadł na niego i znaleźli się w tym samym położeniu co przedtem.

Mniej więcej godzinę po południu na krawędzi jamy pojawił się drugi Stąpający po Piasku i długo stał bez ruchu, spoglądając w dół, Stąpający zaś, ten uwięziony, gapił się na siebie w górę. Potem krzepcy mężczyźni o ciałach pokrytych bliznami spuścili do dziury w ziemi koniec długiej włochatej liany.

- Ten - powiedział z góry Stąpający i wskazał na prawdziwego Stąpającego, który stanowczo pokręcił głową. - Nie bój się, nie złożymy cię w ofierze. Jeszcze nie teraz. Wychodź.

- Czy mnie uwolnisz?

Tamten parsknął śmiechem.

- W takim razie, bracie, jeśli chcesz ze mną rozmawiać, musisz tu przyjść.

Wschodni Wiatr popatrzył na mężczyzn trzymających lianę, na pół żartobliwie wzruszył ramionami, po czym zsunął się na dno Drugiego Oka.

- Chciałbym zobaczyć cię w lepszym świetle - powiedział do Stąpającego po Piasku. - Masz moją twarz.

- Jesteś moim bratem - odparł Stąpający. - Śniłem o tobie, a matka potwierdziła, że istniejesz. Zaraz po tym, jak przyszliśmy na świat, ona i jej matka zaniósł nas do kąpieli. Zjawili się ludzie z bagien, zmusili jej matkę, żeby wyjawiała twoje imię, dzięki czemu mogli osiąść nad tobą władzę, a następnie ją zabili.

- Wiem o wszystkim - powiedział Wschodni Wiatr. - Mówił mi o tym Ostatni

Głos, mój nauczyciel.

Stąpający po Piasku miał nadzieję, że coś osiągnie, wciągając do rozmowy

matkę, zapytał więc:

- Jak ona miała na imię? Twoja matka, którą utopili. Wiedziałem, ale

zapomniałem.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Jednak Rozkołysane Gałęzie Cedru tylko szlochała.

- Musisz zginąć, żeby zanieść nasze posłanie rzece, która przekaże je gwiazdom,

które powtórzą je Bogu - powiedział Wschodni Wiatr. - Ostatni Głos ostrzegł mnie,

że twoja śmierć może oznaczać dla mnie pewne niebezpieczeństwo, ponieważ

jesteśmy jedną osobą.

Stąpający potrząsnął głową i splunął.

- To dla ciebie zaszczyt - dodał Wschodni Wiatr. - Teraz jesteś po prostu

chłopcem z gór, ale tam, wśród gwiazd, staniesz się większy nawet ode mnie, choć ja

potrafię odczytać wiadomości, które rzeka śle Bogu.

- Wcale mnie tak bardzo nie przypominasz, a poza tym nie masz brody - odparł

Stąpający po Piasku i dotknął górnej wargi, na której nieśmiało zaczął kiełkować

zarost. Słodkousta, która do tej pory wraz z Jadalnymi Liśćmi i Krwawiącym Palcem

przysłuchiwała się w milczeniu, niespodziewanie zaczęła chichotać. Stąpający

zgromił ją spojrzeniem, ona zaś, niezdolna opanować wesołości, wskazała na

Wschodni Wiatr.

- W niemowlęctwie obwiązują nam mocno te części ciała długimi kobiecymi

włosami - wyjaśnił Wschodni Wiatr. - Krew przestaje dopływać i usychają. To nie boli, umierają zaś tylko nieliczni z tych, którzy mieli zostać gwiazdnymi wędrowcami. Powiedziałem, że Ostatni Głos ostrzegł mnie przed konsekwencjami twojej śmierci. Umrzesz przede mną i udasz się do rzeki i gwiazd. Nie obawiam się tego. W snach będę razem z tobą odwiedzał miejsca, z których czerpie się siłę. Przeszedłem, żeby ci powiedzieć, że w swoich snach jeszcze długo będziesz żywym człowiekiem.

- Niebiański Nauczycielu, jest ich więcej - przemówił głos z góry. - Czy chcesz wyjść?

Stąpający podniósł wzrok i na tle nieba ujrzał miniaturowe sylwetki Dzieci Mroku osaczone zewsząd przez mieszkańców łąkomórz.

- Nie - odparł Wschodni Wiatr. - Skoro nie boję się tych, którzy przynajmniej są ludźmi, dlaczego miałbym się bać tamtych?

- Może powinieneś - mruknął Stąpający po Piasku.

Dzieci Mroku zsunęły się po osypującej się stromiźnie. W blasku dnia wydawały się jeszcze mniejsze niż nocą, bezkrwiste, zdeformowane. Stąpającemu przemknęła przez głowę myśl, że gdyby naprawdę byli dziećmi i tak wyglądali, już dawno by umarli.

- Wkrótce umrzemy - powiedziało jedno z Dzieci Mroku (Stąpający nie był pewien które). - A oni nas zjedzą. Ciebie też.

- Rytualne spożywanie darów przeznaczonych dla rzeki nie ma nic wspólnego ze zwykłym zaspokajaniem głodu - wycedził z pogardą Wschodni Wiatr. - Was po prostu zjemy na kolację.

- W sumie pięć sztuk, Niebiański Nauczycielu - oznajmił z góry człowiek, który

wcześniej rozmawiał ze Wschodnim Wiatrem, i zatarł ręce. Wyglądało na to, że wśród swoich cieszy się sporym poważaniem. - Nie znam większego przysmaku niż mięso Dziecka Mroku.

- Sześć - poprawił go Wschodni Wiatr.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

- Tego dołu nie wykopano rękami - stwierdziło któreś z Dzieci Mroku. Wszystkie zawzięcie grzebały w ziemi, przesiewając piasek między palcami.

- To twoi wierni słudzy - zwrócił się Wschodni Wiatr do Stąpającego po Piasku. - Może byś im opowiedział o ich nowym domu?

- Chętnie, ale nikt nie wie, dlaczego świat jest taki, jaki jest, oprócz tego, że wszystko dzieje się na nim zgodnie z wolą Boga.

- W takim razie słuchaj uważnie, a dowiesz się, gdzie trafiliście. Za ledwie kilkaset kroków na wschód stąd rzeka rozrasta się w nieskończoność. Jesteśmy jakby w miejscu, w którym łądyga przechodzi w kwiat, tyle że kwiatem jest bezkresny Ocean.

- Nie wierzę.

- Jeszcze nie rozumiesz? Wciąż nie wiesz, dlaczego rzeka jest świętsza od Boga i gwiazd? Dlaczego każde dziecko zaraz po przyjściu na świat musi zostać w niej wykąpane i dlaczego za każdym razem, kiedy spadnie gwiazda, należy zmacić jej wodę krwią gwiazdneho wędrowca? Ta rzeka to Czas. Kończy swój bieg w świętym miejscu, czyli Oceanie, który jest przeszłością i nie ma granic. Na jej wschodnim, niskim brzegu, gdzie woda jest czasem słodka, a czasem słona, znajduje się Oko - wielki okrąg, z którego wyruszają gwiazdni wędrowcy. Na zachodnim Ocean uznał

za stosowne stworzyć Drugie Oko, aby przechowywać tam dary, które niebawem do niego dotrą. Ostatni Głos, który wiele myślał o tych sprawach, twierdzi, że ręce Oceanu, bez przerwy uderzające o plaże, przynoszą piasek, na którym teraz stoimy, lecz odsuwając się, zabierają go ze sobą. Właśnie dlatego Drugie Oko nigdy nie jest puste, ale i nigdy nie zostanie napełnione.

- Myjemy dzieci w rzece, ponieważ rzeka symbolizuje czystość Boga - powiedział Stąpający po Piasku - i ponieważ są zbrukane ziemią spod korzeni drzew, ich ojców. Jeśli chodzi o resztę bzdur, które wygłosiłeś, są dla mnie warte tyle samo co twoje twierdzenie, że jesteśmy jednym człowiekiem.

- Ostatni Głos otwierał ciała kobiet... - zaczął Wschodni Wiatr, lecz dostrzegłszy grymas odrazy na twarzy Stąpającego, odwrócił się, chwycił za lianę i dał znak swoim ludziom, żeby go wyciągnęli. Na górze odwrócił się, pomachał i zawołał: - Żegnaj, matko! Żegnaj, bracie!

Potem odszedł.

- Mogłeś coś od niego wytargować, ale teraz już na pewno nie wróci - wymamrotał zrzędliwie Krwawiący Palec.

Stąpający wzruszył ramionami.

- Dają wam tu coś do picia? - zapytał. - Jestem spragniony, a nie widzę żadnych kałuż.

Cienia również nie było, lecz Dzieci Mroku kładły się już tam, gdzie powinien zjawić się najpierw, zwinięte w nieduże ciemne kulki.

- O zachodzie słońca rzucają nam łodygi jakichś roślin - odparł Krwawiący Palec.

- Nie są może najsmaczniejsze, ale za to bardzo soczyste. To wszystko, co dostajemy do picia i do jedzenia. - Wskazał kciukiem na Dzieci Mroku. - Gdybyśmy wytlukli to

robactwo, mielibyśmy pod dostatkiem pożywienia i napitku. Nas trzech na nich

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

pięciu: to całkiem nieźle, a poza tym, dopóki słońce jest na niebie, prawie nie będą stawiać oporu.

- Was dwóch, nas sześciu. Poza tym Jadalne Liście nie będzie walczył ze mną.

Przez chwilę Krwawiący Palec sprawiał wrażenie bardzo zagniewanego i Stąpający po Piasku, który wciąż dobrze pamiętał jego wielkie, silne pięści, przygotował się do starcia, ale zaraz potem Palec uśmiechnął się, odsłaniając liczne braki w uzębieniu.

- A więc zostaliśmy my dwaj, chłopcze? Będziemy się bić, a reszta będzie patrzeć i zagrzewać nas do walki? Jeśli zwyciężysz, twoi przyjaciele najedzą się do syta, a jeśli ja wygram, i tak dobiorą się do mnie o zmierzchu? Nic z tego. Za kilka dni też będziesz głodny, wtedy znowu porozmawiamy. Oczywiście jeżeli zostaniemy przy życiu.

Stąpający po Piasku z uśmiechem pokręcił głową. Noc spędził na forsownym marszu, rano zaś na nieudanych próbach wdrapania się na ściany, więc jak tylko Krwawiący Palec odwrócił się od niego, ułożył się na piasku w pobliżu Dzieci Mroku. Po pewnym czasie tuż obok położyła się Słodkousta.

Rzeczywiście, o zachodzie słońca do jamy wrzucono łądygi. Dzieci Mroku już się obudziły i przyniosły po dwie dla Słodkoustej i Stąpającego. Dziewczyna przyjęła poczęstunek, lecz było widać, że świecące w ciemności oczy Dzieci Mroku budzą w niej lęk. Przeszła na drugą stronę jamy i usiadła obok Rozkołysanych Gałęzi Cedru.

Stary Mędrzec przycupnął przy Stąpającym. Nie miał łodygi.

- I co teraz zrobimy? - zapytał Stąpający po Piasku.

- Porozmawiamy.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie ma możliwości działania. Kiedy nic nie da się zrobić, dobrze jest porozmawiać i omówić to, co już się zrobiło i co zamierza się zrobić w przyszłości.

Historia uczy, że wszystkie wielkie polityczne idee powstawały w więzieniach.

- Co to jest historia i co to są polityczne idee?

- Masz wysokie czoło i szeroko rozstawione oczy – powiedział Stary Mędrzec. -

Niestety, tak samo jak wszyscy twoi pobratymcy, mózg masz tutaj... - poklepał

Stąpającego po płaskim, twardym brzuchu, a raczej wykonał gest, jakby zamierzał to

uczynić swymi niematerialnymi palcami - ...więc tamte cechy świadczące o

potencjale intelektualnym nie mają żadnego znaczenia.

- Każdy, kto jest głodny, myśli brzuchem - zauważył nieśmiało Stąpający.

- Umysł potrafi przenieść się nie tylko do brzucha, ale nawet wznieść się

czternaście tysięcy stóp nad głowę, albo i więcej.

- Gwiezdni wędrowcy wywodzący się spomiędzy mieszkańców łąkomórz

twierdzą, że ich umysły (może mają na myśli dusze) opuszczają ziemię i ulatują w

kosmos, odbijają się od bliźniaczej planety, po czym, porwane kosmicznymi

prądami, szybują aż do świtu między gwiazdnymi konstelacjami, poznając szczegóły

wszystkiego. Dowiedziałem się tego, będąc ich więźniem.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Stary Mędrzec wydał odgłos, jakby spluwał, po czym zapytał:

- Czy wiesz, co to jest gwiazdolot?

Stąpający pokręcił głową.

- A widziałeś kiedyś pień niesiony przez rzekę?

- Sam podróżowałem w ten sposób. Dzięki temu tak prędko dotarłem do łąkomorza.

- Tym lepiej. - Stary Mędrzec uniósł głowę i spojrzał na nocne niebo. - Widzisz?

- Wyciągnął rękę. - Tam. Jak to nazywacie?

Stąpający po Piasku usiłował podążyć wzrokiem za bezcielesnym palcem.

- Gdzie?

Kobieta o Płonących Włosach przyglądała mu się ze spokojem przez rękę

Dziecka Mroku.

- Na całym niebie, od horyzontu po horyzont.

- Ach, o to ci chodzi! To Wodospad.

- Wyobraź sobie wydrążony pień na tyle duży, żeby zmieścili się w nim ludzie.

To właśnie jest gwiazdolot.

- Rozumiem.

- W zamierzchłych czasach ludzie tacy jak ja podróżowali gwiazdolotami między gwiazdami. W ten sposób tutaj przybyliśmy.

- Wydawało mi się, że jesteście tu od zawsze — powiedział Stąpający.

Stary Mędrzec pokręcił głową.

- Zjawiliśmy się na tej planecie albo bardzo niedawno, albo przed wiekami. Nie jestem pewien, która wersja jest prawdziwa.

- A co mówią wasze pieśni?

- Kiedy się tu zjawiliśmy, nie mieliśmy żadnych pieśni. To był jeden z powodów,

dla których zostaliśmy i utraciliśmy nasz gwiazdolit.

- I tak nie moglibyście nim wrócić - zauważył Stąpający po Piasku, usiłując sobie wyobrazić wydrążony pień płynący w górę rzeki.

- Wiem o tym. Zanadto się zmieniliśmy. Czy sądzisz, że jesteśmy do was podobni?

- Nie bardzo. Jesteście za mali, wyglądacie niezdrowo, macie zbyt okrągłe uszy i za mało włosów.

- To prawda - przyznał Stary Mędrzec i umilkł.

Nastąpiła cisza. A wtedy Stąpający usłyszał na przemian narastający i słabnący, zupełnie nowy odgłos: to odległy o ćwierć mili Ocean gładził plażę swymi dłońmi, lecz Stąpający po Piasku nie mógł tego wiedzieć.

- Nie chciałem cię urazić - przerwał wreszcie milczenie. - Powiedziałem tylko, co myślę.

- Właśnie myśl jest najistotniejsza. My myślimy o sobie zupełnie inaczej, więc i jesteśmy inni, aczkolwiek dobrze jest wiedzieć, w jaki sposób nas postrzegacie.

- Przykro mi.

- Tak czy inaczej, kiedyś wyglądaliśmy tak jak wy teraz.

- Aha - mruknął Stąpający po Piasku.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Kiedy był młodszy, Rozkołysane Gałęzie Cedru często opowiadała mu różne historie, na przykład „Skąd mułokot wziął swój ogon” (ukradł go jaszczurkowcowi, który używał go jako języka) albo „Dlaczego norzeł nie lata” (wstydy się pokazywać innym zwierzętom swoje paskudne stopy, więc chowa je w trawie, chyba że akurat

musi coś zabić). Przypuszczał, że opowieść Starego Mędrca będzie podobna do tamtych, a ponieważ jej nie znał, nie miał nic przeciwko temu, by ją wysłuchać.

- Jak już powiedziałem, przybyliśmy tutaj albo całkiem niedawno, albo w bardzo odległej przeszłości. Niekiedy siadamy kręgiem o świcie, nim zaintonujemy Pieśń Dziennego Snu, wpatrujemy się w swoje twarze i usiłujemy przypomnieć sobie nazwę ojczystej planety. Czasem zdarza się również, iż słyszymy zamknięty w myślach śpiew naszych braci wędrujących wciąż między gwiazdami. Zawracamy go i kierujemy z powrotem do nich, lecz oni go nie słyszą i ich śpiew (choć nie wiedzą o tym, że śpiewają) rozbrzmiewa w naszych pieśniach. Możliwe, że nasza ojczyzna nazywała się Atlantyda albo Mu... albo Gondwana, Afryka, Poictesme lub Kraina Przyjaciół. Z naszej piątki tylko ja pamiętam te wszystkie nazwy.

Stąpającemu po Piasku wszystkie bardzo się spodobały, ale słowa Starego Mędrca przypomniały mu o pozostałych Dzieciach Mroku. Wszystkie zdawały się uważnie przysłuchiwać rozmowie, siedząc w różnych miejscach na dnie jamy. Dwoje podjęło próbę wspinaczki na strome ściany i w jej trakcie zamarło w bezruchu: jedno prawie w połowie wysokości, drugie mniej więcej w jednej czwartej. Z ludzi tylko on nie spał. Przez otwór nad ich głowami wlewał się błękitny blask bliźniaczej planety.

- Kiedy tu przybyliśmy, wyglądaliśmy tak jak wy teraz... - podjął na nowo Stary Mędrzec.

- Ale zdjeliście swój wygląd do kąpieli - wpadł mu w słowo Stąpający; myślał o kwiatach i piórach, które jego ludzie niekiedy wtykali sobie we włosy - a myśmy go ukradli i zatrzymali dla siebie.

Taką właśnie opowieść usłyszał kiedyś od Rozkołysanych Gałęzi Cedru.

- Wcale nie. Po to, żebyście zyskali nasz wygląd, wcale nie musieliśmy go tracić.

Należysz do rasy istot zmiennokształtnych - w naszej ojczyźnie nazywaliśmy je wilkołakami. Kiedy się tu zjawiliśmy, niczym nie różniliście się od pozostałych zwierząt, ale niektórzy z was, zainspirowani chmurami, erupcjami wulkanów lub płynącą wodą, przybrali zupełnie fantastyczne formy. Wkroczyliśmy między was w pełni majestatu i siły, z syczeniem tysiąca węży zakończyliśmy lot w waszym Oceanie, niczym zdobywcy dumnie wyszliśmy na brzeg, dzierżąc w rękach światło i płomień.

- Ach! - westchnął Stąpający po Piasku, któremu ogromnie się podobała ta historia.

- Tak, światło i płomień... - powtórzył Stary Mędrzec, kołysząc się w przód i w tył. Przymknął powieki i energicznie poruszał szczęką, jakby coś przeżuwał.

- I co było dalej?

- To już koniec. Wywarliśmy na was tak wielkie wrażenie, że staliście się tacy jak my, i tacy już zostaliście. To znaczy tacy, jakimi byliśmy wtedy.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

- To nie może być koniec - zaproponował Stąpający. - Powiedziałeś, w jaki sposób staliśmy się tacy sami, ale nie wspomniałeś ani słowem o tym, dlaczego znowu zaczęliśmy się różnić. Już teraz jestem wyższy od ciebie i mam proste nogi.

- Jesteśmy od was wyżsi i silniejsi - odparł Stary Mędrzec. - I otoczeni okrutną sławą. Co prawda nie mamy już miotaczy światła i płomieni, ale potrafimy siać zniszczenie spojrzeniem i wyśpiewać śmierć naszym nieprzyjaciołom, krzewy same zrzucają nam do rąk owoce, pod każdym kamieniem znajdujemy synów naszych matek.

- Ach! - powtórzył Stąpający. Korciło go, żeby powiedzieć: macie zdeformowane kości, słabe mięśnie i chore twarze, i uciekacie przed ludźmi, dopóki jest widno, ale nie uczynił tego. Po pierwsze, sam siebie nazwał przecież przyjacielem Dzieci Mroku, a po drugie, wszelkie dyskusje i tak były teraz bezcelowe. - Nadal jednak nie jesteśmy identyczni, ponieważ my nie posiadamy waszych zdolności, a nasze pieśni nie wracają niesione nocnym wiatrem, by zakłócić sen.

Stary Mędrzec skinął głową.

- Pokażę ci.

Opuścił głowę, zakasłał w rękę, po czym wysunął je w kierunku rozmówcy.

Stąpający po Piasku wyteżył wzrok, lecz choć bliźniacza planeta świeciła już pełnym blaskiem, dostrzegł jedynie niewyraźną ciemną masę w palcach jak z pajęczyny, a kiedy spróbował jej dotknąć, jego dłoń przeszła na wylot nie tylko przez nią, ale i przez rękę Starego Mędrca. Zrobiło mu się głupio; poczuł się jak mały chłopaczek, który zamiast spać, siedzi sam w ciemności i mamrocze w pustkę.

- Tutaj - powiedział Stary Mędrzec i skinął na jedno z Dzieci Mroku, które podeszło niezwłocznie i usiadło przy nich, całkowicie materialne.

- Czyżbym w rzeczywistości rozmawiał nie z nim, lecz z tobą? - zapytał przybyłego Stąpający po Piasku, lecz tamten w milczeniu odwrócił wzrok. Po pewnym czasie splunął w dłonie, tak jak wcześniej uczynił Stary Mędrzec, i wysunął je przed siebie.

- Kiedy mówisz do mnie, mówisz do nas wszystkich - rzekł Stary Mędrzec. -

Przede wszystkim do tych pięciu, ale także do pozostałych Dzieci Mroku. Choć słabe i ledwo słyszalne, ich pieśni docierają aż tutaj i współtworzą mnie. Spójrz jednak, co on ci pokazuje.

Stąpający jeszcze przez chwilę przyglądał się Dziecku Mroku. Było chyba jeszcze dość młode, lecz twarz miało mroczną i nieprzeniknioną. Choć przymknęło powieki, Stąpający czuł na sobie jego spojrzenie - przyjazne, zakłopotane i zaniepokojone.

- Skosztuj, proszę - zachęcił go Stary Mędrzec.

Stąpający ostrożnie dotknął palcem przeżutej papki i powąchał; zapach nie był zachęcający.

- Za to oddaliśmy wszystko, choć pozornie to tylko roślina, jedna z wielu, jakie rosną na tej planecie. Ma szerokie, szare, pokryte brodawkami liście, żółte kwiaty i ziarna przypominające nakrapiane jaja.

- Widziałem ją - powiedział Stąpający po Piasku. - Jadalne Liście ostrzegł mnie przed nią, kiedy byłem mały. Jest trująca.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

- Tak wy uważacie. Istotnie, jest trująca, jeśli się ją połknie, choć śmierć, jaką zadaje, bywa piękniejsza od niejednego życia. Jednak raz w roku, między pełniami bliźniaczej planety, człowiek może bezpiecznie zerwać świeże liście, zwinąć je ciasno i umieścić pod policzkiem. Nic wtedy dla niego nie istnieje: ani kobiety, ani jedzenie. Jest święty, ponieważ mieszka w nim Bóg.

- Spotkałem kogoś takiego - wyszeptał Stąpający. - Zabiłbym go, gdyby nie to, że zrobiło mi się go żal.

Nie spodziewał się, że powie to na głos, i oczekiwał reprimendy ze strony Starego, ten jednak tylko skinął głową.

- W nas taki człowiek również wzbudza żal, ale i zazdrość. Jest Bogiem. Wiedz,

że on także ulitował się nad tobą.

- Chciał mnie zabić.

- Ponieważ ujrzał cię takiego, jaki jesteś naprawdę, i poczuł wstyd, który i ty czujesz. Jednak tylko ten jeden jedyny raz, aż do chwili kiedy bliźniacza planeta pojawi się na niebie w tej samej fazie, człowiek może bezpiecznie przeżuwać liście owej rośliny. Umarłby, gdyby czynił to częściej.

- Jednak dla was jest nieszkodliwa?

- Wszyscy rozgrzewaliśmy się nią od wczesnej młodości i, jak widzisz, jesteśmy zdrowi. Czy słabo walczymy? Dożywamy sędziwego wieku.

- To znaczy jakiego? - zainteresował się Stąpający po Piasku.

- A jakie to ma znaczenie? Jeśli chodzi o zbieranie doświadczeń, żyjemy bardzo długo i wiele odczuwamy. Kiedy wreszcie przychodzi pora umrzeć, mamy za sobą chwile, gdy byliśmy więksi od Boga i mniej znaczący od najpodlejszych zwierząt. Wtedy, kiedy nic nie znaczymy, żujemy te liście, które dają nam pociechę. Są jak mięso, gdy czujemy głód, a nie mamy ryb, są jak mleko, gdy chce nam się pić, a nie ma wody. Młodzieniec pożąda kobiety, znajduje ją, jest wspaniały i umiera dla świata. Później już nigdy nie będzie tak wspaniały, lecz kobieta daje mu ukojenie i przypomina o tym, jaki był wtedy, dzięki czemu na jakiś czas odzyskuje część tej wspaniałości. Tak samo jest z nami: kiedy na głowach naszych żon pojawiają się siwe włosy, niespokojnie spluwamy w dłonie i spoglądamy w pełną twarz bliźniaczej planety, a gdy ta ponownie znajdzie się w tej samej fazie, mamy już nowe, młode żony i każda z nich jest Bogiem.

- Ale nie wyglądacie tak jak my teraz - zauważył Stąpający.

- Kiedyś tak właśnie wyglądaliśmy, lecz dokonaliśmy wymiany: nasz wygląd w

zamian za to. - Wskazał przezutą papkę. - Dawno temu, w naszej ojczyźnie, zanim jakiś głupiec rozniecił ogień, byliśmy właśnie tacy. Nie liczyło się dla nas nic oprócz słońca, nocy i nas samych. Teraz znowu tacy jesteśmy, ponieważ staliśmy się bogami i nie obchodzą nas wytwory ludzkich rąk, wy zaś jesteście tacy jak my, gdyż staracie się powtarzać każdy nasz ruch.

Myśl, że jego ludzie, którzy pogardzali Dziećmi Mroku, mogliby je naśladować, rozbawiła Stąpającego, lecz nie dał tego po sobie poznać.

- Jest już późno, a ja muszę nabrać sił. Dziękuję wam za wszystko.

- Nie skosztujesz?

- Nie teraz.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Milczące Dziecko Mroku, teraz sprawiające wrażenie jeszcze mniej materialnego od utkanej z pajęczyny postaci, obok której przycupnęło, włożyło z powrotem do ust częściowo przezutą papkę i odeszło. Stąpający zaś ułożył się na ziemi najwygodniej jak mógł, myśląc o tym, jak by to było miło, gdyby Słodkousta zechciała znowu położyć się razem z nim. Stary Mędrzec znikł, choć nigdzie nie odszedł, zjawily się za to koszmarne sny; Stąpający widział, choć nie miał oczu, i czuł, choć nie miał skóry, nagi robak świadomości zawieszony pośród olśniewającego blasku. Ktoś krzyknął.

Krzyk rozległ się ponownie. Stąpający poderwał się z ziemi, walcząc nie wiadomo z kim, wymachując rękami, z ustami pełnymi piasku. Miał skrepowane nogi. Rozkołysane Gałęzie Cedru krzyczała przeraźliwie. Jadalne Liście i Krwawiący Palec chwycili go za ramiona i pociągnęli tak mocno, jakby chcieli połamać mu

kości. Dzieci Mroku stały dokoła i przyglądały się w milczeniu, Słodkousta płakała.

- Ziemia na dnie czasem się zapada - powiedział Krwawiący Palec, gdy wreszcie uwolnili Stąpającego.

- Kiedy byłeś jeszcze mały, ale wydawało ci się, że już przestałeś być dzieckiem, nie chciałeś sypiać obok mnie - wyszeptała Rozkołysane Gałęzie Cedru. - Często wówczas wstawałam w nocy i szłam sprawdzić, co się z tobą dzieje. Przypomniałam sobie o tym, kiedy niedawno się obudziłam.

- Dziękuję.

Wciąż wypluwał piasek.

- Nie wiedzieliśmy o tym - odezwał się głos z ciemności. - Od tej pory zawsze będą cię strzegły niewidzialne oczy.

- Dziękuję wam wszystkim. Mam wielu przyjaciół.

Ludzie kolejno wracali na swoje miejsca i ponownie kładli się do snu. Stąpający długo wędrował po dnie jamy, badając grunt i wsłuchując się w szelest, z jakim obsypywała się ziemia, ale odgłosy Oceanu były na tyle silne, że wreszcie zrezygnował i spróbował znowu zasnąć. *„To niemożliwe”, mówił Ostatni Głos.*

„Spójrz raz jeszcze!” „Nie mogę... Ta chmura...” Pod kopułą nocnego nieba rozciągała się oleista powierzchnia wody: czarna, lśniąca, bezkresna, nie pokazywała odbicia gwiazd, tylko siebie i skrawki martwych wodorostów. „Spójrz jeszcze raz!” Ręce o długich i delikatnych, ale kościstych palcach chwyciły go za ramiona.

Ktoś nim potrząsał, choć jeszcze nie świtało. Przez chwilę wydawało mu się, że ponownie zapada się w piasek, ale to nie była prawda. Tuż przy nim stali Krwawiący Palec i Słodkousta, za nimi zaś inne, nieznanne postaci. Stwierdził, że to

mieszkańcy łąkomorza o grzbietach poznaczonych bliznami i poskręcanych włosach.

- Musimy iść - powiedziała Słodkousta.

Jej wielkie, niemądre oczy spoglądały na wszystkich i na nikogo.

Trzymając się liany, popychani od tyłu przez ludzi z bagien, wygramolili się na powierzchnię - najpierw Stąpający po Piasku i Krwawiący Palec, potem Jadalne

Liście i obie kobiety, na końcu Dzieci Mroku.

- Kto? - spytał Stąpający, lecz Krwawiący Palec tylko wzruszył ramionami.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Ostatni Głos stał na brzegu rzeki po łydki w wodzie, tyłem do wschodzącego słońca. Wieniec z białych kwiatów na jego głowie zakrywał blizny w miejscach po wypalonych włosach, na szyi miał girlandę z czerwonych kwiatów, które w bladym świetle poranka wyglądały jak czarne. Wschodni Wiatr stał tuż obok, z brzegu zaś obserwowało ich kilkuset ludzi - milczące sylwetki skąpane w nieśmiałych odcieniach żółci i czerwieni, stopniowo tracące anonimowość, nabierające indywidualnych cech: tutaj dziecko, tam mężczyzna, jeszcze dalej kobieta, wszyscy z twarzami nieruchomymi jak maski. Stąpający skupił uwagę na Ostatnim Głosie, po raz pierwszy bowiem miał okazję ujrzeć gwiazdnego wędrowca w rzeczywistym świecie.

Strażnicy wprowadzili ich po kolana w wodę. Ostatni Głos uniósł ramiona i, zwrócony twarzą do gasnących gwiazd, zaczął śpiewać. Pieśń była tak bluźniercza, że Stąpający po Piasku natychmiast przestał jej słuchać i tylko prosił Boga, aby pozwolił mu uciec. Prędko jednak uświadomił sobie, że przecież wtedy pozostawiłby innych ich losowi, a poza tym mieszkańcy łąkomorza cieszyli się opinią

wyśmienitych pływaków. Zwrócił się z prośbą o pomoc do kapłana, lecz jego tu nie było. A potem Ostatni Głos niespodziewanie umilkł, dużo wcześniej niż Stąpający tego oczekiwał.

W całkowitej ciszy Ostatni Głos dźgnął powietrze obiema rękami. Widzowie odpowiedzieli jękiem niemalże rozkoszy, mężczyźni skoczyli naprzód, chwycili Krwawiący Palec i Jadalne Liście, wepchnęli ich na głębszą wodę. Stąpający rzucił się na pomoc, lecz ktoś uderzył go z tyłu i przewrócił. Był pewien, że będą usiłowali go utopić, lecz nie, dali mu spokój. Wstał, wypłuł wodę i odgarnął z czoła długie mokre włosy. Krwawiący Palec i Jadalne Liście wciąż byli otoczeni przez ludzi z łąkomórz, ale nic nie świadczyło o tym, żeby działa im się jakaś krzywda. Młode słońce złociło zmarszczki na spokojnie płynącej wodzie.

- Dzisiaj dwóch - odezwał się ktoś z tyłu. - Ludzie są zachwyceni.

Stąpający obejrzał się i ujrzał Wschodni Wiatr, który przepychał się przez tłum, wysoko unosząc kolana.

- Z powrotem do jamy! - wykrzyknął któryś ze strażników.

Stąpający po Piasku wraz z Rozkołysanymi Gałęziami Cedru oraz Słodkoustą rozchlapując wodę pobrnęli w kierunku brzegu, za nimi podążyły Dzieci Mroku. W chwili kiedy wyszedł na grząski grunt, usłyszał z tyłu trzask łamanej kości.

Odwróciwszy się, zobaczył, jak ludzie z łąkomorza oddalają się z dwoma martwymi Dziećmi Mroku o głowach kołyszących się bezwładnie na przetrąconych karkach.

Jeszcze nigdy na widok śmierci żadnej istoty nie rozwścieczył się tak bardzo.

- Dlaczego ich zabiliście? Przecież nie byli ważni w ceremonii.

Złapali go z dwóch stron i wykręcili mu ręce.

- To nieludzie - powiedział jeden z nich. - Możemy ich jeść nawet bez okazji.

- Dzisiaj będzie wielka uczta - dodał drugi.

- Puśćcie go - polecił Wschodni Wiatr, który nie wiadomo skąd znalazł się tuż

obok. - Nie stawiaj oporu, bracie. Skończy się tym, że połamią ci ręce.

Niewiele brakowało, a Stąpający po Piasku już miałby wyłamane oba ramiona.

Jak tylko uchwyt zelżał, poruszył nimi ostrożnie.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

- Zazwyczaj składamy w ofierze tylko jednego – wyjaśnił Wschodni Wiatr. -

Dlatego wszyscy są tacy podnieceni. Dwaj ludzie i dwa tamte stworzenia... Jedzenia starczy dla każdego.

- A więc gwiazdy były łaskawe - zauważył Stąpający po Piasku.

- Kiedy gwiazdy są łaskawe - odparł Wschodni Wiatr bezbarwnym tonem - nie wysyłamy rzece żadnych posłańców.

Dotarli do jamy, zanim Stąpający zdążył się zorientować, że są już blisko.

Zamierzał nie dać się zepchnąć, tylko zejść samo dzielnie po stromym zboczu, lecz kiedy dotarł na krawędź dołu, ujrzał na dnie niedużą postać tulącą do piersi coś, co wyglądało jak małe zawiniątko. Zdumiony, zatrzymał się raptownie, dostał z tyłu potężnego kuksańca i potoczył się w dół jak kłoda.

Nowym więźniem była Siedem Oczekujących Dziewcząt.

Tej nocy Stary Mędrzec i pozostałe przy życiu Dzieci Mroku śpiewały swym zamordowanym przyjaciołom Pieśń Łez. Stąpający po Piasku leżał na wznak i wpatrywał się w gwiazdy, usiłując wyczytać, czy posłanie, które zanieśli Krwawiący Palec i Jadalne Liście, odniosło jakiś skutek, lecz był za słabo wykształcony, żeby

dostrzec cokolwiek więcej niż znajome konstelacje. Siedem Oczekujących Dziewcząt przez cały dzień opowiadała o tym, jak to szła za nim wzdłuż rzeki i została pojmana; ból, który w pierwszej chwili poczuł na jej widok, stopniowo przeistaczał się w irytację wywołaną jej głupotą. Dziewczyna była raczej uradowana niż wystraszona, ponieważ tutaj, w niewoli, znalazła namiastkę towarzyszy, którzy wcześniej ją opuścili. Co jakiś czas musiał sobie przypominać, że przecież nie była świadkiem rytualnego mordy.

Kto potrafił czytać w gwiazdach? Może Krwawiący Palec? Nigdy go o to nie pytał. Noc była pogodna, a bliźniacza planeta, jeszcze prawie w pełni, nie zdążyła pojawić się nad horyzontem, więc świeciły pełnym blaskiem. Zapewne właśnie dlatego tę dziurę w ziemi nazwano Drugim Okiem. Po tamtej stronie rzeki Wschodni Wiatr i Ostatni Głos z pewnością także wpatrywali się w gwiazdy. Niespokojnie przewracał się z boku na bok; następnym razem zanurkuje w rzece i ucieknie, żeby pomóc pozostałym... o ile jeszcze będą jacyś „pozostali”. Wyobraził sobie, jak ludzie z łąkomorza wpychają pod wodę Siedem Oczekujących Dziewcząt, wyobraził sobie jej wykrzywioną przerażeniem twarz z szeroko otwartymi do krzyku ustami, i natychmiast spróbował przestać o tym myśleć. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby przyszła do niego Siedem Oczekujących Dziewcząt albo Słodkousta i zajęła go innymi sprawami, lecz obie spały przy przeciwległej ścianie, dotykając się rękami. Pieśń Łez narastała, potem zaczęła opadać, wreszcie zupełnie ucichła. Stąpający po Piasku usiadł raptownie.

- Stary Mędrze! Czy potrafisz czytać w gwiazdach?

Drobna postać wydawała się jeszcze bardziej przezroczyta niż do tej pory, lecz zarazem jakby nieco urosła.

- Tak - odparł. - Chociaż nie zawsze widzę w nich to samo co wy.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

- A umiesz wśród nich chodzić?

- Mogę robić, co zechcę.

- W takim razie co mówią? Czy jeszcze ktoś umrze?

- Jutro? Odpowiedź brzmi: tak i nie.

- Co to znaczy? Kto ma umrzeć?

- Codziennie ktoś umiera - odparł Stary Mędrzec. - Nie zapominaj, że jestem

jednym z tych, których nazywacie Dziećmi Mroku. Jeśli gwiazdy do mnie mówią, to tylko o naszych sprawach... ale wszelkie podziały to głupota. Prawdą jest to, w co się wierzy.

- Czy to będzie Siedem Oczekujących Dziewcząt?

Stary Mędrzec pokręcił głową.

- Nie ona. Nie jutro.

Stąpający położył się z westchnieniem ulgi.

- O innych nie będę pytał. Nie chcę wiedzieć.

- Bardzo rozsądnie.

- W takim razie po co wędrować wśród gwiazd?

- Właśnie: po co? Przed chwilą odśpiewaliśmy naszym zmarłym Pieśń Łez.

Myślałeś o innych, którzy też zginęli, dlatego nie gniewamy się na ciebie za to, że się do nas nie przyłączyłeś, choć Pieśń Łez jest lepsza od takich myśli.

- Jednak nie sprowadzi ich z powrotem.

- Czy na pewno byśmy tego chcieli?

- Czego? - Stąpający po Piasku stwierdził ze zdziwieniem, że jest wściekły, i świadomość ta jeszcze bardziej go rozgniewała. - O czym ty właściwie mówisz? - warknął, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Gwiazdy mrugały z lodowatą pogardą, ignorując ich obu.

- Chciałem tylko zapytać - przemówił wreszcie Stary Mędrzec, starannie dobierając słowa - czy śpiewalibyśmy z radości, gdyby Wnykarz i Myśliwy wrócili, czy może zabilibyśmy ich zaraz po zmartwychwstaniu?

Stąpający doszedł do wniosku, że jego rozmówca wyraźnie odmłodził. Cóż, duchy bywają dziwne... i łatwo się obrażają. Przypomniał sobie o tym w samą porę.

- Wybacz, jeśli cię uraziłem - powiedział jak najuprzejmiej. - A więc twoi przyjaciele nazywali się Wnykarz i Myśliwy? Skoro jestem przyjacielem Dzieci Mroku, to byli też moimi przyjaciółmi, podobnie jak Krwawiący Palec i Jadalne Liście. Dla nich też powinniśmy coś zrobić - na przykład usiąść w koło i do późnej nocy snuć opowieści o ich czynach - ale raczej nie tutaj. Nie czuję się tu zbyt dobrze.

- Rozumiem cię. Ty sam do pewnego stopnia przypominasz tego, kogo nazwałeś Krwawiącym Palcem.

- Matka jego matki i matka mojej matki przypuszczalnie były siostrami.

- Dlaczego tak pilnie przypatrujesz się moim towarzyszom?

- Ponieważ do tej pory nie przypuszczałem, że Dzieci Mroku mają imiona.

Zawsze myślałem o nich po prostu jako o Dzieciach Mroku.

- Wiem o tym. - Stary Mędrzec ponownie skierował wzrok w niebo, co natychmiast przypomniało Stąpającemu o twierdzeniu Starego, jakoby potrafił wędrować wśród gwiazd. Po bardzo długim czasie (Stąpający zdążył przewrócić się

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

na brzuch i położyć głowę na splecionych ramionach, dzięki czemu czuł słaby, słonawy zapach swojej skóry) Stary Mędrzec powiedział: - Nazywają się Lis, Łabędź i Świstak.

- Jak ludzie.

- Zanim ludzie zeszli z nieba, nie znaliśmy żadnych imion - ciągnął Stary

Mędrzec rozmarzonym tonem. - Mieliśmy długie, obłe ciała i mieszkaliśmy w norach pod korzeniami drzew.

- Wydawało mi się, że to my tacy byliśmy - zauważył Stąpający po Piasku.

- Coraz częściej mi się myli - przyznał starzec. - Jesteście tak liczni, a nas zostało tak niewiele...

- Słyszycie nasze pieśni?

- Ja jestem waszymi pieśniami. Kiedyś ludzie wykorzystywali ręce wyłącznie do zdobywania żywności. Potem pojawili się wśród nich tacy, którzy wędrowali z gwiazdy na gwiazdę. Jeszcze później okazało się, że ci, co zostali, słyszeli pieśni tych, co wyruszyli, więc wysłali ich ponownie, jeszcze dalej. Ci czuli własne pieśni w swoich kościach, ale nie dzięki sobie, lecz dzięki tym, co zostali. Kiedyś byłem pewien, że wiem, kto jest kim; teraz nie mam już tej pewności.

- A ja nie jestem pewien, czy wiem, o czym mówisz.

- Niczym iskra z bezdennych czeluści pustki, lśniący kształt wsunął się do morza... - ciągnął Stary Mędrzec, lecz Stąpający po Piasku już go nie słuchał. Ułożył się między Słodkoustą a Siedmioma Oczekującymi Dziewczętami i wyciągnął ku nim ręce.

Nazajutrz przed świtem koniec liany znowu zsunął się po stromej ścianie. Tym razem ludzie z łąkomorza nie musieli schodzić, by zmusić więźniów do wspinaczki. Wystarczyło, że ktoś krzyknął z góry, a sami, co prawda powoli i niechętnie, wyszli na powierzchnię. Czekał tam już na nich Wschodni Wiatr.

- Jakie były gwiazdy tej nocy? - zapytał go Stąpający po Piasku.

- Niedobre. Bardzo niedobre. Ostatni Głos jest mocno zaniepokojony.

- Mnie też się zdawało, że nie wyglądają najlepiej - powiedział Stąpający. -

Szybkobiegacz wplątany we włosy Kobiety o Płonących Włosach... Wątpię, żeby Krwawiący Palec i Jadalne Liście dostarczyli waszą wiadomość. Jadalne Liście zawsze robił to, o co go proszono, ale stary Krwawiący Palec prawie na pewno rozpowiada komu się da, że zasługujecie na gorszy los niż ten, który was spotkał. Ja w każdym razie na pewno to powiem, jeśli mnie wyślecie.

- Głupiec! - wykrzyknął Wschodni Wiatr i spróbował go powalić, lecz mu się nie udało, więc musieli to za niego uczynić dwaj jego ludzie.

Z powodu mgły było ciemniej niż poprzedniego ranka. Zaraz po obudzeniu Stąpający pomyślał, że ciemność i zimna mgła, która powinna być najgęściejsza nad wodą, stworzą mu doskonale warunki do ucieczki, lecz wyglądało na to, że nie tylko on doszedł do takiego wniosku, ponieważ dwaj strażnicy wzięli go między siebie i mocno chwycili za ramiona. Droga dłużyła mu się niemiłosiernie. Kiedy się potknął,

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

strażnicy podtrzymali go i zmusili do przyspieszenia kroku. Nieduże, zgarbione plecy Dzieci Mroku oraz znacznie szersze i jaśniejsze ludzi z łąkomorza pojawiały się i nikły we mgle.

- Wczoraj wieczorem mieliśmy wspaniałą ucztę - powiedział jeden ze

strażników. - Nie byliście zaproszeni, ale dzisiaj na pewno będziecie.

- A wasze gwiazdy nadal są zagniewane - odparł Stąpający. Strach i wściekłość wypełniły oczy strażnika. Z całej siły wykręcił rękę więźniowi. Z przodu, zza całunu mgły, dobiegły nieludzkie wrzaski, po czym zapadła cisza.

- Może gwiazdy gniewają się na nas - powiedział drugi strażnik - ale za to znów najemy się do syta.

Minęli ich dwaj mężczyźni, każdy z martwym ciałem Dziecka Mroku w ramionach. Stąpający po Piasku poczuł zapach rzeki i w niesamowitej, utkanej z mgły ciszy usłyszał szmer głaszczących brzeg zmarszczek na jej powierzchni.

Ostatni Głos stał tam gdzie poprzednio, opleciony siwymi mackami mgły. Ludzie z łąkomorza założyli naszyjniki, bransolety i opaski z jaskrawozielonej trawy, utworzyli ogromnego węża i tańczyli powolny, monotony taniec, coś przy tym pomrukując. Wschodni Wiatr odprawił jednego ze strażników, po czym wyszeptał Stąpającemu do ucha:

- Możliwe, że to już ostatnie takie zgromadzenia na bagnach. Gwiazdy są rozwścieczone.

- Aż tak bardzo się ich boicie? - zapytał pogardliwie Stąpający po Piasku.

Zaraz potem Wschodni Wiatr znikł. Strażnicy spędzili więźniów - Stąpającego, jego matkę, ostatnie Dziecko Mroku i dwie dziewczęta - w drżącą gromadkę.

Różowe Motyle płakała, Siedem Oczekujących Dziewcząt starała się uspokoić niemowlę, kołysząc je i plotąc jakieś bzdury, i wzywała Boga. Stąpający objął ją, a ona wtuliła twarz w jego ramię.

Ostatnie Dziecko Mroku stało tuż obok, dygocząc gwałtownie. Stary Mędrzec,

który nie odstępował go ani na krok, był we mgle tak przezroczysty, że z pewnością nikt oprócz Stąpającego po Piasku nie wiedział o jego obecności. Niespodziewanie Dziecko Mroku dotknęło ręki Stąpającego i powiedziało:

- Umrzemy razem. Pokochaliśmy cię.

- Żuj mocniej, to będzie ci się wydawało, że to tylko sen. - Zaraz potem zrobiło mu się przykro, że w takiej chwili uraził przyjaciela, więc zapytał znacznie bardziej życzliwym tonem: - Czy to właśnie ty pokazałeś mi, co żujecie?

- Mam na imię Wilk.

Ostatni Głos zaintonował pieśń.

- Stary Mędrzec powiedział mi w nocy, że nazywacie się Lis, Świstak i jeszcze jakoś - rzekł Stąpający - ale chociaż zapomniałem trzecie imię, to jestem pewien, że brzmiało zupełnie inaczej.

- Mamy imiona dla siedmiu i dla pięciu. Ty słyszałeś imiona dla trzech. Moje imię jest dla jednego. Tylko imię Starego Mędrca nigdy się nie zmienia.

- Chyba że nazywa się mnie, tak jak niegdyś, normą społeczną - wyszeptał Stary Mędrzec. Był już tylko pustką w tumanach mgły, dziurą w kształcie człowieka.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Stąpający po Piasku przez cały czas nie spuszczał oka ze strażników. Odniósł wrażenie, że wsłuchani w śpiew Ostatniego Głosu, nieco się rozluźnili. Mgła ścieliła się nisko nad szeroko rozlaną rzeką. Jeśli Bóg mu pozwoli, może zdoła dotrzeć na głębszą wodę, a wtedy...

Boże, dobry Boże, dobry Panie...

Rzucił się naprzód, rozbryzgując z chlupotem wodę, spróbował przedrzeć się

między dwoma ludźmi z łąkomorza, poślizgnął się, stracił grunt pod nogami.

Schwytali go, przez chwilę okładali pięściami i kopali kolanami, po czym cisnęli z powrotem między więźniów. Siedem Oczekujących Dziewcząt, Słodkousta i matka chciały mu pomóc, lecz odepchnął je, a następnie, przeklinając głośno, opłukał twarz gorzką wodą.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytało ostatnie Dziecko Mroku.

- Bo chcę żyć. Czyżbyś nie wiedział, że za kilka minut wszystkich nas utopia?

- Słyszę twoją pieśń i też chcę żyć. Może jestem innej krwi, ale też chcę żyć.

- A mimo to musimy umrzeć - wyszeptał Stary Mędrzec.

- To my musimy umrzeć, nie ty - powiedział Stąpający ostrym tonem. - Nie twoje kości będą obgryzać dziś wieczorem. Stary Mędrzec wskazał na Dziecko Mroku.

- Kiedy on umrze, ja umrę także. Jestem w połowie jego dziełem, a w połowie twoim, lecz gdy jego zabraknie, nie będę miał gdzie odbić się echem, a wtedy ty sam nie zdołasz stworzyć mnie całego.

- Ja też chcę żyć - powtórzyło cicho Dziecko Mroku. - Możliwe, że jednak jest sposób.

- Jaki?

- Ludzie podróżują między gwiazdami, naginając niebo, by skrócić sobie drogę.

Odkąd tu przybyliśmy...

- Odkąd oni tu przybyli - poprawił go łagodnie Stary Mędrzec. - Teraz jestem w połowie człowiekiem i wiem, że zawsze żyliśmy tutaj, nasłuchując myśli, która nie chciała przybyć, a nasłuchując nie potrafiliśmy zdobyć się na własną myśl, która uczyniłaby nas ludźmi. Choć oczywiście może być i tak, że wszyscy wywodzimy się z jednego pnia, tyle że część na pół pamięta i rozkwita, część zaś na pół zapomina i

więdnie.

- W mojej głowie rozbrzmiewa też pieśń dziewczyny z dzieciątkiem oraz ta, którą śpiewa człowiek zwany Ostatnim Głosem - powiedziało Dziecko Mroku. - I nie obchodzi mnie, czy jesteśmy jednością, czy stanowimy przeciwieństwa. Śpiewaliśmy po to, by powstrzymać gwiazdnych wędrowców. Pragnęliśmy żyć wedle naszego uznania, nie myśląc o tym, co było i jest, i choć oni potrafili przyginać niebo, nam udało się przygiąć ich myśli. Co by się stało, gdybym teraz wyśpiewał dla nich zaproszenie i gdyby je przyjęli? Kiedy się zjawią, zastaną tu mnóstwo ludzi z łąkomorza, a wśród nich zaledwie kilkoro nas. Być może, wcale nie my zostaniemy wybrani.

- Czy jeden zdoła uczynić tak wiele? - zapytał Stąpający po Piasku.

- Jesteśmy tak nieliczni, że wśród nas nawet jeden to imponująca liczba.

Pozostali będą śpiewać, żeby gwiazdni wędrowcy nie zobaczyli tego, co pragną

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

ujrzeć. Na jedno uderzenie serca moja pieśń przywróci im wzrok, a że przygięte niebo jest już niedaleko stąd, powinni przybyć bardzo szybko.

- Tak być nie powinno - stwierdził Stary Mędrzec. - Długo żyliśmy bez żadnych trosk w jedynym prawdziwym raju. Byłoby lepiej, gdybyśmy wszyscy umarli.

- Dla mnie nie ma nic gorszego od świadomości, że wkrótce muszę umrzeć - odparło stanowczo ostatnie Dziecko Mroku.

Coś, co do tej pory spowijało świat, znikło w okamgnieniu. Rzeka i mgła, roztańczeni ludzie z łąkomorza i rozśpiewany Ostatni Głos, a także więźniowie nic się nie zmienili, ale to, co znikło, było ogromne, a Stąpający po Piasku wcześniej

nigdy tego nie zauważył, ponieważ było zawsze, teraz zaś za nic nie mógł sobie przypomnieć, jak wyglądało. Niebo się otworzyło, nic już nie oddzielało ptaków od słońca; mgła, która kłębiła się wokół Ostatniego Głosu, bez trudu mogłaby dotrzeć nawet do Kobiety o Płonących Włosach. Stąpający spojrzał na ostatniego z Dzieci Mroku i spostrzegł, że tamten płacze, choć nie pozostała mu już ani jedna łza. Sam czuł się tak samo.

- Matko, jaki kolor mają moje oczy? - spytał Rozkołysane Gałęzie Cedru.

- Zielony - odparła. - W tym świetle wyglądają jak szare, ale są zielone. Taki właśnie kolor powinny mieć oczy.

- Zielony... - wyszeptały za jej plecami Siedem Oczekujących Dziewcząt i Słodkousta.

- Oczy Różowych Motyli też są zielone - dodała Rozkołysane Gałęzie Cedru.

Chwilę potem, prześwitując przez mgłę czerwienią zaschniętej krwi, wysoko w górze na północy, tam gdzie Ocean wił się niczym węgorz pod szarym niebem, pojawiła się maleńka iskierka. Stąpający po Piasku dostrzegł ją jako pierwszy. W miarę jak rosła i rozpaliała się coraz bardziej, po wodzie niósł się przybierający na sile świst i pomruk. Jedna z tańczących na brzegu kobiet wrzasnęła przeraźliwie i wyciągnęła rękę w kierunku ognistej rozmazanej plamy, która z przeraźliwym syczeniem spadała z nieba. Dźwięk ten bardzo przypominał odgłos, z jakim błyskawica zabija drzewo. Do pierwszej dołączyły dwie kolejne krwistoczerwone gwiazdy. Ich lotowi towarzyszyło potępieńcze wycie przerażonych ludzi, a kiedy wreszcie runęły do wody, mieszkańcy łąkomorza rzucili się do panicznej ucieczki. Słodkousta i Siedem Oczekujących Dziewcząt ukryły twarze na piersi Stąpającego. Strażnicy umykali co sił w nogach, w biegu pozbywając się trawiastych ozdób.

Pozostał tylko Ostatni Głos. Umilkł, lecz nie uciekł. Stąpającemu zdawało się, że widzi w jego oczach rozpacz wyczerpanego zwierzęcia, które wreszcie zatrzymuje się, odwraca i obnaża gardło przed ścigającym je drapieżnikiem.

- Chodźmy - powiedział Stąpający po Piasku. Odepchnął dziewczęta i ujął matkę za ramię, lecz tuż przy jego uchu rozległ się szept Starego Mędrca:

- Nie.

Ktoś się zbliżał, głośno rozchlapując wodę. Był to Wschodni Wiatr.

- Uciekłeś - powiedział na jego widok Ostatni Głos.

- Tylko na chwilę - odparł zawstydzony Wschodni Wiatr. - Potem sobie przypomniałem.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

- Nie powiem już nic więcej - oświadczył Ostatni Głos, po czym odwrócił się do nich plecami i zapatrzył na Ocean.

- Odchodzimy - powiedział Stąpający. - Nie próbuj nas powstrzymać.

- Zaczekajcie! - Wschodni Wiatr spojrział błagalnie na Rozkołysane Gałęzie Cedru. - Powiedz mu, żeby poczekał.

- On też jest moim synem... - wyszeptała. - Zaczekaj.

Stąpający wzruszył ramionami, a następnie zapytał z goryczą:

- Czego od nas chcesz, bracie?

- To sprawa dla mężczyzn, nie dla kobiet ani nie dla takich jak on - wskazał na ostatnie Dziecko Mroku. - Niech wejdą na brzeg i ruszą w górę rzeki. Daję słowo, że nikt nie będzie ich zatrzymywał.

Kobiety nie protestowały, ale ostatnie Dziecko Mroku powiedziało tylko:

- Zaczekam na brzegu.

Wschodniemu Wiatrowi nie pozostało nic innego jak potulnie skinąć głową.

- A teraz, bracie - zwrócił się do niego Stąpający po Piasku, kiedy zostali sami - może mi powiesz, co się dzieje?

- Dopóki gwiazdy pozostają na swoich miejscach, gwiazdny wędrowiec może sądzić ludzi. Kiedy jednak gwiazdy spadają, rzeka musi napić się jego krwi, żeby zapomnieć. To zadanie dla jego ucznia, któremu pomagają ci, co akurat są w pobliżu.

Stąpający spojrział na niego z pytaniem w oczach.

- Potrafię uderzyć, ale bardzo go kocham, więc cios może się okazać za słaby - dodał Wschodni Wiatr. - Musisz mi pomóc. Chodź.

Razem przepłynęli rzekę i na drugim brzegu znaleźli drzewo o białej korze, takie samo, jakich kilkanaście we śnie Stąpającego po Piasku rosło wokół Wschodniego Wiatru. Korzenie drzewa sięgały do gorzkiej wody. Wschodni Wiatr wybrał nie grubszy od palca, odgryzł go u nasady i wręczył Stąpającemu po Piasku. Korzeń był długości męskiego ramienia, obrośnięty skorupiakami, cuchnący mułem. Wschodni Wiatr urwał jeszcze jeden, prawie taki sam, po czym obaj tak długo biczowali Ostatni Głos, aż wypłynęła z niego cała krew, a ostre krawędzie muszli rozcinały już tylko białe ciało.

- Pochodził z gór - powiedział Wschodni Wiatr. - Wszyscy gwiazdni wędrowcy muszą być stamtąd.

Stąpający opuścił zakrwawiony bicz do wody.

- I co teraz?

- Już po wszystkim. - Oczy Wschodniego Wiatru były mokre od łez. - Jego ciało nie zostało zjedzone, tylko popłynie do Oceanu. To największa z ofiar.

- A ty rządysz teraz łąkomorzem?

- Najpierw muszą mi opalić głowę, tak jak jemu.

- Dlaczego sądzisz, że pozwolę ci żyć? Przecież kazałbyś utopić nawet naszą matkę! Nie jesteś człowiekiem i zasługujesz na śmierć.

Zanim Wschodni Wiatr zdołał cokolwiek powiedzieć, Stąpający po Piasku chwycił go za włosy i odgiął mu głowę do tyłu.

- Jeśli go zabijesz, zabijesz też część siebie - usłyszał szept Starego Mędrca.

- Nie szkodzi. Właśnie na tym mi zależy.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

- Czy on też by to zrobił?

- Kazałby utopić nas wszystkich.

- Ponieważ był przekonany, że tak trzeba. Ty uczynisz to wyłącznie z nienawiści.

Myślisz, że on też zamordowałby ciebie z zimną krwią?

- Jest taki sam jak ja - odparł Stąpający, po czym jeszcze bardziej odgiął bratu głowę, tak że woda sięgnęła tamtemu do czoła i zaczęła zalewać oczy.

- Możemy się o tym przekonać - powiedział Stary Mędrzec.

Ostatni z Dzieci Mroku ponownie wszedł do wody. Jak tylko Stary Mędrzec

zorientował się, że Stąpający to widzi, powtórzył:

- Jest sposób, żeby się o tym przekonać.

- Jaki?

- Puść go - powiedziało Dziecko Mroku, po czym zwróciło się do Wschodniego

Wiatru: - Zjadaliście nas, ale wiecie, że jesteśmy ludźmi i dysponujemy magiczną mocą.

- Wiemy o tym - wydyszał Wschodni Wiatr, jak tylko złapał powietrze.

- Dzięki naszej mocy sprawiłem, że gwiazdy zaczęły spadać z nieba, lecz teraz dokonam jeszcze większej sztuki. Uczynię cię Stąpającym, Stąpającego zaś uczynię tobą.

Błyskawicznie, niczym atakujący wąż. Dziecko Mroku rzuciło się naprzód i zatopiło zęby w ramieniu Wschodniego Wiatru, którego twarz natychmiast zmieniła się w nieruchomą maskę, a oczy zapatrzyły się w rzeczy niewidzialne.

- To, co wypłynęło z moich ust, krąży teraz w jego żyłach - oznajmiło Dziecko Mroku, ocierając z warg krew Wschodniego Wiatru. - A ponieważ przemówiłem do niego i on mi uwierzył, wyobraża sobie, że jest tobą.

Stąpający po Piasku rozcierał ramię, które zdrętwiało mu podczas biczowania Ostatniego Głosu.

- Skąd jednak będziemy wiedzieć, co robi?

- Wkrótce przemówi.

- To dziecinne zabawy. Powinien umrzeć. - Stąpający pchnął brata, po czym tak długo trzymał jego głowę pod wodą, aż poczuł, że ciało Wschodniego Wiatru staje się zupełnie bezwładne. - Tak rzekłem - powiedział, prostując się, do Dziecka Mroku.

- Tak rzekłeś.

- Ale teraz nie wiem, czy jestem Stąpającym po Piasku, czy Wschodnim Wiatrem pogrążonym we śnie.

- Ja też tego nie wiem - odparł ostatni z Dzieci Mroku. - Patrz, coś dzieje się na plaży.

Mgła rzedła. Stąpający spojrział w kierunku wskazywanym przez Dziecko Mroku i tam, gdzie rzeka łączyła się z pojękującym Oceanem, zobaczył zielony twór

unoszący się na wodzie. Tuż obok, na plaży, stali trzej ludzie z kończynami owiniętymi liśćmi, przyglądali się wyrzuconemu na brzeg ciała Ostatniego Głosu i rozmawiali w nieznanym Stąpającemu języku. Zbliżył się do nich. Z uśmiechem wyciągnęli ku niemu otwarte dłonie, ale on nie wiedział, co znaczy ten gest - a raczej co znaczył kiedyś - ponieważ w jego świecie nie znano wynalazku broni. Tej nocy śniło mu się, że nie żyje, ale czas długiego snu właśnie dobiegł końca.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

V.R.T

Wcale mi się jednak nie wydaje, żebym był wami zainteresowany.

Ostrzeżliście mnie, a ja teraz ponownie wyjdę na zewnątrz,

by wsłuchać się w mroczne głosy.

Karel Čapek

Skrzynka była ciemnobrązowa, pokryta mocno zniszczoną skórą, z metalowymi okuciami. Dawno temu okucia pomalowano na brązowozielony kolor, ale teraz z lakieru pozostały tylko żalosne resztki, a w sączącym się przez okno blasku gasnącego słońca widać było wyraźnie jasne blizny po niedawnych uderzeniach dłuta, pozostawione w zaśniedziałym metalu. Niewolnik ostrożnie, prawie bezgłośnie, postawił skrzynkę obok lampy na biurku.

- Otwórz - polecił oficer.

Zamek został wylamany, skrzynka była związana mocnymi powrozami splecionymi z zarekwirowanych łachmanów. Niewolnik - mężczyzna o szczupłych ramionach, spiczastym podbródku i gęstych ciemnych włosach - dla pewności spojrzał pytająco na oficera, który ledwo dostrzegalnie skinął głową o krótko ostrzyżonych włosach. Niewolnik wyjął sztylet z pochwy przy pasie przewieszonym przez oparcie krzesła, przeciął sznury i przed schowaniem ostrza ucałował je z czcią. Zaraz potem wyszedł, oficer zaś wytarł dłonie w nogawki sięgających do kolan mundurowych spodni, otworzył skrzynkę i wysypał na blat jej zawartość.

Notatniki, puste szpule i szpule z taśmą. Raporty, formularze, listy. Uwagę oficera zwrócił szkolny zeszyt z taniego żółtawego papieru o częściowo rozdartej okładce; wyjął go ze stosu piętrzącego się na biurku. „V.R.T.” - napisała czyjaś niewprawną ręką wielkimi ozdobnymi literami; wyglądały jak skopiowane z mozolem

przez jakiegoś dzikusa.

Widziałem dzisiaj ptaki. Dziś widziałem dwa ptaki. Jeden to była dzierzba, a drugi...

Oficer rzucił zeszyt na skraj biurka. Jego wędrujące spojrzenie wyłowilo list napisany precyzyjnym, lekko pochylonym do tyłu charakterem pisma, tak mile widzianym przez Służbę Publiczną.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Szanowny Panie, załączone materiały dotyczą...

...wątpliwości.

...z Ziemi.

Oficer lekko uniósł brwi, odłożył list i ponownie wziął do ręki zeszyt. U dołu strony znajdował się rozmazany napis z ciemnych liter: Papiernia Medallion,

Lądowisko Francuzów, Sainte Anne, na odwrocie zaś:

NAZWISKO

Rm E2S14 miejsce 18

SZKOŁA

Szkoła im. Armstronga

MIASTO

Lądowisko Francuzów

Następnie obejrzał jedną ze szpul z taśmą w poszukiwaniu jakiejś etykiety, lecz nic takiego nie znalazł. Samoprzylepne etykiety walały się wśród mnóstwa innych szpargałów; wilgoć uczyniła je zupełnie bezużytecznymi, mimo że schludne napisy wciąż były doskonale widoczne:

Drugie przesłuchanie.

Piąte przesłuchanie.

Siedemnaste przesłuchanie, trzecia taśma.

Oficer przez chwilę przesuwał po nich palcami, po czym wybrał na chybił trafił jedną ze szpul i umieścił ją w odtwarzaczu.

O: Czy to już działa?

P: Tak. Proszę powiedzieć, jak się pan nazywa.

O: Już wam mówiłem. Macie to w swoich materiałach.

P: Wiele razy podawał nam pan to nazwisko.

O: Właśnie.

P: Kim pan jest?

O: Więźniem z celi 143.

P: Ach, więc jest pan filozofem. Do tej pory braliśmy pana za antropologa, choć na to też wydaje się pan za młody.

O: ...

P: Otrzymałem polecenie dokładnego zapoznania się z pańską sprawą. Chyba domyśla się pan, że mógłbym to zrobić, nie wzywając pana z celi? Dla pańskiego dobra narażam się na niebezpieczeństwo zapadnięcia na tyfus lub na dziesiątki innych chorób. Czy chce pan wrócić pod ziemię? Chwilę temu odniosłem wrażenie, że papieros sprawił panu dużą przyjemność. Czy ma pan jeszcze jakieś życzenia?

O: (z ożywieniem) Jeszcze jeden koc. Więcej papieru! Więcej papieru i coś, na czym mógłbym pisać. Najlepiej stół.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Oficer uśmiechnął się i zatrzymał taśmę. Spodobało mu się ożywienie w głosie O i teraz zastanawiał się, jaką odpowiedź otrzymał więzień na swoje żądania. Cofnął nieco taśmę, po czym ponownie włączył odtwarzanie.

P: Czy chce pan wrócić pod ziemię? Chwilę temu odniosłem wrażenie, że papieros sprawił panu dużą przyjemność. Czy ma pan jeszcze jakieś życzenia?

O: (z ożywieniem) Jeszcze jeden koc. Więcej papieru! Więcej papieru i coś, na czym mógłbym pisać. Najlepiej stół.

P: Dostał pan już mnóstwo papieru i proszę spojrzeć, jak pan go wykorzystał: na jakieś bazgroły. Czy pomyślał pan, że jeśli materiały dotyczące pańskiej sprawy zostaną kiedykolwiek przesłane do wyższej instancji, trzeba będzie wszystko transkrybować, a to oznacza wiele tygodni czyjejś ciężkiej pracy?

O: Można zrobić fotokopie.

P: Nie miałby pan nic przeciwko temu, prawda?

Oficer zmniejszył natężenie dźwięku, tak że głosy zmieniły się w ledwie słyszalny szept, i począł grzebać w stercie rupieci na biurku. Jego uwagę zwrócił niezwykle, duży notes o wymiarach mniej więcej czternaście cali na dwanaście, gruby na cal, oprawiony w solidne ciemnobrązowe płótno, które pod wpływem czasu i światła mocno zjaśniało na krawędziach. Kartki były grube, poprzecinane delikatnymi błękitnymi liniami; tekst na pierwszej stronie zaczynał się w środku zdania.

Przyjrząwszy się uważniej, oficer stwierdził, że trzy początkowe kartki zostały wycięte brzytwą lub wyjątkowo ostrym nożem. Dobył sztyletu i ostrożnie nadciął kolejną kartkę; sztylet był ostry - niewolnik dbał, by zawsze znajdował się w doskonałym stanie - lecz z twardym papierem radził sobie znacznie gorzej niż narzędzie, którego użyto wcześniej. Oficer schował broń, a następnie zagłębił się w lekturze.

...złudzenia nawet za dnia, dając pożywkę wyobraźni, tak że niekiedy się zastanawiam, ile z tego, co tu widzę, istnieje wyłącznie w moim umyśle. W związku z tym czuję się dość niepewnie, do czego przyczyniają się również zbyt długie dni i noce. Budzę się - tak samo jak wcześniej w Roncevaux - na wiele godzin przed świtem.

Na podstawie wskazań termometru można by wysnuć wniosek, że klimat jest umiarkowany, ale subiektywne wrażenie jest takie, jakbym przebywał w tropikach. Słońce, to niesamowite różowe słońce, daje mnóstwo światła, za to prawie wcale ciepła, jego promieniowanie zaś jest tak bardzo przesunięte w stronę błękitu, że niebo wydaje się niemal czarne i właśnie ta czerń kojarzy się (przynajmniej mnie) z tropikiem: ze spoconą afrykańską twarzą albo czarnozielonymi cieniami o północy w dżungli. Rośliny, zwierzęta i owady, a nawet to żalosne, zbudowane byle jak miasto, pogłębiają to wrażenie. Przychodzi mi na myśl śnieżny langur - małpa, która żyje w mroźnych himalajskich dolinach - albo włochate słonie i nosorożce, które w okresie zlodowaceń starały się przetrwać na zamrożonych obrzeżach Europy i Ameryki Północnej. Tutaj na takiej samej zasadzie bytują różnobarwne ptaki i szerokolistne

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

rośliny o czerwonych i żółtych kwiatach (jakby to była Martynika albo Tumaco); tych ostatnich najwięcej jest na wzniesieniach, gdzie mogą się uwolnić z duszącego uścisku słonych trzcin porastających łąkomorza.

Ludzie są ich sprzymierzeńcami. Nasze miasto (jak widzicie, zaledwie po kilku dniach spędzonych w jednej z tych wznoszonych naprędce i rozsypujących się niemal w oczach metropolii człowiek staje się zasiedziałym mieszkańcem; ja zostałem

zaliczony do Pierwszych Osadników, jeszcze zanim zdążyłem przełożyć swoje rzeczy do zdezelowanej komody) jest niemal całe zbudowane z pni cyprysowatych drzew rosnących na nizinach samotnie lub w niewielkich skupiskach. Dachy są z arkuszy falistego plastiku - brakuje więc tylko dobiegającego z oddali łoskotu tubylczych bębnow. (Gdybym je usłyszał, moje zadanie stałoby się znacznie łatwiejsze. Pierwsi badacze, którzy penetrowali obszary na południe stąd, donosili o sygnałach przekazywanych tą drogą przez ludność Sainte Anne. Podobno tubylcy nie posługiwali się żadnymi pałeczkami, tylko uderzali otwartymi dłońmi w puste pnie, starając się - jak niemal wszystkie ludy na niskim stopniu rozwoju - naśladować dźwięki swojej mowy. Stąd właśnie określenie „gadające bębny”).

Oficer przerzucił kciukiem kilka sztywnych stron, po czym odłożył notes i wziął do ręki plik kartek z bardzo podobnego papieru, niegdyś połączonych delikatnym metalowym spinaczem. Nadruk informował, że pochodziły z Port-Mimizon; zapisane zostały równym, schludnym urzędniczym pismem. Strony były numerowane, oficer jednak nie zadał sobie trudu, żeby odszukać pierwszą.

Teraz, kiedy znowu mam papier, zgodnie z moimi oczekiwaniami zdołałem rozszyfrować sygnały nadawane przez współwięźniów. Zapewne interesuje was, w jaki sposób tego dokonałem. Zaraz o tym opowiem - nie dlatego żebym musiał, lecz po to byście mogli podziwiać moją inteligencję. Zapewniam, jest co podziwiać, a ja bardzo tego potrzebuję.

Wsluchując się w odgłosy stukania, bez trudu rozróżniłem grupy uderzeń, z których każda, jak się należało domyślać, odpowiadała jednej literze. Przyznam, że bardzo pomogła mi świadomość, iż kod ten tworzone tak, by był jak najbardziej zrozumiały, oraz że często posługiwali się nim również niewykształceni ludzie.

Ustalenie częstotliwości, z jaką występowały poszczególne sekwencje, nie nastroczało większego trudu i oczywiście to uczyniłem, ale tego z pewnością dokonałby każdy, kto znalazłby się na moim miejscu. Jak jednak stwierdzić, które sekwencje są przyporządkowane którym literom? Tę informację ma w głowie wyłącznie twórca szyfru, ja jednak wpadłem na pomysł, na który - jak sobie pochlebiam - nie wpadłby nikt, kto jak ja trafiłby do celi bez najmniejszej nadziei na ponowne ujście światła dziennego wcześniej niż wtedy, kiedy jej kamienne ściany rozsypią się w pył: dokładnie przeanalizowałem rozmowy, w których uczestniczyłem, licząc poszczególne litery. Zawsze miałem doskonałą pamięć słuchową, jeszcze lepiej zaś zapamiętywałem własne słowa - nawet teraz bez trudu mógłbym powtórzyć rozmowy, które prowadziłem z matką, kiedy miałem cztery lata, najdziwniejsze zaś jest to, że dopiero obecnie jestem w stanie zrozumieć wszystko,

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

co do mnie mówiła; wówczas albo nie znałem kierowanych do mnie słów, albo obce mi były ukryte za nimi pojęcia i odczucia.

Wracam jednak do moich prac nad złamaniem szyfru. Mówiłem do siebie na głos, tak jak teraz, siedząc na materacu, jednak by moja podświadomość ukradkiem nie faworyzowała jakichś liter, niczego nie zapisywałem. Następnie wziąłem do ręki kartkę ze spisaniem alfabetem i powtórzyłem z pamięci wszystko, co mówiłem, stawiając kreski pod poszczególnymi literami.

Teraz mogę przyłożyć ucho do rury kanalizacyjnej, która biegnie przez moją celę, i przysłuchiwać się rozmowom.

Początkowo, ma się rozumieć, wcale nie było to łatwe. Musiałem notować, co

usłyszałem, a następnie mozolnie dokonywać tłumaczenia, przy czym zdarzało się, że w efekcie otrzymywałem tekst albo bardzo błahy, albo wręcz pozbawiony jakiegokolwiek znaczenia: SŁYSZELIŚCIE, O CZYM MÓWILI...

Nierzadko uzyskiwałem jeszcze mniej. Dziwiło mnie, dlaczego w wystukiwanych rozmowach tak często padają liczby (na przykład: DWA JEDEN DWA DO GÓR...), aż wreszcie uświadomiłem sobie, że oni - my - występują jako numery cel, dzięki czemu od razu wiadomo, gdzie kto przebywa, a to przecież najważniejsze, czego można dowiedzieć się o więźniu.

Oficer nie szukał kolejnej strony, tylko wstał, odepchnął krzesło i wyszedł z pomieszczenia przez otwarte na oścież drzwi. Na zewnątrz wiał słaby wiatr, a Sainte Anne, wisząca wysoko na niebie, zalewała świat melancholijną zielonkawą poświatą. W odległym mniej więcej o milę porcie sterczały maszty statków. W powietrzu czuć było przenikliwy słodki zapach rozkwitających w nocy kwiatów, posadzonych wokół budynku na polecenie poprzedniego komendanta. Pięćdziesiąt stóp dalej, w cieniu drzewa gorączkowego, oparty plecami o pień przykucnął niewolnik; był wystarczająco ukryty, żeby uchodzić za nieobecny wtedy, kiedy oficer go nie potrzebował, a jednocześnie znajdował się na tyle blisko, by zareagować na każde wezwanie. Wystarczyło, że oficer spojrzał na niego znacząco, a on przybiegł po wyschniętej, zalanej zielonkawym blaskiem trawie.

- Cassilla - rzucił oficer.

Niewolnik wtulił głowę w ramiona.

- Jest z majorem... Maitre, może wezwać dziewczynę z miasta?

Oficer, który był znacznie młodszy od niego, nie zdradzając śladu emocji uderzył go na odlew w policzek, niewolnik zaś osunął się na kolana i zaczął szlochać, jakby

odgrywał doskonale znaną, wielokrotnie przeciwzoną rolę. Zaraz potem oficer przewrócił go kopniakiem, po czym wrócił do niewielkiego pokoju pełniącego funkcję gabinetu. Jak tylko zniknął we wnętrzu, niewolnik podniósł się z ziemi, otrzepał wyświechtane ubranie i wrócił na posterunek pod drzewem. Cassilla mogła być wolna najwcześniej za dwie godziny.

Tu żyli kiedyś tubylcy. Opowieści o nich są zbyt rozpowszechnione, zbyt szczegółowe, zbyt dobrze udokumentowane, żeby uznać je za nadmiernie rozrośnięty element mitologii niedawno zasiedlonej planety. Naturalnie wyjaśnienia wymaga

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

brak materialnych pozostałości, lecz z pewnością istnieje jakieś wytłumaczenie tego faktu.

Ludzie wraz ze swą technologiczną cywilizacją okazali się dla tej rasy bardziej zabójczy niż dla jakiegokolwiek grupy aborygenów w historii. W ciągu niespełna stu lat po dość licznej, choć rozproszonej populacji pozostały jedynie niejasne wspomnienia, chociaż największą katastrofą, jaka się w tym czasie wydarzyła, było zniszczenie podczas wojny archiwów pierwszych francuskich ekspedycji.

Mój problem polega więc na tym, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o prymitywnej rasie, która (o ile wiadomo) pozostawiła po sobie nieco upiększonych legend, za to prawie żadnych fizycznych śladów. Z pewnością zniechęciłbym się do tego zadania, gdyby nie aż nadto oczywiste analogie do żyjących w paleolicie białych Pigmejów, których nazywano Dobrym Ludem i którzy, jak się okazało, przetrwali w Skandynawii i Irlandii niemal do końca osiemnastego wieku.

A jak długo udało się przetrwać tubylcom z Sainte Anne? Chociaż wypytywałem

każdego, kto zechciał poświęcić mi choć trochę czasu, oraz cierpliwie wysłuchiwałem wszystkich opowieści (w nadziei że w n-tej wersji tej samej historii usłyszę coś, czego nie było w poprzednich, oraz ze względu na to, że nie chciałem zrażać do siebie kogoś, kto później mógł mnie skierować do lepszego źródła, naturalnie szczególną uwagę poświęcając oryginalnym, weryfikowalnym relacjom). Wszystko mam na taśmach, chyba jednak byłoby rozsądne dokonać transkrypcji kilku najbardziej charakterystycznych i najbardziej interesujących rozmów; bądź co bądź, taśmy mogą ulec zniszczeniu. Aby uniknąć nieporozumień, wszystkie daty podaję według miejscowego kalendarza.

13 marca. Za radą pana Judsona, właściciela hotelu, oraz kierując się uzyskanymi od niego wskazówkami, zdołałem odszukać i porozmawiać z panią Mary Blount, ponadosiemdziesięcioletnią kobietą mieszkającą z wnuczką i jej mężem na farmie położonej około dwudziestu mil od Ładowiska Francuzów. Gospodarz uprzedził mnie, że umysł starej damy nie zawsze znajduje się w pełnej formie, o czym miał świadczyć fakt, że staruszka czasem utrzymuje, jakoby urodziła się na Ziemi, kiedy indziej zaś twierdzi, iż przyszła na świat na pokładzie jednego ze statków kolonizacyjnych. Rozpocząłem rozmowę właśnie od pytania o tę sprawę; odpowiedź, jaką uzyskałem, dowodzi ponad wszelką wątpliwość, iż w naszej kulturze poświęcamy stanowczo zbyt mało uwagi temu, co mają do powiedzenia starzy ludzie.

Mrs Blount: Gdzie się urodziłam? Na statku, oczywiście. Byłam pierwszym człowiekiem, który urodził się na statku, i jednocześnie ostatnim, który przyszedł na świat na starej planecie. Jak to ci się podoba, młody człowieku? Kobiety przy nadziei nie miały prawa wstępu na pokład, ale później okazało się, że sporo jednak dostało się na statek. Moja mama bardzo chciała lecieć i postanowiła nikomu nic nie mówić o

swoim stanie. Była potężnie zbudowaną kobietą, jak zapewne możesz sobie wyobrazić, ja zaś prawdopodobnie byłam bardzo malutka. Oczywiście, wszyscy przechodzili szczegółowe badania lekarskie, ale od ich zakończenia do startu, który był kilkakrotnie odkładany, minęło wiele miesięcy. Kobiety, podobnie jak mężczyźni, miały nosić specjalne jednoczęściowe stroje zwane skafandrami kosmicznymi; jak tylko mama poczuła, że jestem w drodze, zażyczyła sobie

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

wyjątkowo obszerny, do licha z modą. Dlatego nikt nie wiedział. Kiedy wchodziła na pokład, miała już pierwsze skurcze, ale lekarz okrętowy był swój chłop i nikomu nic nie powiedział. Zaraz potem urodziła mnie i ułożyła do snu, a kiedy się wszyscy obudziliśmy, było dwadzieścia jeden lat później. Nasz statek miał numer 986, więc był jednym z pierwszych. Podobno wcześniej nadawano im nazwy, co chyba było sympatyczniejsze.

Owszem, kiedy tu dotarliśmy, zastaliśmy jeszcze kilkoro Francuzów. Prawie wszyscy, z wyjątkiem najmłodszych dzieci, stracili ręce albo nogi i potwornie się bali. Wiedzieli, że przegrali, a my wiedzieliśmy, że wygraliśmy, więc nasi mężczyźni po prostu brali, co chcieli - ziemię, zabudowania i dobytek. Tak mi później opowiadała mama, bo ja byłam wtedy całkiem mała i nic nie rozumiałam.

Dorastałam razem z malutkimi francuskimi dziewczynkami, które były jeszcze za młode, żeby walczyć; ależ to były ślicznotki! Pozabierały nam większość przystojnych chłopców i wszystkich bogatych. Szłyśmy na zabawę w najładniejszych sukienkach, ale wystarczyło, żeby zjawiała się któraś z nich, w okropnych łachmanach, tylko z wstążką albo kwiatem we włosach, a i tak chłopcy gapili się

tylko na nią.

Tubylcy? Jacy tubylcy?

Ach, ci! Nazywaliśmy ich aborygenami albo dzikusami. To nie byli prawdziwi ludzie, tylko zwierzęta, które się do nich upodobiły.

Oczywiście, że ich widywałam. Kiedy byłam mała, bawiłam się nawet z ich młodymi. Mamie się to nie podobało, lecz wymykałam się z domu, szłam na skraj pastwiska, a one przychodziły tam, żeby się ze mną bawić. Mama powtarzała, że któregoś dnia mnie zjedzą (*śmiech*), ale ani razu nie spróbowały. Za to jak kradły! Były wiecznie głodne, więc wszystko, co nadawało się do jedzenia, dosłownie kleiło im się do rąk. Często zakradały się do wędzarni i którejs nocy tata zastrzelił troje między wędzarnią a stodołą. Z jednym z nich czasem się bawiłam, więc bardzo płakałam. Cóż, takie są dzieci.

Nie, nie wiem, gdzie je zakopał ani nawet, czy to zrobił. Przypuszczam, że po prostu gdzieś je wyrzucił, tak jak to się robi z dzikimi zwierzętami.

Oficer odłożył notes, bo równy mu stopniem kolega wszedł do pokoju. W tej samej chwili nagły podmuch wiatru przewrócił kilka stron.

- Dlaczego nie może tak wiać w dzień, kiedy naprawdę tego potrzebujemy? - westchnął przybysz.

Oficer za biurkiem wzruszył ramionami.

- Tak późno, a ty jeszcze nie śpisz.

- Właśnie idę do łóżka. W przeciwieństwie do ciebie.

- Przecież widzisz, co tu mam - powiedział oficer z kwaśnym uśmiechem, wskazując biurko pokryte papierami i szpulami z taśmą.

Jego kolega trącił je palcem.

- *Sprawa polityczna?*

- *Kryminalna.*

- *Powiedz im, żeby odkurzyli garotę, a sam trochę się prześpij.*

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

- *Najpierw muszę ustalić, o co w tym wszystkim chodzi. Przecież znasz komendanta.*

- *Jutro będziesz do niczego.*

- *Mogę dłużej pospać. Mam wolny dzień.*

- *Cóż, zawsze byłeś sową.*

Przybysz ziewnął rozdzierająco i wyszedł. Zapracowany oficer nalał sobie do szklanki wina o temperaturze identycznej jak ta, która panowała w pokoju, po czym wrócił do lektury w miejscu, w którym wiatr otworzył kartki notesu.

...mam pojęcia. Może piętnaście lat temu, może mniej albo więcej. Nasze lata są znacznie dłuższe, wiedział pan o tym?

Ja: Tak, nie musi mi pan tego wyjaśniać.

Mr D. : No więc, ci Francuzi opowiadali o nich mnóstwo historii, ale ja tam nie wierzyłem. Jakie to były historie? Same bzdury. Francuzi to okropnie głupi naród.

(koniec rozmowy)

Powiedziano mi, że jednym z ostatnich niedobitków francuskich osadników był niejaki Robert Culot, zmarły przed mniej więcej czterdziestu laty. Wypytyując o niego dowiedziałem się, iż jego wnuk (także Robert Culot) niekiedy wspomina opowieści, jakie jego dziadek snuł o początkach kolonizacji Sainte Anne. Robert Culot młodszy jest mężczyzną w wieku około pięćdziesięciu pięciu ziemskich lat i prowadzi

najlepszy w Ładowisku Francuzów sklep odzieżowy.

M. Culot: Owszem, doktorze Marsch. Stary często opowiadał o tych, których nazywa pan tubylcami. Znał mnóstwo najróżniejszych historii.

To prawda, uważał, że należeli do kilku rozmaitych gatunków. Ludzie, powiadał, myślą inaczej, ale ludzie wiedzieli mniej od niego. Powtarzał, że ślepemu wszystkie koty wydają się czarne. Mówi pan po francusku, doktorze? Nie? Wielka szkoda.

Ja: Monsieur Culot, czy jest pan w stanie określić w przybliżeniu, kiedy pański dziadek po raz ostatni widział żywego tubylca?

M.C. : Kilka lat przed śmiercią. Niech pomyślę... Tak, chyba jakieś trzy lata przed śmiercią. Rok później przestał wstawać z łóżka, a po następnych dwóch latach umarł.

Ja: A więc będzie to jakieś czterdzieści trzy lata temu, prawda?

M.C. : Nie wierzy pan staremu, prawda? To okrutne! Myśli pan sobie, że nie można ufać Francuzom.

Ja: Wręcz przeciwnie. Jestem zaintrygowany.

M.C. : Pewnego razu dziadek uczestniczył w pogrzebie przyjaciela. Ceremonia podziałała na niego bardzo przygnębiająco, więc wybrał się na spacer. Musi pan wiedzieć, że kiedy był nieco młodszy, chętnie i dużo chodził. Przestał dopiero na krótko przed chorobą, która w końcu go zabrała. Jednak tego dnia wybrał się na przechadzkę, żeby ulżyć sercu. Byłem przy tym, jak wrócił, ponieważ grałem w warcaby z jego synem, moim ojcem.

Jak wyglądał jego „indigene”? Ach! (*śmiech*) Miałem nadzieję, że pan o to nie zapyta. Mój ojciec też się roześmiał, a dziadka bardzo to rozzłościło, więc żeby się

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

zrewanżować, zaczął mówić po angielsku, a mówił bardzo słabo, i powiedział, że mój ojciec całymi dniami siedzi w jednym miejscu, więc niewiele widzi. Ojciec stracił obie nogi na wojnie. Mam szczęście, że nie stracił nic więcej, prawda?

Zadałem dziadkowi to samo pytanie co pan przed chwilą. Powtórzę panu dokładnie, co mi odpowiedział, choć pewnie straci pan wszelkie zaufanie do jego słów.

Ja: A może tylko drażnił się z panem albo pańskim ojcem?

M.C. : Był uczciwym do szpiku kości starym człowiekiem i nikomu nie opowiadałby kłamstw, ale potrafił mówić prawdę w taki sposób, że wyglądało to tak, jakby sobie kpił. Zapytałem go, jak wyglądała ta istota, a on odpowiedział, że chwilami przypominała człowieka, a chwilami płot.

Ja: Płot?!

M.C. : Albo martwe drzewo. Coś w tym rodzaju. Niech no się skupię...

Powiedział chyba: „Czasem jak człowiek, czasem jak stare drewno”... Nie, nie mam pojęcia, co miał na myśli.

Monsieur Culot skierował mnie do tych członków francuskiej społeczności skupionej wokół Ładowiska Francuzów, którzy, jego zdaniem, byliby chętni służyć mi pomocą. Wspomniał również nazwisko niejakiego doktora Hagsmitha, miejscowego lekarza, który podobno gromadził wszelkie przekazy dotyczące pierwotnych mieszkańców Sainte Anne. Jeszcze tego samego wieczoru udało mi się spotkać z doktorem Hagsmithem, uważającym się za folklorystę amatora.

Dr Hagsmith: Pan i ja stoimy na przeciwnych biegunach. Oczywiście nie zamierzam dyskredytować pańskiej działalności, ale ja robię coś zupełnie innego.

Pan szuka faktów i obawiam się, że znajdzie niewiele, ja natomiast pożądam zmyśleń

i moje zbiory szybko rosną. Rozumie pan?

Ja: Chce pan powiedzieć, że w pańskiej kolekcji znajduje się wiele informacji o tubylcach?

Dr H. : Tysiące, szanowny panie. Dwadzieścia lat temu zjawiłem się tu jako młody lekarz. Wówczas byliśmy pewni, że ta osada stanie się wielkim miastem. Proszę mnie nie pytać, skąd brało się to przekonanie. Wszystko zaplanowaliśmy: muzea, parki, stadion. Wydawało nam się, że mamy wszystko, czego nam trzeba, i tak było w istocie, z wyjątkiem dwóch rzeczy: ludzi i pieniędzy. Nic się nie zmieniło.
(śmiech)

W trakcie mojej lekarskiej praktyki zacząłem spisywać te historie, doszedłem bowiem do wniosku, że wyraźnie działają na psychikę, a zaś w istotny sposób wpływa na stan zdrowia ludzi.

Ja: Ale sam nigdy nie widział pan aborygena?

Dr H. : (śmiech) Nie, lecz mimo to z pewnością jestem największym żyjącym specjalistą od tubylców. Mogę panu udzielić wyczerpującej odpowiedzi na każde pytanie.

Ja: Doskonale. Czy tubylcy jeszcze istnieją?

Dr H. : Tak samo jak kiedykolwiek, (śmiech)

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Ja: W takim razie gdzie mieszkają?

Dr H. : Chodzi panu o miejsce? Ci znikąd, których jest większość, wiodą żywot koczowniczy, ci natomiast, których przyciągnęły farmy, zazwyczaj osiedlają się w ustronnych zakątkach, ale niekiedy pojawiają się również w zabudowaniach

gospodarczych albo nawet w domach.

Ja: Chyba łatwo ich wtedy zauważyć?

Dr H. : To przynosi pecha. Zazwyczaj kiedy ktoś patrzy, upodabniają się do różnych pospolitych sprzętów albo całkiem zwyczajnych rzeczy, na przykład snopków siana.

Ja: Ludzie naprawdę w to wierzą?

Dr H. : A pan nie? Co by ze sobą zrobili, gdyby tego nie umieli? (*śmiech*)

Ja: Wspomniał pan, że większość tubylców jest „znikąd” ...

Dr H. : Żyją na pustyni i w górach. To nasze miejscowe określenie.

Ja: A jak wyglądają?

Dr H. : Jak ludzie, tyle że mają skórę koloru kamieni i gęste zmierzwiöne czupryny - z wyjątkiem zupełnie łysych, ma się rozumieć. Niektórzy są wyżsi od pana i ode mnie, i bardzo silni, inni nawet nie dorównują wzrostem kilkuletnim dzieciom. Tylko proszę mnie nie pytać, jaki wzrost mają ich dzieci.

Ja: Załóżmy przez chwilę, że tubylcy rzeczywiście istnieją; dokąd by mnie pan skierował, gdybym zapragnął ich odszukać?

Dr H. : Przede wszystkim do portu, (*śmiech*) Albo do ich świętych miejsc. Oho!

Widzę, że pana zainteresowałem. Nie wiedział pan o świętych miejscach, prawda?

Tubylcy mają ich wiele, a do tego znakomicie zorganizowany i skomplikowany system wierzeń. Na początku mojego pobytu wiele słyszałem o jakimś głównym kapłanie albo naczelnym wodzu, jeśli pan woli. Na pewno był to ktoś ważniejszy od zwyczajnego szamana. Właśnie zbudowano linię kolejową, ale zwierzęta nie zdołały jeszcze do niej przywyknąć i mnóstwo ginęło pod kołami pociągów. Nocami widywano tego osobnika, jak wędruje wzdłuż torów i przywraca je do życia.

Nazywano go Dróżnikiem. Pewnego razu pociąg odciął rękę żonie poganiacza była - przypuszczam, że upiła się i zasnęła na torach. Poganiacz natychmiast przywiózł ją do lecznicy, gdzie wzięliśmy nową rękę z banku narządów i przyszyliśmy, ale w tym samym czasie Dróżnik znalazł obciętą rękę i wyhodował z niej nową kobietę, tak że poganiacz miał już nie jedną, lecz dwie żony. Naturalnie ta wyhodowana przez Dróżnika była aborygenką, z wyjątkiem jednej ręki, więc kiedy coś kradła, co było ulubionym zajęciem tubylców, ludzka ręka natychmiast odkładała to na miejsce. W końcu biednemu poganiaczowi dobrali się do skóry dominikanie i kazali mu się zdecydować na którąś z żon; odprawił tę nową, ponieważ miała tylko jedną ludzką rękę i w związku z tym nie mogła porządnie rąbać drewna.

Dziwi się pan? To proste: ponieważ aborygeni nie są ludźmi, nie potrafią posługiwać się narzędziami. Owszem, mogą je przenosić z miejsca na miejsce, ale niczego za ich pomocą nie dokonają. To tylko zwierzęta - owszem, magiczne, ale jednak zwierzęta. (*śmiech*) Jak na antropologa, ma pan diabelnie mało wiadomości o przedmiocie swoich badań! Francuzi przy Krwawym Brodzie wymyślili nawet specjalną próbę; każdemu, kto tamtędy przechodził, dawali szpadel i kazali...

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Na obłupany parapet okna wskoczył ogromny czarny kocur o jednym oku i podwójnym garniturze pazurów - cementarny kot z Vienne. Oficer wrzasnął na niego, ale zwierzę nie zareagowało, więc zaczął pomału przesuwać dłoń w kierunku kabury z pistoletem. Jednak jak tylko jego palce zetknęły się z bronią, kot parsknął przeraźliwie, zeskoczył i uciekł.

M. d'F. : Święte miejsca, monsieur? Owszem, mieli ich mnóstwo, a przynajmniej

tak się mówiło. Na przykład czcili wszystkie drzewa rosnące samotnie w górach, szczególnie takie, w których pobliżu, jak to często bywa, zgromadziła się woda.

Wyjątkowo święte miejsce było niedaleko stąd, tam gdzie Tempus wpada do morza.

Ja: A inne?

M. d'F. : Jaskinia daleko w górze rzeki, w ścianie wąwozu. Wątpię, żeby ktokolwiek tam dotarł. A bliżej ujścia - krąg ogromnych drzew. Większość wycięto, ale pnie pozostały. Trenchard, żebrak, który podaje się za jednego z nich, za parę sou pokaże panu to miejsce albo każe to zrobić swojemu synowi.

Nie słyszał pan o nim? Tak, w okolicy portu. Wszyscy go tam znają. To oczywiście oszust, jak pan się domyśla. Ręce powykręcał mu artretyzm, więc nie może pracować. Twierdzi, że jest aborygenem, i zachowuje się jak wariat, ale ludzie chętnie dają mu drobniaki, bo to podobno przynosi szczęście.

Nie, to człowiek tak samo jak pan i ja. Ożenił się z jakąś nieszczęsną ułomną kobietą, która prawie nie pokazuje się ludziom na oczy, i ma z nią piętnastoletniego syna.

Oficer odwrócił kilkanaście kartek, po czym wrócił do lektury w miejscu, gdzie zmiana sposobu pisania świadczyła o pojawieniu się nowych treści.

Sztucer (kal. 35) do obrony przed drapieżnikami.

Dla mnie. 200 szt. amun.

Strzelba (kal. 225) do polowania. Dla chłopca.

500 szt. amun.

Dubeltówka (kal. 20) na drobną zwierzynę i ptactwo.

Pojedzie na mule. 160 szt. amun.

Skrzynka (200 pudełek) zapalek

40 funtów mąki

Drożdże

2 funty herbaty (miejscowej)

10 funtów cukru

10 funtów soli

Sprzęt kuchenny

Witaminy

Apteczka

Namiot, brezent na łaty, zapasowe linki i śledzie

2 śpiwory

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Dodatkowy brezent do położenia na ziemi

Zapasowe buty (dla mnie)

Zapasowe ubrania, przybory do golenia itp.

Skrzynka z książkami (część przywieziona z Ziemi,

większość kupiona w Roncevaux)

Magnetofon, trzy aparaty fotograficzne, filmy, notes

Pióra

Tylko dwie manierki, ale przecież będziemy szli

wzdłuż rzeki

Nic więcej nie przychodzi mi do głowy. Z pewnością będzie nam brakowało

mnóstwa rzeczy i do następnej wyprawy przygotuję się znacznie lepiej, ale przecież

kiedyś musi być ten pierwszy raz. Podczas studiów na Uniwersytecie Columbia

czytywałem relacje z wiktoriańskich ekspedycji z udziałem setek tragarzy i kopaczy, i marzyłem o tym, by kiedyś stanąć na czele takiej wyprawy. Bardzo proszę: oto spędzam ostatnią noc pod dachem, jutro zaś wyruszamy w drogę: trzy muły, chłopiec (w łachmanach) i ja (w granatowych spodniach i sportowej koszuli od Culota). Przynajmniej nie muszę obawiać się buntu podwładnych - chyba że kopnie mnie muł albo chłopiec poderżnie mi gardło, kiedy będę spał.

6 kwietnia. Pierwszy nocleg. Siedzę przy niewielkim ognisku, na którym chłopiec gotuje kolację. Okazał się wyśmienitym kucharzem (co za wspaniałe odkrycie!), choć nadzwyczaj oszczędnie korzysta z drewna. Wiem z lektur, że jest to cecha wszystkich ludzi żyjących na łonie natury. Chyba nawet bym go polubił, gdyby nie chytry błysk pojawiający się od czasu do czasu w jego wielkich oczach. Chłopiec już śpi, ja jednak przed pójściem na spoczynek zamierzam zanotować wszystkie wydarzenia pierwszego dnia wędrówki i popatrzeć na obce gwiazdy. Mówił mi, jak nazywają się gwiazdozbiory, tak że teraz lepiej znam nocne niebo nad Sainte Anne, niż kiedykolwiek znałem ziemskie. Chłopiec twierdzi, jakoby znał wszystkie oryginalne tubylcze nazwy, i choć mogą to być konfabulacje jego ojca, wymienię je tutaj, by później można było je zweryfikować. Otóż są to: Tysiąc Macek i Ryba (mgławica, która zdaje się połykać samotną, silnie świecąca gwiazdę), Kobieta o Płonących Włosach, Waleczny Jaszczur (Soi jest jedną z gwiazd tworzących jego ogon). Dzieci Mroku. W tej chwili nie mogę odnaleźć Dzieci Mroku, ale jestem pewien, że chłopiec wskazywał mi dwie pary jasno świecących oczu. Naturalnie są jeszcze inne, ale już zdążyłem zapomnieć ich nazwy. Chyba powinienem zacząć nagrywać moje rozmowy z chłopcem.

Zacznijmy jednak od początku. Wyruszyliśmy z samego rana, zaraz po tym, jak chłopiec pomógł mi objuczyć muły, a raczej jak ja pomogłem jemu. Doskonale daje sobie radę ze sznurami i potrafi wiązać duże, skomplikowane węzły, które zdają się same rozplątywać wtedy, kiedy on sobie tego zażyczy. Ku memu zdziwieniu, jego ojciec przyszedł nas pożegnać; uraczył mnie długą przemową mającą na celu

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

odebranie mi jeszcze choć odrobiny pieniędzy, które stanowiłyby rekompensatę za pozbawienie go towarzystwa syna. W końcu dałem mu trochę drobnych, tak na szczęście.

Muły radziły sobie dzielnie i, przynajmniej na razie, sprawiają wrażenie silnych, wytrzymałych, a do tego nieszczególnie złośliwych. Są większe od koni i znacznie od nich silniejsze, z pyskami długości męskiego ramienia oraz wielkimi żółtymi zębiskami, które błyskają spod grubych warg, kiedy zwierzaki skubią rosnące przy drodze ciernie. Dwa są siwe, jeden kary. Chłopiec spętał je, jak tylko zatrzymaliśmy się na postój; słyszę teraz, jak wędrują dokoła obozowiska, a od czasu do czasu widzę też parę buchającą im z pysków, która wisi w zimnym powietrzu niczym wyblakły duch.

7 kwietnia. Wczoraj wydawało mi się, że już na dobre rozpoczęliśmy wędrówkę, dziś jednak widzę, iż był to zaledwie spacer po zasiedlonych (przynajmniej częściowo) terenach rolniczych w bezpośrednim sąsiedztwie Ładowiska Francuzów; gdybym wspiał się na jedno z niewysokich okolicznych wzgórz, na pewno ujrzalbym światła domostw. Rankiem minęliśmy nawet niewielką osadę nazwaną przez chłopca

Żabie Doły; wątpię, czy ta nazwa spodobałaby się mieszkańcom. Zapytałem go, czy mu nie wstyd, bo przecież w jego żyłach także płynie francuska krew, on zaś odpowiedział całkiem poważnie, że nie, bo jest potomkiem Wolnych Ludzi (tak mówi o tubylcach) i tylko wobec nich jest lojalny. Mówiąc krótko, wierzy bez zastrzeżeń ojcu, co czyni go jedyną taką osobą na świecie. Mimo to nie sposób odmówić mu inteligencji; cóż, tak wielka bywa niekiedy siła oddziaływania rodziców.

Zaraz za Żabimi Dołami droga po prostu znikła. Dotarliśmy do granicy „nigdzie”, co bezbłędnie wyczuły nasze zwierzęta, stając się mniej uparte, za to bardziej płochliwe, czyli straciły nieco cech ludzkich, zyskały zaś zwierzęcych. Powinienem chyba wyjaśnić, że wędrujemy na północny zachód, bynajmniej nie najkrótszą drogą prowadzącą do rzeki, ponieważ chcemy ominąć większą część łąkomorza (na widok rąk starego żebraka zyskałem przeświadczenie, że nie mam czego tam szukać!), przekraczając jednocześnie jak najwięcej wpadających do rzeki strumieni, z których możemy czerpać pitną wodę. Jest to o tyle ważne, że Tempus dopiero w znacznej odległości od ujścia staje się na tyle czysta, żeby można było zaspokoić w niej pragnienie.

Powinienem był wczoraj wspomnieć (ale zapomniałem), iż podczas rozbijania namiotu okazało się, że nie zabraliśmy siekiery ani żadnego innego narzędzia, którym można by wbić śledzie w ziemię. Zbeształem chłopca, on jednak tylko się roześmiał i szybko rozwiązał sprawę za pomocą kamienia. Przynosi mnóstwo suchego drewna na opał i z zadziwiającą łatwością łamie patyki i gałęzie na kolanie. Najpierw buduje z nich coś w rodzaju małego domku, który następnie wypełnia suchą trawą i liśćmi, przy czym zajmuje mu to mniej czasu, niż potrzebowałem na napisanie tych słów.

Zawsze (to znaczy wczoraj i dzisiaj) prosi mnie, żebym rozpalił ogień; widocznie

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

uważa, iż tę ważną czynność może wykonywać tylko dowódca ekspedycji.

Przypuszczam, że w obozowym ognisku jest coś świętego, jeżeli boskie dzieło sięga tak daleko od Soi; jednak chyba po to, żebyśmy nie pogrążyli się bez reszty w świętej tajemnicy dymu, chłopiec utrzymuje ogień w stanie szczątkowym, tak że nie mogę wyjść z podziwu, jak udaje mu się na nim cokolwiek ugotować. Za każdym razem, kiedy oparzy sobie palce (a zdarza mu się bardzo często), po dziecinnemu wkłada je sobie do ust i skacze dokoła ogniska, mamrocząc coś niezrozumiale.

8 kwietnia. Nie znam nikogo, kto by strzelał mniej celnie niż on. Jak na razie to jedyna rzecz, której nie robi dobrze. Przez trzy dni nosił strzelbę, ale po kilku próbach użycia broni postanowiłem mu ją odebrać, ponieważ kierował ją mniej więcej we właściwą stronę, zaciskał powieki i pociągał spust. Jestem przekonany, iż w głębi serca (jeśli w ogóle ma coś takiego) uważa, że zwierzynę zabija hałas.

Wszystkie nasze dotychczasowe zdobycze upolowałem sam, albo wyrwawszy mu strzelbę z rąk i oddawszy drugi strzał, już do ruchomego celu, albo posługując się sztucerem, co jednak wiąże się z marnotrawstwem ciężkiej amunicji oraz utratą znacznej części mięsa rozszarpanego wielkokalibrowym pociskiem.

Z drugiej strony chłopiec (nie mam pojęcia, dlaczego tak go nazywam, chyba dlatego że tak mówił o nim ojciec; bo przecież jest już niemal mężczyzną, w dodatku zaledwie osiem albo dziewięć lat młodszym ode mnie - przynajmniej fizjologicznie) doskonale radzi sobie z tropieniem ranionej zwierzyny. Jest w tym znacznie lepszy

od najlepiej wyszkolonego psa - to chyba o czymś świadczy - i wielokrotnie zapuszczał się na te tereny, choć nigdy nie dotarł tam, gdzie znajduje się (mam nadzieję, że nie mityczna) święta jaskinia, której szukamy. Wygląda na to, że wspólnie z matką spędza sporo czasu na łonie natury; odniosłem wrażenie, iż nie spodobało jej się życie, jakie zaproponował im w Ładowisku Francuzów ojciec chłopaka, i wcale jej się nie dziwię. Tak czy inaczej, dzięki moim umiejętnościom strzeleckim i tropicielskim zdolnościom chłopca z pewnością nie zabraknie nam pożywienia.

Co jeszcze wydarzyło się dzisiaj? Ach tak: kot. Szedł za nami co najmniej od czasu, kiedy minęliśmy Żabie Doły. Zauważyłem go dziś około południa i w pierwszej chwili (nieregularne plamy słonecznego blasku rozsiane rzadko wśród ciemnozielonych cieni, to wszystko zaś na tle niemal czarnego nieba; taka sceneria jest w stanie wywołać niejedno złudzenie) wziąłem za tygrysa oponiastego.

Poderwałem sztucer do ramienia i strzeliłem, kula poszła za wysoko, a chwilę potem wszystko wróciło do właściwych proporcji: wybujałe drzewa okazały się zaledwie krzakami, odległość zaś, którą początkowo oszacowałem na co najmniej dwieście pięćdziesiąt jardów, zmalała do zaledwie stu, w związku z czym mój „tygrys oponiasty” przeistoczył się w zwykłego domowego kota, bez wątpienia ziemskiego pochodzenia, zapewne mieszkańca którejś z okolicznych farm. Wciąż podąża naszym śladem, trzymając się w odległości około ćwierć mili. Dziś po południu strzeliłem do niego dwa razy z odległości dwustu, trzystu jardów, co tak bardzo wystraszyło chłopca, że czym prędzej pożałowałem swych kotobójczych zapędów i powiedziałem

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

mu, że jeśli zdoła obłaskawić zwierzę, będzie mógł je sobie zatrzymać. Kota przypuszczalnie zwabiły resztki po naszych posiłkach. Jutro będzie ich jeszcze więcej, ponieważ zastrzeliłem jelenia rosiarza.

10 kwietnia. Dwa dni nieprzerwanej wędrówki, podczas których widzieliśmy sporo dzikiej zwierzyny, lecz ani śladu tubylców. Przeprawiliśmy się przez trzy niewielkie strumienie; według chłopca nazywają się Żółty Wąż, Biegnąca Dziewczyna i Koniec Dni, według mojej mapy natomiast: Struga Pięćdziesięciu Mil, Rzeka Johnsona oraz Rougette. Żaden nie sprawił nam poważniejszych problemów. Pierwsze dwa pokonaliśmy w bród, nie zbaczając ze szlaku, Rougette przekroczyliśmy kilkaset jardów w górze rzeki - zabarwiła moje buty oraz nogi chłopca i mułów. Jutro spodziewam się ujrzeć Tempus (chłopiec mówi na nią po prostu „Rzeka”), on zaś mnie zapewnia, iż święta grotta tubylców jest bardzo daleko stąd, ponieważ na tym odcinku brzegi są niskie, podmokłe i z pewnością nie ma w nich żadnych jaskiń.

Z dużym opóźnieniem uświadomiłem sobie, że jeśli chłopiec - tak jak twierdzi - znaczną część życia spędził w dziczy, to pomimo szkodliwego wpływu ojca oraz zasianego przez tamtego przekonania, że jest półkrwi aborygenem, może stanowić doskonałe źródło informacji. Co prawda zarejestrowałem naszą rozmowę na taśmie, postanowiłem jednak ją stranskrybować, tak jak zamierzam od tej pory czynić ze wszystkimi bardziej interesującymi materiałami.

Ja: Wspominałeś, że ty i twoja matka, szczególnie wiosną i latem, czasem nawet przez kilka miesięcy mieszkaliście „tam gdzie zaczyna się nigdzie”. Według uzyskanych przeze mnie informacji, pięćdziesiąt albo i więcej lat temu na

odosobnionych farmach tubylcze dzieci często bawiły się z ludzkimi. Czy tobie również zdarzyło się coś takiego? Widziałeś tam kogoś oprócz was dwojga? My, chociaż minęły już cztery dni, nie spotkaliśmy nikogo.

V.R.T. : Prawie codziennie widywaliśmy wielu ludzi, mnóstwo ptaków i zwierząt, a nawet żywe drzewa, ale cztery dni to za mało, żeby dotrzeć tam, gdzie zaczyna się nigdzie, gdzie drzewa wyruszały na wędrówkę, bogowie o małych i wielkich głowach z wodnymi kwiatami we włosach pływali na pniach z nurtem rzeki, gdzie mieszkali ludzie-łosie o ludzkich głowach, włosach, brodach, ramionach i korpusach, za to z nogami łosi, tak że muszą się łączyć z kobietami-krowami, raz jako ludzie, a raz jak zwierzęta, i przez całą wiosnę walczyli ze sobą na zboczach wzniesień, a kiedy czarne brzytwodzioby wracały do gniazd, byli już pogodzeni i oddalali się przyjaźnie objęci, i kradli jaja z dziupli albo rzucali we mnie kamieniami; wieczorami, ma się rozumieć, przybywały Dzieci Mroku, żeby nas okraść, niesione na grzbiecie spienionej wody w górskich potokach - wtedy matka nie wypuszczała mnie spod zasłony włosów, bo byłem jeszcze bardzo mały, ale kiedy podrosłem, wymykałem się, krzyczałem na nich, a oni uciekali! - bo wierzą, zawsze wierzyli, że uda im się zakraść i zaatakować, kłusując zębami jadowymi, ale jeżeli zdązysz się

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

odwrócić i krzyknąć, to nigdy tego nie zrobią, a w dodatku nigdy nie ma ich tak wielu, jak im się wydaje, ponieważ niektórzy istnieją tylko w myślach innych, więc kiedy dochodzi do walki, stapiają się ze sobą i zostaje ich zaledwie kilku, a czasem nawet jeden.

Ja: W takim razie dlaczego do tej pory nic takiego nie widzieliśmy?

V.R.T. : Ja widziałem.

Ja: Co? Chodzi mi tylko o czas, który spędziliśmy razem.

V.R.T. : Ptaki, zwierzęta, żywe drzewa i Dzieci Mroku.

Ja: Masz na myśli gwiazdy. Jeśli zobaczysz coś niezwykłego, powiesz mi o tym, prawda?

(*V.R.T.*: *kiwa głową*)

Ja: Niezwykły z ciebie chłopiec. Czy chodzisz do szkoły, kiedy mieszkasz z ojcem w Ładowisku Francuzów?

V.R.T. : Czasami.

Ja: Jesteś już prawie mężczyzną. Zastanawiałeś się, co będziesz robił za parę lat?

(*V.R.T.*: *szlocha*)

Na ostatnie pytanie nie otrzymałem odpowiedzi; chłopiec zalał się łzami, co tak mnie zawstydziło, że objąłem go na chwilę, po czym zostawiłem szlochającego przy ognisku, sam zaś przez dobre pół godziny włączyłem się dokoła, depcząc po wielkich fosforyzujących dżdżownicach koloru ust nieboszczyka, które nocą wypełzają na powierzchnię. Trudno sobie wyobrazić głupsze pytanie. Jakie perspektywy może mieć przed sobą niedouczony syn żebraka? Co prawda z czytaniem radzi sobie całkiem nieźle – pożyczył ode mnie kilka książek z dziedziny antropologii, a kiedy później zapytałem, co sądzi o tej lekturze, uzyskałem odpowiedź na poziomie przeciętnego studenta uniwersytetu - ale sądząc po tym, co widziałem w jego starym zeszytcie (jednym z niewielu przedmiotów, które ze sobą zabrał), pisanie sprawia mu ogromne problemy.

11 kwietnia. Dzień pełen wydarzeń. Zobaczymy, czy uda mi się uwolnić od

nawyku skakania w przód i w tył i zdać relację w porządku chronologicznym. Kiedy wczoraj wieczorem wróciłem do obozowiska (widzę, że przerwałem zapiski w chwili, gdy błąkałem się po krzakach), chłopiec już spał w swoim śpiworze.

Dołożyłem do ognia, odsłuchałem taśmę, zapisałem treść naszej rozmowy, po czym także udałem się na spoczynek. Mniej więcej godzinę przed świtem obudził nas hałas czyniony przez muły; zerwaliśmy się z posłań i popędziliśmy sprawdzić, co się dzieje - ja z latarką i sztucerem, chłopiec z dwiema płonącymi głowniami z ogniska. Co prawda nic nie zobaczyliśmy, poczuliśmy natomiast smród jakby gnijącego mięsa, a do naszych uszu dotarły odgłosy poruszeń jakiegoś dużego zwierzęcia. Z pewnością nie był to żaden z naszych mułów. Kiedy wreszcie udało nam się je odnaleźć, wszystkie były mokre od potu, jeden zaś zerwał pęta; na szczęście nie odszedł daleko, a jak tylko zaczęło się rozwidniać, chłopiec zdołał go schwytać, choć zajęło

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

mu to ponad pół godziny. Dwa pozostałe sprawiały wrażenie bardzo zadowolonych z tego, że zjawiliśmy się, żeby roztoczyć nad nimi opiekę należną wszystkim udomowionym stworzeniom.

Zanim przeszukaliśmy najbliższą okolicę, aby upewnić się, że ani nam, ani naszym zwierzętom nie zagraża żadne niebezpieczeństwo, zrobiło się późno - a raczej wcześniej - i o dalszym śnie nie mogło już być mowy. Zwinęliśmy namiot, objuczyliśmy muły, a następnie (uparłem się, że musimy to uczynić) przez godzinę cofaliśmy się drogą przebytą minionego dnia, szukając śladów jakiegoś dużego drapieżnika. Zobaczyliśmy jednak tylko znajomego kota (ponieważ już do niego nie strzelałem, znacznie się ośmielił) oraz tropy zwierzęcia, które chłopiec nazywa

płomienistym lisem, a zapewne jest to fenek Hutchessona, stworzenie podobne do lisa lub do kojota, obdarzone ogromnymi uszami, chętnie żywiące się ptakami i padliną (tak przynajmniej sędzę na podstawie opisu w „Przewodniku po faunie Sainte Anne”).

Później dziarsko ruszyliśmy naprzód, a mniej więcej na godzinę przed południem ustrzeliłem najciekawszy jak do tej pory okaz: potężne stworzenie, nie opisane w „Przewodniku”, nieco podobne do azjatyckiego bawołu z Ziemi. Padł od jednego strzału ze sztucera prosto w mózg, a kiedy zmierzyłem odległość, okazało się, że dzieliło nas równe trzysta jardów!

Rzecz jasna byłem dumny jak diabli ze swego wyczynu. Pocisk trafił w czaszkę tuż za lewym uchem, ale kość była tak gruba, że nie przebił jej do końca, więc najprawdopodobniej zwierzę żyło jeszcze, kiedy do niego szedłem. Z oczu wypłynęła znaczna ilość bezbarwnego płynu, który pozostawił wyraźne ślady po obu stronach pyska. Przyjrząwszy się ranie, uniosłem powiekę i stwierdziłem, że zwierzę miało oczy o podwójnych źrenicach, tak jak niektóre ziemskie ryby; dolna część gałki ocznej poruszyła się lekko, kiedy dotknąłem jej palcem, co mogło świadczyć o tym, iż nawet wtedy w stworzeniu tliły się jeszcze resztki życia.

Taka budowa oka nie jest typowa dla tutejszej fauny, przypuszczam więc, że adaptację tę wymusił w znacznej mierze wodny tryb życia zwierzęcia.

Kusiło mnie, żeby odciąć głowę i zabrać ją w charakterze trofeum, lecz było to wykluczone. Chłopiec i tak już miał łzy w oczach (wielkich i zdumiewająco zielonych), przypuszczał bowiem, że będę chciał zabrać całą zdobycz, więc przekonywał mnie gorąco, że muły nie poradzą sobie z dodatkowym ciężarem.

Wywalczyłem tyle, że wzięliśmy najlepsze kawałki mięsa (choć mułom

zdecydowanie nie podobała się woń świeżej krwi), cała reszta zaś - niestety łącznie z głową, ozdobioną wspaniałym porożem - została na miejscu.

Jakąś godzinę później dotarliśmy nad brzeg Tempus. To zupełnie inna rzeka od tej, nad którą ojciec chłopca pokazywał mi „świątynię” tubylców; tam miała niemal milę szerokości, była mętna i płynęła tak powoli, że wręcz niezauważalnie. Samo ujście to płatanina wąskich, krętych kanałów przedzierających się z trudem przez błota zarośnięte trzcinami. Tutaj zaledwie lekko żółtawa woda płynie tak wartko, że rzucony do niej patyk znika z oczu w ciągu kilku sekund.

Łąkomorze zostało w całości za nami. Ta nowa, czysta i żywa Tempus wije się wśród rozległych wzgórz porośniętych szmaragdową trawą, poznaczonych tu i

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

ówdzie drzewami oraz krzewami. Widzę teraz, że mój początkowy plan popłynięcia łodzią w górę rzeki był nierealny, o czym uprzedzali mnie znajomi z Ładowiska Francuzów, choć z pewnością z wody łatwiej byłoby wypatrywać jaskiń w wysokich brzegach. Nie dość, że musielibyśmy zużyć mnóstwo paliwa na walkę z silnym prądem, to w dodatku wyżej, w górach, z pewnością napotkalibyśmy liczne wodospady i bystrzyny. Doskonały byłby poduszkowiec, lecz wątpię, czy na tej zacofanej planecie jest ich więcej niż dwadzieścia sztuk, w dodatku zapewne przeznaczonych wyłącznie do użytku wojskowego.

Nie zamierzam jednak narzekać. Podróżując poduszkowcem, przypuszczalnie już byśmy odszukali jaskinię, ale co z nawiązaniem kontaktu z niedobitkami tubylców? Nasza niewielka i - mam nadzieję - nie rzucająca się w oczy ekspedycja ma znacznie większą szansę na spotkanie aborygenów (o ile jeszcze są, rzecz jasna).

Poza tym, szczerze mówiąc, to mi się podoba. Kiedy przebyliśmy mniej więcej milę wzdłuż brzegu rzeki, chłopiec stał się bardzo podekscytowany i powiedział mi, że dotarliśmy do ważnego miejsca, które często odwiedzał z matką. Ja, co prawda, nie widziałem nic nadzwyczajnego - ot, szerokie zakole z kilkoma (wyjątkowo dużymi) drzewami wyciągającymi konary prawie nad środek nurtu oraz dziwacznie ukształtowany gład - chłopiec jednak upierał się, że jest tu wyjątkowo pięknie; zademonstrował, jak wygodny jest gład, na którym można siedzieć lub leżeć w rozmaitych pozycjach, dowodził, jak skutecznie gałęzie drzew osłaniają przed słońcem i deszczem, a nawet, przykryte zimą śniegiem, tworzą niemal coś w rodzaju szałasów, w głębokiej wodzie u stóp gładu zawsze roi się od ryb, na brzegu można znaleźć pod dostatkiem małży i jadalnych ślimaków (ach, ta francuska matka!) - krótko mówiąc, jest to prawdziwy raj na ziemi. Słuchając go, doszedłem do wniosku, iż patrzy na świat zewnętrzny (a przynajmniej na jego wybrane fragmenty, takie jak właśnie ten) w sposób, w jaki większość ludzi spogląda na budynki albo zamknięte pomieszczenia. Ponieważ i tak chciałem zostać na kilka minut sam, postanowiłem nie gasić jego niewinnego entuzjazmu i poprosiłem, by poszedł z małżami naprzód, pozwalając mi pokontemplować ten uroczy zakątek. Sprawilem mu tym ogromną radość; niebawem byłem tak samotny, jak zdarza się tylko nielicznym urodzonym na Ziemi: towarzyszyły mi jedynie wiatr, słońce oraz westchnienia ogromnych drzew, których korzenie sięgały do szemrzącej wody. A także miauczący kot - musiałem go przegonić kilkoma celnie rzuconymi kamieniami.

W samotności mogłem spokojnie pomyśleć - o przypominającym wodnego bawołu zwierzęciu, które zastrzeliłem rano (i którego z pewnością pozazdrościłby mi każdy myśliwy, gdyby udało mi się zachować czaszkę jako trofeum), oraz o naszej

wyprawie. Bynajmniej nie chodzi o to, że mniej niż do tej pory zależy mi na udowodnieniu, iż tubylcy z Sainte Anne nie zostali do końca wytępieni, oraz na utrwaleniu ich obyczajów i sposobu myślenia, nim na zawsze odejdą w zapomnienie.

Wręcz przeciwnie, pragnę tego jeszcze bardziej niż kiedykolwiek, choć z nieco odmiennych powodów. Łądując na Sainte Anne, marzyłem wyłącznie o tym, żeby podczas pracy w terenie zyskać reputację, która pozwoliłaby mi myśleć o interesującym stanowisku naukowym po powrocie na Ziemię. Teraz wiem już, że praca badawcza w terenie jest, i powinna być, celem samym w sobie; że wielce

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

szanowani, wiekowi profesorowie, którym tak zazdrościłem sławy, wcale nie po to udawali się na kolejną wyprawę (wbrew moim przypuszczeniom), by dodać kolejną gałązkę do zdobiących ich głowy wawrzynów, nawet gdyby oznaczało to niewinną wycieczkę do przebadanej już wzdłuż i wszerz Melanezji. Pozycja, jaką osiągnęli, stawała się w ich rękach wyłącznie narzędziem do umacniania wcześniejszych zdobyczy. I mieli rację! Każdy z nas znajduje własną drogę i swoje miejsce w życiu; miotamy się po wszechświecie tak długo, aż wreszcie wszystko trafia na właściwe miejsce; to właśnie jest życie; to właśnie jest nauka, albo nawet coś lepszego od niej. Kiedy dogoniłem chłopca, okazało się, że rozbił już obóz (dość wcześnie) i nawet chyba zaczął się o mnie trochę niepokoić. Wieczorem próbował ususzyć nad ogniem kawałek mięsa bawołu, żeby zachować je na później, chociaż powiedziałem mu, że jeśli się zepsuje, po prostu wyrzucimy je i zdobędziemy nowe.

Zapomniałem dodać, że po drodze ustrzeliłem dwa jelenie.

Oficer odłożył notes w płóciennej oprawie, wstał i przeciągnął się. Dopiero teraz

zauważył ptaka, który jakiś czas temu wleciał do pokoju, a obecnie, milczący i zdumiony, siedział na ramie obrazka zawieszzonego wysoko na ścianie naprzeciwko drzwi. Oficer krzyknął, a kiedy ptak nie zareagował, spróbował dosięgnąć go szczotką zostawioną w kącie przez niewolnika. Ptak zerwał się do lotu, lecz zamiast skierować się do otwartych na oścież drzwi, uderzył w nadproże, ogłuszony upadł na podłogę, a oprzytomniawszy, wrócił na swoje miejsce na obrazku, po drodze muskając policzek mężczyzny skrajem czarnego skrzydła. Oficer zaklął, ponownie usiadł za biurkiem i wziął do ręki plik luźnych kartek pokrytych starannym urzędniczym pismem.

Nie ulega wątpliwości, że powinienem mieć jeszcze jednego adwokata oprócz tego, którego wyznaczy mi sąd. Uniwersytet z pewnością udostępni mi fundusze na opłacenie honorarium; poprosiłem mego obrońcę z urzędu, żeby się tym zajął. To znaczy, poproszę go.

Odnoszę wrażenie, iż w wyjaśnieniu mojej sprawy istotną rolę może odegrać rozwiązanie kilku problemów, które teraz kolejno wymienię i postaram się omówić ich rozmaite interpretacje, przygotowując się w ten sposób do rozprawy. Przede wszystkim w grę wchodzi pojęcie winy, najistotniejsze w każdej sprawie sądowej.

Czy pojęcie to ma zasięg uniwersalny?

Jeżeli nie, to należałoby wysnuć wniosek, że istnieją grupy, które nigdy i w żadnych okolicznościach nie mogą podlegać karze; po chwili zastanowienia trzeba stwierdzić, iż takie grupy naprawdę istnieją - dzieci, upośledzeni umysłowo, osoby bardzo zamożne, zwierzęta, bliscy najrozmaitszych dygnitarzy, sami dygnitarze i tak dalej.

Kolejne pytanie, które trzeba postawić, Wysoki Sądzie, brzmi następująco: czy

ja, podsądny, nie należę do którejś z wymienionych grup? Dla mnie nie ulega

wątpliwości, iż należę do wszystkich, lecz ponieważ nie chcę nadużywać

cierpliwości Wysokiego Sądu, skoncentruję się na dwóch: otóż nie podlegam karze

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

jako dziecko i jako zwierzę, czyli jako członek pierwszej i czwartej z wymienionych
przeze mnie grup.

Tym samym natychmiast rodzi się trzeci problem: co tak naprawdę oznacza

słowo „dziecko”. Naturalnie już na samym początku musimy jasno i wyraźnie

stwierdzić, iż w grę wchodzi coś znacznie więcej niż tylko zwykłe określenie wieku.

Absurdem byłoby uznać we wtorek, że oskarżony nie jest winny zarzucanego mu

czynu, w środę natomiast zmienić werdykt, ponieważ osiągnął wiek uznany

arbitralnie za dorosły. Nie, Wysoki Sądzie! Choć mam niewiele ponad dwadzieścia

lat, nie ulega dla mnie wątpliwości, że takie postawienie sprawy zaowocowałoby

mnóstwem potwornych zbrodni popełnianych tuż przed osiągnięciem pełnoletności.

Za dziecko nie można również nikogo uznać w oparciu o subiektywne relacje

dotyczące jego lub jej stanu wewnętrznego, a to z prostego powodu niemożliwości

zweryfikowania takich dowodów. Czy ktoś jest dzieckiem, czy dorosłym, świadczy

sposób, w jaki jest traktowany przez społeczeństwo. W moim przypadku rzecz ma się

następująco:

Nie posiadam i nigdy nie posiadałem żadnej własności.

Nigdy nie byłem stroną ani świadkiem umowy cywilnoprawnej.

Nigdy nie zeznawałem przed sądem w charakterze świadka.

Nie wstąpiłem w związek małżeński ani nie adoptowałem dziecka.

Nigdy nie pobierałem wynagrodzenia za wykonywaną pracę. (Sprzeciw, Wysoki Sądzie? Chodzi o moje zeznanie dotyczące związków z Uniwersytetem Columbia? Powołuje się na nie oskarżyciel? Wysoki Sądzie, to chytra sofistyka, lecz pozbawiona wszelkiego znaczenia. Stanowisko wykładowcy było tylko synekurą, dzięki której mogłem kontynuować badania naukowe, natomiast w kwestii wyprawy na Sainte Anne powiem tylko tyle, że otrzymałem zwrot poniesionych kosztów. I co? Kto może lepiej o tym wiedzieć ode mnie?)

Jak więc jasno widać, Wysoki Sądzie - a mógłbym przytoczyć jeszcze setki argumentów - w chwili popełnienia przestępstwa, naturalnie jeżeli istotnie zarzuca mi się coś takiego, w co bardzo wątpię, byłem dzieckiem. Te same dowody świadczą aż nadto dobitnie o tym, iż jestem nim nadal.

Co się natomiast tyczy tego, że jestem zwierzęciem (w tym sensie, że nie ludzką istotą), to dowód jest tak oczywisty, iż boję się, że mogę zostać wyśmiany za jego przytoczenie. Czy ci, którym w waszym społeczeństwie wolno poruszać się bez żadnych ograniczeń, są zwierzętami, czy ludźmi? Kto jest zamykany w stajniach, oborach, psiarniach i chlewach? Ludzie czy zwierzęta? Kto sypia na podłodzie, a kto w łóżku? Kto mieszka w ciepłych pomieszczeniach i korzysta z łazienek, a kto musi ogrzewać się własnym oddechem i wylizywać się w celu utrzymania czystości?

Proszę o wybaczenie. Wysoki Sądzie. Nie zamierzałem zakłócać powagi sali sądowej.

Czterdzieści siedem znów stukał w rurę. Chcecie wiedzieć, co mówił? Bardzo proszę.

Gene Wolfe

JEDEN CZTERY TRZY, JEDEN CZTERY TRZY, CZY TO TY? SŁYSZYSZ
MNIĘ? KIM JEST TEN NOWY NA WASZYM PIĘTRZE?

Znaki przestankowe wstawiłem na własną odpowiedzialność, ponieważ
Czterdzieści siedem ich nie używa. Mam nadzieję, że mi wybaczy, jeśli niewłaściwie
zrozumiałem jego intencje.

JAKI NOWY? - nadałem. Przydałby mi się kamień albo jakiś metalowy
przedmiot, taki jaki ma Czterdzieści siedem (twierdzi, że to oprawka okularów). Od
stukania w rurę bolą mnie kostki palców.

WIDZIAŁEM GO RANO PRZEZ DRZWI. STARY, DŁUGIE SIWE WŁOSY.
MIĘDZY TOBĄ A SCHODAMI. KTÓRA CELA?

NIE WIEM.

Gdybym miał kamień, mógłbym uderzać w ściany celi tak głośno, że słyszeliby
mnie po obu stronach. Ponieważ jest, jak jest, sąsiad z lewej stuka czymś, co wydaje
bardzo dziwny odgłos, ale niestety nie zna kodu, lewa ściana natomiast milczy; albo
nikogo tam nie ma, albo mieszkaniec sąsiedniej celi, tak jak ja, nie ma się czym
odezwać.

Chcecie wiedzieć, jak mnie aresztowano? Byłem bardzo zmęczony. Odwiedziłem
Cave Canem, w związku z czym wróciłem do domu bardzo późno, prawie o czwartej.
Na południe miałem wyznaczone spotkanie z rektorem; byłem prawie pewien, że
zapropnuje mi katedrę, i to na bardzo atrakcyjnych dla mnie warunkach. Przed
położeniem się spać zamierzałem napisać kartkę do madame Duclose, w której domu
mieszkałem, z prośbą, by obudziła mnie o dziesiątej.

Czterdzieści siedem znowu nadaje: JEDEN CZTERY TRZY, JESTEŚ

KRYMINALNY CZY POLITYCZNY?

POLITYCZNY. (Chciałbym go usłyszeć).

KTÓRA STRONA?

A TY?

POLITYCZNY.

KTÓRA STRONA?

JEDEN CZTERY TRZY, TO IDIOTYZM. BOISZ SIĘ ODPOWIEDZIEĆ? CO

JESZCZE MOGĄ CI ZROBIĆ? PRZECIEŻ JUŻ TU JESTEŚ.

Stukam: DLACZEGO MAM CI UFAĆ, SKORO TY MI NIE UFASZ? TY

ZACZNIJ. (Bolą mnie kostki).

Z PIĄTEGO WRZEŚNIA.

DOKOŃCZĘ, JAK BĘDĘ MIAŁ KAMIEŃ. BOLI MNIE RĘKA.

TCHÓRZ! (Jeśli Czterdzieści siedem będzie tak krzyczał, zniszczy sobie okulary).

Gdzie to ja byłem? Aha, przy moim aresztowaniu. W domu panowała

niezmacona cisza - wówczas wydawało mi się, że ze względu na porę, teraz jednak

jestem pewien, że większość mieszkańców nie spała, tylko leżała w łóżkach,

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

doskonale wiedząc, że tamci czyhają na mnie w moim pokoju, i ze wstrzymanym

tchem czekała na strzały albo krzyki. Madame Duclose z pewnością niepokoiła się o

los wielkiego lustra w złoconej ramie wiszącego na ścianie. (Zdążyłem się przekonać,

że lustra - te prawdziwe, ze szkła, a nie z wypolerowanego metalu - są w Port-

Mimizon dość kosztowne). Właśnie dlatego nikt nie chrapał, nikt nie człapał

korytarzem do toalety, także z pokoju mademoiselle Etienne nie dobiegały stłumione namiętne westchnienia świadczące o tym, iż lokatorka zabawia się ze swoją wyobraźnią i łożową świecą.

Wtedy jednak nic nie wzbudziło moich podejrzeń. Nabazgrałem liścik (niektórzy sądzą, że mam okropny charakter pisma, ale ja tak nie uważam; jak tylko obejmę stanowisko, podczas wykładów - jeśli będę musiał je prowadzić - na tablicy będą pisać za mnie studenci albo otrzymają wcześniej przygotowane konspekty, wydrukowane purpurową czcionką na zielonym papierze) do madame Duclose i ruszyłem po schodach w górę, do mego pokoju i - jak mi się zdawało - łóżka. Byli bardzo pewni siebie. Włączyli nawet światło; zobaczyłem jasną kreskę między drzwiami a podłogą. Gdybym naprawdę popełnił jakieś przestępstwo, bez wątpienia zawróciłbym i oddalił się na palcach. Ja jednak pomyślałem, iż widocznie dostarczono mi list lub wiadomość - na przykład od rektora albo od właściciela burdelu, który parę godzin wcześniej prosił mnie o pomoc w załatwieniu pewnych spraw ze swoim „synem” - i z góry postanowiłem nie odpowiadać aż do najbliższego wieczora. Byłem ogromnie zmęczony, wypilem mnóstwo brandy i doskonale zdawałem sobie sprawę z niezdarności moich ruchów, kiedy wyjmowałem klucz z kieszeni i dość długo manipulowałem nim przy zamku, by wreszcie stwierdzić, że drzwi są otwarte.

Było ich trzech: dwaj w mundurach, trzeci w ciemnym garniturze, nigdyś całkiem porządnym, teraz jednak mocno wytartym, wymiętym i poplamionym, a do tego odrobinę za małym, w związku z czym człowiek ów wyglądał jak sługa jakiegoś sknery. Rozparł się w moim najlepszym fotelu, tym z pikowaną tapicerką, a ramię przewiesił nonszalancko przez oparcie. Ponieważ przy jego lewym łokciu stała lampa

z abażurem w różyczki, można było pomyśleć, że przed chwilą coś czytał. Dzięki wiszącemu za jego plecami lustru madame Duclose mogłem stwierdzić, że jest krótko ostrzyżony i ma głowę pokrytą bliznami, jakby był poddawany torturom albo przeszedł operację mózgu, albo starł się z przeciwnikiem uzbrojonym w jakieś zakrzywione sieczne narzędzie. Nad ramieniem tego człowieka widziałem własne odbicie: stałem w drzwiach w cylindrze, który wkrótce po wylądowaniu kupiłem w Port-Mimizon, prawie najlepszym płaszczu i z głupią, zdumioną miną.

Jeden z mundurowych wstał, zamknął drzwi na zasuwkę. Marynarkę i spodnie miał szare, czapkę spiczastą, u pasa dyndał mu ogromny staromodny rewolwer w kaburze. Kiedy ponownie siadał, stwierdziłem, że ma zwyczajne robocze buty, nie najlepszej jakości i mocno znoszone. Jego kolega powiedział:

- Jeśli pan chce, może pan zdjąć płaszcz i kapelusz.

- Oczywiście - odparłem, po czym powiesiłem je, jak zwykle, na haczyku na drzwiach.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

- Będziemy musieli pana przeszukać. - (Wciąż mówił tylko drugi mundurowy, w zielonej marynarce z krótkimi rękawami i mnóstwem kieszeni oraz luźnych zielonych spodniach ze spiętymi nogawkami, jakby w ramach wypełniania służbowych obowiązków musiał także jeździć na rowerze). - Możemy to zrobić na dwa sposoby, wedle pańskiego uznania: może pan sam się rozebrać, a my przeszukamy pańskie ubranie i natychmiast je panu oddamy, ale musiałby pan uczynić to w naszej obecności, aby nie mieć czasu na ewentualne ukrycie jakichś interesujących nas przedmiotów, albo też przeprowadzimy rewizję natychmiast, tak

jak pan tu przed nami stoi. Co pan wybiera?

Zapytałem, czy jestem aresztowany i czy moi nieproszeni goście są z policji.

- Ależ skąd, profesorze - odpowiedział ten w fotelu. - W żadnym razie.

- Chwilowo nie jestem profesorem, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

Skoro nie zostałem aresztowany, to skąd to przeszukanie? O co mnie podejrzewacie?

- Dopiero po przeprowadzeniu rewizji będziemy mogli stwierdzić, czy musimy pana aresztować - poinformował mnie ten, który zamknął drzwi, i spojrzał na swego towarzysza w ciemnym garniturze, jakby oczekiwał potwierdzenia.

- Wybór należy do pana - dodał drugi mundurowy. - Na co się pan decyduje?

- A jeżeli w ogóle nie wyrażę zgody?

- Wówczas będziemy zmuszeni zabrać pana do cytadeli - odparł ten w garniturze.

- Dopiero tam zostanie pan poddany rewizji.

- Czyli jednak mnie aresztujecie?

- Monsieur...

- Nie jestem Francuzem. Pochodzę z Ameryki Północnej.

- Profesorze, radzę panu jak przyjaciel: proszę nas nie zmuszać, żebyśmy pana aresztowali. Tutaj aresztowanie to poważna sprawa, ale można również być zrewidowanym, przesłuchiwanym, trzymanym przez jakiś czas w odosobnieniu...

- A nawet osądzonym i zgładzonym - wtrącił mężczyzna w zielonej marynarce.

- ...bez uprzedniego aresztowania. Dlatego jeszcze raz pana proszę o nieutrudnianie nam zadania.

- Ale i tak muszę zostać zrewidowany?

- Tak - potwierdzili obaj mundurowi.

- Wobec tego wolę, żebyście zrobili to od razu, bez rozbierania. Spojrzeli na

siebie znacząco, jakbym powiedział coś istotnego, człowiek w garniturze zaś ze znużoną miną wziął do ręki książkę, którą chyba czytał, czekając na mój powrót: należący do mnie „Przewodnik po faunie Sainte Anne”.

Ten z pistoletem zbliżył się z na pół przepraszającym uśmiechem, a ja dopiero wtedy zorientowałem się, że jest w uniformie Transportu Miejskiego.

- Pan jest woźnicą, prawda? - spytałem. - Dlaczego więc nosi pan broń?

- Ponieważ to należy do jego obowiązków - odparł mężczyzna w garniturze. - Ja też mógłbym zapytać, dlaczego jest pan uzbrojony.

- Nie jestem.

- Czyżby? Właśnie przeglądałem pańską książkę. Z tyłu, na wewnętrznej stronie okładki, znajduje się sporządzona ołówkiem tabela z liczbami. Może mi pan powiedzieć, co to takiego?

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

- Nie mam pojęcia. Zapewne wykonał je któryś z poprzednich właścicieli.

Zarzuca mi pan, że jestem szpiegiem? Jeśli przyjrzy im się pan uważniej, na pewno przekona się pan, że są równie stare jak książka i mocno wyblakłe.

- Niemniej te poukładane parami liczby są bardzo interesujące. Pierwsza jest zawsze podana w jardach, druga natomiast w calach.

- Owszem, ja też to zauważyłem.

Człowiek w uniformie Transportu Miejskiego oklepywał mi kieszenie. Wszystko, co znalazł - zegarek, pieniądze, notes - podawał służalczym gestem temu w garniturze.

- Tak się składa, że mam matematyczny umysł...

- To znakomicie.

- ...i dokładnie przeanalizowałem wzajemne relacje między tymi liczbami. Otóż dość precyzyjnie wyznaczają one parabolę, czyli przekrój stożka.

- Nic mi to nie mówi. Jako antropologa znacznie bardziej interesują mnie krzywe rozkładu prawdopodobieństwa.

- To znakomicie - zrewanżował mi się za mój niedawny sarkazm, po czym gestem wezwał do siebie dwóch umundurowanych towarzyszy.

Dyskutowali szeptem, a ja zwróciłem uwagę, jak bardzo są do siebie podobni:

wszyscy mieli spiczaste podbródki, czarne brwi i blisko osadzone oczy; mógłbym uwierzyć, że są braćmi - ten w garniturze najstarszym i zapewne również najmądrzejszym, ten z Transportu Miejskiego najmniej rozgarniętym.

- O czym rozmawiacie? - zapytałem.

- O pańskiej sprawie - odparł ten w ciemnym garniturze. Człowiek z Transportu Miejskiego wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

- A do jakich doszliście wniosków?

- Że nie zna pan tutejszego prawa i że powinien pan mieć adwokata.

- To z pewnością prawda, ale nie wierzę, żeby właśnie tego dotyczyła wasza rozmowa.

- Widzi pan? Adwokat powstrzymałby pana przed używaniem takiego tonu.

- Jesteście z policji? A może z prokuratury?

Człowiek w garniturze roześmiał się głośno.

- Skądże znowu! Ja pracuję jako inżynier w Ministerstwie Robót Publicznych, mój przyjaciel - wskazał na mężczyznę w zielonym mundurze - jest sygnalistą w wojsku, drugi zaś, jak słusznie pan odgadł, zajmuje się powożeniem.

- A więc dlaczego zjawiacie się tu w taki sposób, jakbyście byli z policji?

- Oto jak daleko sięga pańska ignorancja dotycząca naszych spraw. Podobno na Ziemi wygląda to inaczej, ale tutaj wszyscy urzędnicy publiczni należą do jednego bractwa, jeśli można tak powiedzieć. Być może, już jutro mój przyjaciel woźnica będzie wywoził śmieci...

- Na dobrą sprawę robi to już dzisiaj! - wtrącił szyderczym tonem sygnalista w zielonym mundurze.

- ...ten oto sygnalista zostanie zamustrowany na pokład okrętu patrolowego, ja natomiast zajmę się odławianiem bezdomnych kotów. Dziś jednak przysłano nas do pana.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

- Z nakazem aresztowania?

- Powtarzam jeszcze raz, że byłoby dla pana najlepiej, gdyby nie został pan aresztowany, ponieważ jeśli to nastąpi, szansę na pańskie uwolnienie będą praktycznie równe zeru.

Umilkł. Za moimi plecami otworzyły się drzwi i w lustrze zobaczyłem madame Duclose oraz mademoiselle Etienne w towarzystwie woźnicy.

- Wejdźcie, moje panie - zaprosił je ten w ciemnym garniturze.

Woźnica pchnął je lekko. Posłusznie weszły do pokoju i, przestraszone, stanęły po obu stronach szafki z miednicą i dzbanem. Madame Duclose, stara, siwowłosa, otyła kobieta, miała na sobie wypłowiałą, sięgającą do ziemi bawełnianą sukienkę (nie wiem, czy używała jej jako podomki, czy też może woźnica pozwolił gospodyni narzucić coś na nocną koszulę, zanim ją przyprowadził do mego pokoju).

Mademoiselle Etienne - bardzo wysoka dziewczyna w wieku dwudziestu ośmiu lat - mogłaby bez trudu uchodzić jeśli nie za siostrę, to na pewno za bliską krewną trzech mężczyzn. Ona także miała spiczasty podbródek i czarne brwi, tyle że starannie wyskubane, dzięki czemu tworzyły regularne łuki nad oczami, wielkimi i błękitnofioletowymi jak oczy lalki. Kręcone kasztanowe włosy okalały jej twarz gęstą chmurą. Jak już wspomniałem, była niezwykle wysoka: długie nogi przypominały szczudła, biodra były nieco zbyt szerokie, tuż nad nimi jej ciało zwężało się do zdumiewająco szczupłej talii, niedużych piersi i wąskich ramion. Wystroiła się w negliż z jakiejś półprzezroczystej tkaniny, zebranej jednak w tak wiele fałd i zakładek, że strój stał się zupełnie nieprzezroczysty.

- Pani jest madame Duclose, właścicielka domu? - zapytał człowiek w ciemnym garniturze. - Wynajmuje pani temu panu pokój, w którym teraz się znajdujemy?

Gospodyni skinęła głową.

- Musimy zabrać go do cytadeli, ponieważ chcę z nim rozmawiać rozmaici wysocy urzędnicy. Zaraz po naszym wyjściu zamknij pani ten pokój na klucz i niczego nie będzie tu pani ruszać. Czy to jasne?

Madame Duclose ponownie skinęła głową.

- W razie gdyby ten pan nie wrócił w ciągu tygodnia, zgłosi się pani do Ministerstwa Parków, które przyśle tu kogoś godnego zaufania. W towarzystwie tego człowieka wejdzie pani do pokoju, sprawdzi, czy gryzonie poczyniły jakieś szkody, i otworzy okna dokładnie na godzinę. Po upływie tego czasu zamknij pani okna, opuści pokój i ponownie zamknij drzwi na klucz. Czy rozumiała pani wszystko, co powiedziałem?

Madame Duclose skinęła głową po raz trzeci.

- W razie gdyby pani lokator nie pojawił się do Bożego Narodzenia, ponownie zgłosi się pani do Ministerstwa Parków. W dzień po świętach (jeśli wypadną w sobotę, w pierwszy poniedziałek po nich), powtórnie zjawi się u pani ktoś godny zaufania. W jego obecności zmieni pani pościel oraz, jeśli uzna to pani za stosowne, przewietrzy materac.

- Dzień po świętach? - zdumiała się madame Duclose.

- Lub w pierwszy poniedziałek po nich, jeśli wypadną w sobotę. W razie gdyby minął rok, a pani lokator wciąż się nie pojawiał (za początek jego nieobecności może

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

pani dla ułatwienia przyjąć pierwszy dzień bieżącego miesiąca), jeszcze raz zgłosi się pani do Ministerstwa Parków i, jeśli uzna to pani za stosowne, na własny koszt odda pani na przechowanie jego rzeczy lub też pozostawi je pani we własnym domu. Do tego czasu Ministerstwo Parków przeprowadzi ich inwentaryzację. Pokój może być używany do innych celów. Gdyby ten pan nie pojawił się po upływie pięćdziesięciu lat od umownej daty swego zniknięcia, pani, albo jej spadkobiercy, po raz kolejny zgłosi się do Ministerstwa Parków, które w imieniu rządu dokona rekwizycji wszystkich przedmiotów należących do następujących kategorii: przedmioty wykonane w całości lub częściowo ze złota, srebra lub innych metali szlachetnych; środki płatnicze w walutach z Sainte Croix, Sainte Anne, Ziemi lub innych planet; antyki; instrumenty naukowe; plany i dokumenty wszelkiego rodzaju; biżuteria; bielizna; ubranie. Wszystko, co nie zostanie zaliczone do którejś z tych kategorii, przejdzie na własność pani lub jej spadkobierców. Gdyby jutro stwierdziła pani, że niezbyt dobrze pamięta to, co jej powiedziałem, skontaktuje się pani ze mną w

Ministerstwie Robót Publicznych, Departamencie Kanałów Ściekowych i

Burzowych, a ja wszystko jej powtórzę. Proszę pytać o asystenta generalnego

inspektora kanałów ściekowych i burzowych. Rozumie mnie pani?

Madame Duclose skinęła głową po raz czwarty.

- A teraz pani, mademoiselle. - Człowiek w ciemnym garniturze zwrócił się do

wysokiej dziewczyny. - Proszę patrzeć: wręczam temu panu przepustkę. - Wyjął z

kieszeni na piersi sztywny kartonik o wymiarach mniej więcej sześć na dwa cale i

podał mi go. - On napisze na niej pani nazwisko i przekaże ją pani. Dzięki tej

przepustce będzie pani mogła wejść do cytadeli w każdy drugi i czwarty czwartek

każdego miesiąca, między dziewiątą a jedenastą przed południem.

- Zaraz, chwileczkę! - zaprotestowałem. - Przecież ja nawet nie znam tej młodej

damy!

- Ale nie jest pan żonaty?

-Nie.

- Wiem to z pańskich akt. W przypadku kiedy więzień nie jest żonaty, przepustkę

otrzymuje mieszkająca najbliżej kobieta w stosownym wieku. Tak stanowi prawo

oparte, jak zapewne się pan domyśla, na wynikach badań statystycznych. Kobieta ta

może wykorzystać przepustkę albo przekazać ją innej osobie. Szczegóły ustalicie

sami, dokładnie... - policzył szybko w pamięci - za dziesięć dni. Proszę napisać jej

imię i nazwisko.

Musiałem zapytać mademoiselle Etienne, jak ma na imię. Okazało się, że

Celestine.

- A teraz proszę dać jej przepustkę - polecił mężczyzna w wyświechtanym

garniturze.

Uczyniłem to, on zaś położył mi na ramieniu ciężką rękę i oświadczył:

- Niniejszym aresztuję pana.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Przeniesiono mnie. Kontynuuję ten rejestr moich myśli - jeśli tak można powiedzieć - w nowej celi. Nie jestem już dawnym jeden cztery trzy, lecz zupełnie nowym, nieznanym 143, a to dlatego że mój stary numer wypisano kredą na drzwiach nowej celi. Wam, czytającym te słowa, może się wydawać, iż zmiana miejsca spadła na mnie jak grom z jasnego nieba, ale wbrew pozorom nie przerwano mi pisania w pół słowa. Prawdę powiedziawszy, zmęczyłem się relacjonowaniem mego aresztowania. Drapałem swędzące miejsca. Spałem. Zjadłem chleb i zupę przyniesione przez strażnika i znalazłem w misce niedużą kostkę - przypuszczalnie fragment koziego żebra. Dzięki niej mogłem przeprowadzić długą rozmowę z sąsiadem z góry. Czterdziestym siódmym. Tak długo słuchałem szaleńca zza lewej ściany, że w końcu zaczęło mi się wydawać, iż wśród bezładnego stukania i drapania jestem w stanie wyłowić swoje imię.

A potem zabrzczały klucze i pomyślałem sobie, że to może mademoiselle Etienne, której wreszcie pozwolono się ze mną zobaczyć, więc zacząłem pospiesznie przyglądać włosy i rozczesywać brodę palcami. Okazało się jednak, że to tylko strażnik, z nim zaś potężnie zbudowany mężczyzna o twarzy zasłoniętej czarnym kapturem. Rzecz jasna pomyślałem, że za chwilę zostanę stracony, i choć starałem się zachować odwagę (nie mogę zresztą powiedzieć, żeby ogarnęła mnie panika), kolana ugięły się pode mną i z najwyższym trudem zdołałem utrzymać równowagę. Przez

głowę przemknęła mi myśl o ucieczce (jak zwykle kiedy prowadzą mnie na przesłuchanie, ponieważ jedynie wtedy jest choć cień nadziei na powodzenie takiej próby), ale mógłbym uciekać tylko wąskim, pozbawionym okien korytarzem, schodów zaś pilnowali strażnicy. Zakapturzony mężczyzna ujął mnie za ramię i w milczeniu poprowadził płataniną korytarzy. Tyle razy skręcaliśmy, zawracaliśmy, wspinaliśmy się po schodach i schodziliśmy nimi, że zupełnie straciłem orientację. Mam wrażenie, iż nasza wędrówka trwała godzinami. Za małymi oszklonymi otworami w drzwiach mijanych cel widziałem wynędzniałe, brudne twarze bardzo podobne do mojej. Kilkakrotnie przechodziliśmy przez dziedzińce; za każdym razem byłem pewien, że zostanę postawiony przy ścianie i rozstrzelany. Stojące wysoko na niebie słońce świeciło tak jasno, że choć mrużyłem oczy, łzy płynęły mi po twarzy. Wreszcie, w nie wyróżniającym się niczym szczególnym korytarzu, zatrzymaliśmy się przed drzwiami z numerem 143, a kiedy człowiek w kapturze podniósł betonową płytę leżącą na podłodze, moim oczom ukazał się otwór, do którego prowadziły wąskie metalowe schodki. Ruszyłem w dół, a on za mną. Jakies pięćdziesiąt metrów niżej znaleźliśmy się w pograżonym w ciemności korytarzu cuchnącym starym moczem. Dzięki latarce, którą włączył mój strażnik, odnaleźliśmy drzwi tej celi. Otworzył je, wepchnął mnie do środka tak mocno, że rozciągnąłem się jak długi na podłodze, po czym zatrzęsął je za mną z hukiem.

Nie miałem nic przeciwko tak brutalnemu traktowaniu, ponieważ, jak już wspomniałem, byłem prawie pewien, że lada chwila zostanę stracony. Nadal nie wiem, czy to nie nastąpi; bądź co bądź, człowiek ten miał na sobie strój kata, chociaż nie sposób wykluczyć, iż przywdział go tylko po to, by mnie przestraszyć, i że naprawdę wykonuje inne obowiązki.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Oficer zaczął szukać na biurku następnej strony, lecz zanim zdołał ją znaleźć, zobaczył wracającego do pokoju kolegę.

- Wydawało mi się, że szedłeś spać?

- Szedłem. I spałem, ale obudziłem się i nie mogę już zasnąć.

Wszystko przez ten upał.

Oficer wzruszył ramionami.

- Jak sobie radzisz z tą sprawą? - zapytał kolega.

- Wciąż staram się uporządkować fakty.

- Nie przystali ci streszczenia? Powinni to zrobić.

- Być może, ale w tym bałaganie jeszcze nie udało mi się go znaleźć. Jest tylko list. Obszerniejsza informacja może być na którejś z tych taśm.

Cierpiący na bezsenność oficer wziął do ręki notes w płóciennej okładce.

- A to co?

- Notes.

- Oskarżonego?

- Tak myślę.

- Ale nie wiesz na pewno?

- Nie jestem pewien. Chwilami wydaje mi się...

Przybysz czekał, a kiedy ciąg dalszy nie nastąpił, powiedział:

- Cóż, widzę, że jesteś zajęty. Chyba obudzę lekarza i poproszę, żeby dał mi coś na sen.

- Zajrzyj do butelki - mruknął oficer, kiedy jego kolega wyszedł, a następnie

ponownie wziął do ręki notes w płóciennej okładce i otworzył na chybił trafił.

Nie, to człowiek tak samo jak pan i ja. Ożenił się z jakąś nieszczęsną ułomną kobietą, która prawie nie pokazuje się ludziom na oczy, i ma z nią piętnastoletniego syna.

Ja: Ale twierdzi, że jest tubylcem?

M. d'F. : To oszust, proszę pana. Większość tego, co opowiada o tubylcach, rodzi się w jego głowie. Z pewnością usłyszysz pan od niego wiele wspaniałych historii.

(koniec rozmowy)

Dr Hagsmith również wspominał o tym żebraku, więc postanowiłem go odszukać. Nawet jeśli jego twierdzenia są nieprawdziwe (w co nie wątpię), może uda mi się wyłuskać z nich nieco autentycznych informacji. Poza tym nawet perspektywa rozmowy z fałszywym tubylcem wydaje mi się interesująca.

21 marca. Rozmawiałem z żebrakiem, który twierdzi, że nazywa się Dwanaście Kroków i jest w prostej linii potomkiem ostatniego tubylczego szamana, a więc prawowitym królem lub innym dostojnikiem, zależnie od tego, jaki akurat tytuł umyśli sobie przybrać. Moim zdaniem w rzeczywistości wywodzi się z Irlandii, najprawdopodobniej w okresie wojen napoleońskich któryś z jego przodków opuścił wyspę i przeniósł się do Francji. Tak czy inaczej zachowuje się jak Francuz, wygląda

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

natomiast jak Irlandczyk: rude włosy, błękitne oczy oraz wystająca górna warga są aż nadto charakterystyczne.

Zdaje się, że nawet fałszywi tubylcy są trudno uchwytnei, ponieważ odnalezienie go okazało się niełatwe. Każdy, kogo pytałem, dobrze go znał i podawał mi adres

gospody, w której powinienem go zastać, nikt jednak nie wiedział, gdzie mieszka; jak łatwo się domyślić, nie było go w żadnym z lokali, gdzie rzekomo ciągle przesiadywał. Kiedy wreszcie dotarłem do miejsca, w którym mieszkał (choćbym chciał, nie mogę nazwać tej budowli domem), uświadomiłem sobie, iż mijalem je już parę razy, nie przyszło mi jednak do głowy, że ktoś może tu żyć.

Powinienem chyba wyjaśnić, że Ładowisko Francuzów wzniesiono na brzegu rzeki Tempus w odległości około dziesięciu mil od jej ujścia. Brzeg jest podmokły i bagnisty, a po drugiej stronie żółtawej, lekko słonawej wody wybudowano jeszcze mniej reprezentacyjną osadę, La Fange. Oddziaływanie bliźniaczej planety, Sainte Croix, sprawia, że na powierzchni Sainte Anne występują silne, nawet piętnastostopowe pływy, dające się odczuć daleko w górze rzeki. Podczas przyptywu woda staje się całkowicie niezdatna do picia, w rzece zaś (jak słyszałem) można łowić morskie ryby. Drewniane nabrzeża wznoszą się nad nią zaledwie na kilka stóp, powietrze jest czyste i rześkie, a rozległe łąkomorza wokół lekkiego wzniesienia terenu, na którym zbudowano osadę, wyglądają jak gigantyczny koronkowy obrus utkany z jaskrawozielonego sitowia okalającego oczka kryształowo czystej wody. Jednak już kilka godzin później woda odpływa, wraz z nią zaś wszelkie oznaki życia. Nabrzeża sterczą wysoko na częściowo przegniłych palach, w korycie rzeki pojawiają się niezliczone muliste wysepki, łąkomorza natomiast przeistaczają się w połacie słonego, cuchnącego błota, nad którymi nocą unoszą się rozwleczone obłoki lekko fosforyzującego gazu jak duchy martwych tubylców.

Portowa część osady niczym, jak przypuszczam, nie różni się od małych nadrzecznych osad na Ziemi, tyle że w krajobrazie brakuje sylwetek zrobotyzowanych dźwigów, ściany budynków zaś wzniesione są nie z

wszehobecnym na Ziemi prefabrykatów, lecz z miejscowego budulca. Podobno jeszcze dwanaście lat temu w porcie tłoczyły się przestarzałe jednostki z napędem termonuklearnym, odkąd jednak na orbicie pojawiły się satelity meteorologiczne, tutaj także korzysta się głównie z bezpiecznych i nowoczesnych żaglowców. Lepianka, a właściwie buda żebraka, okazała się przewróconą do góry dnem i podpartą jakimiś trudnymi do zidentyfikowania odpadkami łodzią. Wciąż nie do końca wierząc, że ludzka istota może żyć w takich warunkach, zastukałem w kadłub ręką syczoryka; niemal natychmiast spod łodzi wyłoniła się głowa ciemnowłosego, szesnastoletniego chłopca. Na mój widok wypełził cały, nie wyprostował się jednak, lecz pozostał na kolanach i gnąc się do ziemi, zaczął płaczliwie zawodzić, tak jak to czynią żebracy. Ponieważ byłem w stanie zrozumieć tylko niektóre słowa, on zaś wciąż trwał w niezmienionej pozycji, doszedłem do wniosku, że jest niedorozwinięty umysłowo, a być może również fizycznie, kiedy bowiem cofnąłem się o dwa kroki, podążył za mną na kolanach z taką wprawą, jakby na co dzień poruszał się właśnie w taki sposób. Dałem mu parę drobnych w nadziei, że uciszy się przynajmniej na tyle, by umożliwić mi zadanie kilku pytań; jak tylko

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

jednak monety dotknęły jego dłoni, spod łodzi wyłoniła się druga głowa, należąca do znacznie starszego mężczyzny o rudych włosach (jestem pewien, że przez cały czas obserwował nas z ukrycia).

- Niech Bóg pana błogosławi, monsieur! - wykrzyknął. - Co prawda, jak się pan domyśla, nie jestem chrześcijaninem, mam jednak nadzieję, że Jezus, święta Maria i święty Józef wynagrodzą pana za dobre serce, które okazał pan memu nieszczęsnemu

chłopcę, a jeśli jest pan protestantem, niech uczynią to Jezus, Bóg Ojciec i Duch Święty. Moi zdziesiątkowani rodacy powiedzieliby: oby cię błogosławiły Góry, Rzeka, Drzewa, Ocean, wszystkie gwiazdy na Niebie i bogowie. Mówię to jako ich religijny przywódca.

Podziękowałem, a następnie, z niejasnego nawet dla mnie powodu, wręczyłem mu wizytówkę, którą porwał z takim entuzjazmem, jakby przyjmując ją podejmował się jednocześnie roli mego sekundanta albo powiernika moich sercowych tajemnic.

- Ach, jest pan doktorem! - wykrzyknął, zerknąwszy na nią, po czym podsunął ją synowi, którego oczy, w przeciwieństwie do oczu ojca, były ogromne i zielone jak morska woda. - Victor, spójrz! Nasz gość jest doktorem filozofii! - Zaraz potem zwrócił się ponownie do mnie: - Doktorze Marsch, jak widać, nie jestem wykształconym człowiekiem, ale darzę ogromnym szacunkiem wszystkich, którzy wykształcenie posiadli. Mój dom - wskazał przewróconą łódź takim gestem, jakby był to oddalony co najmniej o ćwierć mili pałac - należy do pana, ja zaś i mój syn aż do końca dnia jesteśmy na pańskie usługi... albo nawet do końca miesiąca, jeśli takie będzie pańskie życzenie. A gdyby przyszła panu ochota odwdzińczyć się nam jakimś niewielkim datkiem, to pozwolę sobie zapewnić pana, usuwając tym samym powód ewentualnego pańskiego zażenowania, iż w żadnym wypadku nie oczekujemy od świątyni wiedzy jakiejś nadzwyczajnej szczodrości oraz doskonale zdajemy sobie sprawę z istnienia błogosławionego prawa naturalnego, zgodnie z którym srebro z kieszy mędrca więcej jest warte niżli złoto z kieszeni kupca. Czym możemy panu służyć?

Odparłem, iż dotarły do mnie słuchy, że niekiedy oprowadza gości po położonych w pobliżu miejscach mających jakoby duże znaczenie dla tubylczej

ludności Sainte Anne, a on natychmiast zaprosił mnie do swego domostwa.

Pod przewróconą łodzią nie było krzeseł, ponieważ i tak nie dałoby się na nich usiąść. Ich funkcję pełniły stare kanapowe poduchy i poskładane żagle, znalazło się też miejsce na niziutki stolik, jaki zapewne mógłby znaleźć się na wyposażeniu ubożego Japońskiego domu. Podłogę stanowiła brezentowa płachta. Mężczyzna zapalił lampę (płaskie naczynie z oliwą, w której zanurzono krótki knot), uroczyście nalał mi w niedużą szklaneczkę czegoś, co okazało się wyjątkowo mocnym rumem, a kiedy przyjąłem poczęstunek, powiedział:

- A więc pragnie pan ujrzeć święte miejsca moich ojców, władców tej planety!

Oczywiście mogę je panu pokazać, doktorze, tym bardziej że tylko ja jeden jestem w stanie wyjaśnić panu ich znaczenie oraz wprowadzić pana w atmosferę tych dawno minionych czasów. Dziś jednak jest już za późno, zaczął się przyptyw. Jeśli przyjdzie pan jutro z samego rana, pomkniemy przez łąkomorza radośnie jak gondolą. Nie będzie to pana kosztować ani trochę wysiłku, ponieważ ja i syn zajmiemy się

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

wiosłowaniem, pan zaś będzie spokojnie fotografował albo robił, co się panu żywnie spodoba. Jeśli chodzi o fotografowanie, to obaj chętnie pozujemy do zdjęć.

Zapytałem o koszty takiego przedsięwzięcia, on zaś wymienił dość rozsądną sumę, po czym szybko dodał:

- Proszę pamiętać, doktorze: za te pieniądze przez pięć godzin korzysta pan z pracy dwóch ludzi oraz z ich łódki. Poza tym czeka pana niepowtarzalne przeżycie, ponieważ nikt inny nie potrafiłby zaprowadzić pana tam, gdzie pragnie pan dotrzeć. -

Wyraziłem zgodę na jego warunki, on zaś ciągnął: - Jest jeszcze tylko jeden mały

problem: jedzenie. Potrzebujemy prowiantu dla trzech ludzi. Kupię wszystko co trzeba, jeśli zechce pan zostawić mi na ten cel jakieś środki. - Zmarszczyłem brwi, więc dorzucił pośpiesznie: - Oczywiście może też pan sam się tym zająć, ale proszę pamiętać: to ma być obiad dla trzech ludzi. Myślę, że wystarczyłaby butelka wina i coś z drobiu. A teraz, doktorze, pokażę panu coś niezwykłego...

Ze stojącego za jego plecami pudła wyjął metalową tacę pokrytą rudawym osadem. Leżało na niej kilkanaście grotów wykonanych z rozmaitych kamieni oraz kilka, co do których mógłbym przysiąc, że zostały zrobione z fragmentów kolorowego szkła - całkiem możliwe, że z rozbitych butelek po whisky. Sądząc po ostrych krawędziach, wszystkie sporządzono całkiem niedawno (autentyczne, stare przedmioty z kamienia lub szkła wulkanicznego są zawsze mocno stępione w wyniku długotrwałego przebywania w ziemi), ich fantastyczne kształty zaś - niektóre były przesadnie wąskie, inne nadmiernie szerokie albo zaopatrzone w wymyślne haczyki - wskazywały na to, że stworzono je wyłącznie na pokaz, a nie po to, by czemukolwiek służyły.

- Oto tubylcza broń, doktorze - powiedział żebrak. - Wyruszamy na jej poszukiwania, kiedy akurat nikt nie potrzebuje nas ani naszej łodzi. Jedyne w swoim rodzaju, autentyczne pamiątki z okolic Ładowiska Francuzów, gdzie, jak pan zapewne wie, można było spotkać więcej aborygenów niż gdziekolwiek na tej planecie, ponieważ dla moich praojców miejsce to było równie święte jak dla pańskich Rzym albo Boston, w dodatku zaś roiło się tu od wszelakiej zwierzyny, a woda aż kipiała od ryb, o czym opowiem panu ze szczegółami jutro, kiedy będziemy płynąć przez łąkomorze, a jeśli dopisze nam szczęście, może chłopcu uda się zademonstrować pradawne sposoby polowania i łowienia ryb, bez użycia nawet tych

delikatnych, bezcennych przedmiotów, które może pan ode mnie nabyć.

Odparłem, że nie zamierzam niczego kupować, on zaś na to:

- Radziłbym skorzystać z okazji, doktorze. Niemal identyczne znaleziska kupiło od nas muzeum w Roncevaux i wykonało z nich odlewy, by rozesłać je po całej planecie, a nawet na Sainte Croix, można więc powiedzieć, że zostały powszechnie docenione, przynajmniej w tym układzie planetarnym. Proszę spojrzeć choćby na to!

- Wziął do ręki największy grot, tak ciężki i toporny, że z powodzeniem można by posługiwać się nim jak maczugą. - Jeśli pan zechce, przymocuję do niego szpilkę, żeby można było go nosić jako broszkę. Żadna kobieta nie pozostanie obojętna na taki prezent.

Istotnie, w Roncevaux widziałem odlewy tych falsyfikatów.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

- Bardzo panu dziękuję, choć muszę przyznać, że jestem pełen podziwu dla pańskich zdolności. Nie wątpię bowiem, iż sam je pan produkuje.

- Ależ skąd! - wykrzyknął i podniósł obie ręce. - Proszę tylko spojrzeć! My, aborygeni, nie potrafimy nimi pracować!

- Przed chwilą chyba powiedział pan, że te przedmioty zostały wykonane właśnie przez aborygenów?

- Zębami - odezwał się półgłosem chłopiec. Były to pierwsze słowa, jakie padły z jego ust, nie licząc bełkotliwego zawodzenia na samym początku.

- Moje ręce nie nadają się już prawie do niczego - ciągnął jego ojciec płaczącym tonem. - Rzucą pan oskarżenie na człowieka, który z najwyższym trudem sznukuje sobie buty! Jedyne, co jeszcze potrafię, to prowadzić łódź.

- W takim razie wytwarza je pański syn - powiedziałem, natychmiast jednak pożałowałem swoich słów, ponieważ chłopiec wykrzywił twarz w bolesnym grymasie, jego ojciec zaś aż zakrakał z uciechy.

- He, he! On? Doktorze, on nadaje się tylko do tego, żeby bić się z łobuzami, którzy zresztą zawsze spuszczają mu manto, i czytać książki z biblioteki. Nie pamięta nawet, w którą stronę odkręca się pokrywkę słoika!

- W takim razie miałem wcześniej rację. Sam je pan robi. Łupanie krzemienia wymaga pewnej zręczności, nie tak wielkiej jednak jak gra na skrzypcach. Jedną ręką trzyma się dłuto, drugą młotek, cała sztuka zaś polega na tym, żeby wiedzieć, gdzie i jak mocno uderzyć.

- Można by pomyśleć, doktorze, że sam się pan tym zajmował.

- Owszem, i radziłem sobie znacznie lepiej niż pan.

- Wolni Ludzie nie używali tych rzeczy - odezwał się niespodziewanie chłopiec. - Splatali sieci z trawy i pnączy, a kiedy chcieli coś przeciąć, używali zębów.

- On ma rację - przemówił mężczyzna zupełnie innym głosem. - Ale nie wyda mnie pan, doktorze?

Odparłem, że jeśli muzeum w Roncevaux zwróci się do mnie z prośbą o wyrażenie opinii, nie będę mógł odmówić, lecz nie zamierzam sam się do nich zgłaszać, ponieważ uważam, że oszustwo, którego się dopuścił, nie jest aż tak poważne, żebym miał tracić czas na jego demaskowanie.

- Rozumie pan, musimy mieć coś, co możemy im pokazać - powiedział, a ja po raz pierwszy odniosłem wrażenie, że nie chodzi mu tylko o wyłudzenie pieniędzy. - Coś, co mogą wziąć do ręki i obejrzeć. Nie da się handlować prawdą; zawsze powtarzałem to żonie, a teraz to samo powtarzam synowi.

Kilka minut później pożegnałem się, obiecując wrócić nazajutrz rano. Wrażenie, jakie pozostało mi po spotkaniu (choć nie ulega wątpliwości, że obaj są oszustami), jest nieco lepsze, niż oczekiwałem. Wbrew temu, co mi mówiono, mężczyzna z pewnością nie jest alkoholikiem; żaden alkoholik nie zdołałby zachować trzeźwości, mając pod ręką butelkę wysokoprocentowego rumu. Z pewnością przesiaduje w tawernach głównie dlatego, że tam najłatwiej wyciągnąć pieniądze od naiwnych, pije zaś to, czym go poczęstują. Chłopiec z kolei okazał się całkiem inteligentny - oczywiście jak tylko przestał udawać imbecyla - a zielone oczy, blada cera i ciemne włosy czynią go subtelnie przystojnym.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

22 marca. Parę minut po dziesiątej ponownie spotkałem się z dwoma żebrakami, ojcem i synem. Tym razem pamiętałem, żeby wziąć ze sobą magnetofon (relacja z wczorajszej rozmowy, choć spisana natychmiast po tym, jak wróciłem do domu, opiera się wyłącznie na mojej pamięci). Zabrałem też kupioną wczoraj dubeltówkę na wypadek, gdyby na łąkomorzu udało się spotkać jakieś jadalne wodne ptactwo. Co prawda ma trochę zbyt mały kaliber, mogłem jednak wybierać tylko między nią a niezbyt solidnie wykonanymi jednostrzałówkami nabywanymi przez tutejszych farmerów. Zakupu dokonałem za namową mego gospodarza, który obiecał przyrządzić wszystko, co zdołam ustrzelić, w zamian za połowę mięsa.

(Wybiegając nieco naprzód: dopisało mi szczęście i upolowałem trzy kury trzcinowe, zasięgnąwszy uprzednio opinii żebraka co do jadalności tego gatunku.

Kura trzcinowa jest nieco mniejsza od gęsi i ma piękne zielone upierzenie, prawie jak

papuga; żebrak twierdzi, że ptaki te stanowiły przysmak tubylców. Po dzisiejszej kolacji wierzę mu bez zastrzeżeń, choć nie ulega dla mnie wątpliwości, iż wie na ten temat nie więcej ode mnie).

Kiedy zjawiłem się na miejscu, po łodzi nie było ani śladu. Chłopiec, bez koszuli i na bosaka, stał oparty o ścianę pobliskiego budynku. Poinformował mnie, że ojciec przygotowuje do drogi nasz środek transportu, a następnie uwolnił mnie od ciężaru kosza z prowiantem przygotowanym przez mego gospodarza. Gdybym mu pozwolił, zaopiekowałby się także magnetofonem i dubeltówką.

Poprowadził mnie wzdłuż nabrzeża aż do niedużej pływającej platformy, przy której stała przycumowana znana mi już łódka z jego ojcem na pokładzie. Żebrak, w błękitnej koszuli i z zawiązaną na szyi spłowiałą czerwoną chustą, natychmiast zażądał całej uzgodnionej wczoraj sumy, po krótkiej dyskusji zgodził się Jednak przyjąć teraz połowę, drugą zaś po zakończeniu wyprawy. Jak tylko to uzgodniliśmy, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności wszedłem do łodzi, chłopiec wskoczył za mną i wyruszyliśmy w drogę.

Przez co najmniej pięć minut lawirowaliśmy wśród statków w porcie usytuowanym w szerokim zakolu rzeki, a potem, między kadłubami dwóch ogromnych czteromasztowców, ujrzałem, jakbym patrzył przez skalną szczelinę na nieskończone zielone równiny, dzikie łakomorza Sainte Anne, przed przybyciem pierwszych gwiazdolotów z Ziemi stanowiące, jak słusznie mówił mój przewodnik, raj dla tubylców. Ojciec i syn mocniej pociągnęli za wiosła, z pokładu jednego z żaglowców jakiś marynarz obrzucił nas od niechcienia paroma wyzwiskami, przemknęliśmy między dwoma kadłubami i wypłynęliśmy na otwarte wody Tempus, wezbrane trwającym wciąż przyplływem.

- Do Oceanu mamy stąd już tylko pięć kilometrów - poinformował mnie żebrak - więc gdyby pan doktor wyraził chęć...

Umilkł, ponieważ jego uwagę przykuło coś za moimi plecami.

Odwróciłem się, lecz w pierwszej chwili niczego nie zobaczyłem.

- Tuż obok masztu tego statku po lewej - podpowiedział mi chłopiec półgłosem.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Istotnie, po niebie sunął srebrzysty obiekt, z tej odległości nie większy od porwanego wiatrem liścia. Trzy minuty później był już nad nami - przypominający kształtem rekina wojskowy pojazd długości co najmniej półtorej mili. W rzeczywistości wcale nie był srebrny, lecz miał barwę noża, na burcie zaś widniały maleńkie kropki, które mogły być okienkami obserwacyjnymi lub wylotami luf laserów.

- Proszę nie machać! - rzucił żebrak, a następnie wyszeptał do chłopca coś, z czego zrozumiałem tylko początek i koniec: - Faites attention... Français!

Przypuszczalnie miało to być coś w rodzaju: „Pamiętaj, że jesteś Francuzem”.

Odpowiedzi nie dosłyszałem, ale zobaczyłem, jak chłopiec kręci głową.

Najpierw, przecisnąwszy się przez jedną z wijących się wężowo gardzieli

Tempus, odwiedziliśmy Ocean, który, jeśli wierzyć memu przewodnikowi, również był jedną ze świętości tubylczych mieszkańców planety. Mimo sporych fal, nasza niewielka łódka sprawowała się nadspodziewanie dobrze. Wylądowaliśmy na piaszczystej plaży jakąś milę na północ od najdalej wysuniętego w tym kierunku ujścia rzeki.

- To tutaj - oznajmił żebrak i pokazał mi nieduży kamienny obelisk z napisem

informującym po francusku, że pojazd kosmiczny wiozący pierwszą wyprawę badawczą na Sainte Anne wodował na Oceanie w odległości dwudziestu pięciu kilometrów od tego miejsca i że właśnie tu do brzegu przybiły łodzie z odkrywcami. Chyba właśnie tam poczułem jak nigdy dotąd, że jestem na obcej planecie; muszelki, których mnóstwo leżało na piasku, wyglądały jakoś inaczej, tak że nawet gdybym którąś z nich znalazł na ziemskiej plaży, domyśliłbym się od razu, że pochodzi z bardzo daleka.

- Tutaj wylądowali - powiedział mój przewodnik. - Pierwsi Francuzi. Powiada pan, doktorze, że wielu nie wierzy w to, że tu kiedykolwiek żyli jacyś tubylcy, ale kiedy ekspedycja wyszła na brzeg, jej członkowie zobaczyli...

- Jednego z mieszkańców łąkomorza - wpadł mu w słowo syn.

- Unosił się twarzą w dół na falach Oceanu. Zachłostano go na śmierć biczami z powplatanyimi małymi muszelkami - w ten sposób składano ofiary z ludzi. Znaleźli go, a wtedy zjawił się mój wielki przodek, zwany niekiedy Wschodnim Wiatrem, by zawrzeć z nimi pokój. Nie wiedział pan o tym, ponieważ dziennik pokładowy tego statku spłonął podczas pożaru Saint-Dizier, ale ja rozmawiałem z bardzo starym człowiekiem, który przed kilkudziesięciu laty znał osobiście jednego z tych, którzy tu wtedy byli.

Zwiedziliśmy również położoną niedaleko obszerną jamę, zwaną teraz Klepsydrą, w której tubylcy podobno więzili współziomków. Chłopiec wskoczył do niej, aby zademonstrować, że o własnych siłach nikt nie zdołałby się stamtąd wydostać, ja jednak uznałem, że przesadza, i dołączyłem do niego. Skończyło się tym, że jego ojciec musiał nas obu wyciągnąć za pomocą liny, którą specjalnie w tym celu zabrał z łódki. Ściany wcale nie są strome, lecz nie sposób się na nie wspiąć ze

względu na usypujący się piasek.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Po wizycie w Klepsydrze wróciliśmy do łodzi, po czym wpłynęliśmy z powrotem na rzekę, ale już przez inne ujście, i znaleźliśmy się na właściwym łąkomorzu. Ojciec i syn odłożyli wiosła, wzięli zaś do rąk długie tyki, którymi odpychali się od dna, lawirując między kępami trzcin. Tam właśnie ustrzeliłem trzy ptaki; chłopiec popłynął po nie... chciałem napisać „jak wyżeł”, lecz prawda jest taka, że radził sobie w wodzie znacznie lepiej od jakiegokolwiek psa myśliwskiego. Jeżeli już miałbym porównać go z jakimś zwierzęciem, to tylko z foką. Zobaczywszy to, byłem gotów bez zastrzeżeń uwierzyć jego ojcu, twierdzącemu, jakoby chłopak chwycił niekiedy ptaki, podpływając do nich pod wodą i łapiąc je za nogi. Chłopiec wspomniał mimochodem, iż podczas odpływu doskonale łowi się tu ryby, jego ojciec zaś dodał:

- Ale nie sposób ich sprzedać, doktorze. Prawie każdy łowi dla siebie.

- Nie na sprzedaż, tylko do jedzenia - wymamrotał syn.

Tubylcza świątynia (albo obserwatorium) padła ofiarą pierwszych osadników

potrzebujących budulca do wznoszenia domostw; zostało zaledwie kilka

spróchniałych drzew, ale na podstawie pozostałości po tych, które zostały ścięte,

stosunkowo łatwo odtworzyć wygląd tego miejsca w czasach sprzed kolonizacji.

Drzewa, w liczbie czterystu dwóch (tyle dni liczy tutejszy rok), rosły w odległości

około stu dziesięciu stóp od siebie i tworzyły okrąg o średnicy mniej więcej trzech

mil. Pnie większości z nich miały ponad dwanaście stóp średnicy, więc w okresie,

kiedy rozpoczęto wyrąb, drzewa zapewne stykały się gałęziami, w związku z czym z

oddali wyglądały jak solidna ściana - z wyjątkiem części znajdującej się dokładnie

naprzeciwko obserwatora. Wnętrze okręgu było zupełnie puste. Jestem skłonny przyjąć, że aborygeni używali drzew do mierzenia upływu czasu (na przykład codziennie zawieszając na kolejnym jakiś znak albo symbol), wątpię jednak, by przeprowadzali bardziej skomplikowane obserwacje astronomiczne. Nie ulega natomiast dla mnie wątpliwości, iż twierdzenia niektórych ziemskich uczonych, jakoby ta „świątynia” stanowiła twór natury, są absurdalne. Wszystko wskazuje na to, że została starannie zaplanowana co najmniej sto lat przed lądowaniem pierwszego francuskiego statku. Na podstawie dokładnych oględzin resztek czterech pni mogę stwierdzić z całą odpowiedzialnością, iż średni wiek tych drzew wynosił sto dwadzieścia siedem miejscowych lat.

Wykonałem szkic terenu, zaznaczając usytuowanie każdego pnia oraz jego przybliżoną wielkość. Gnią w tak szybkim tempie, że najdalej za dziesięć lat będzie to już niemożliwe.

Kiedy wróciłem do łodzi, co prawda zaczął się odpływ, ale popłynęliśmy jeszcze kilka mil w górę rzeki, by obejrzeć wielki głaz - jeden z nielicznych na łąkomorzu - który, według mego przewodnika, miał niegdyś kształt siedzącej ludzkiej postaci.

Wśród mieszkańców Ładowiska Francuzów i La Fange popularny jest przesąd, iż wszelkie bezecne lub perwersyjne czyny popełnione na kolanach posągu są niewidoczne dla Boga. Podobno przesąd ten wywodzi się jeszcze z okresu przedkolonialnego, choć chłopiec stanowczo temu zaprzecza. Głaz jest już tak zniszczony upływem czasu, że trudno dopatrzeć się w nim podobieństwa do czegokolwiek.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

W drodze powrotnej do miasta rozmyślałem o plotkach dotyczących jakiejś świętej grotki położonej sto albo więcej mil w górę rzeki. Największa klęska uczonych badających tę planetę - przynajmniej do tej pory - polega na tym, że choć nie ulega już żadnej wątpliwości, iż Sainte Anne zamieszkiwała niegdyś tubylcza ludność, a może gdzieś w głębi lądu do dziś przetrwały jej niedobitki, to nie udało się odnaleźć, jednoznacznie zidentyfikować i opisać ani jednej czaszki, ba, ani jednej kości! Dla kogoś takiego jak ja, wychowanego na opisach znalezisk z Windmill Hill Cave i Les Eyzies, w grotach Perigord oraz jaskiniach Altamiry i Lacaux, święta jaskinia aborygenów z Sainte Anne stanowi pokusę nie do odparcia. Bagno, może z wyjątkiem jednego przypadku na dziesięć tysięcy, całkowicie niszczy szkielet każdego stworzenia, które tu umiera, jaskinia natomiast (również z wyjątkiem jednego przypadku na dziesięć tysięcy) zachowa go w doskonałym stanie. Dlaczego tutejsi aborygeni nie mieliby grzebać w niej swoich zmarłych, tak jak czyniły niemal wszystkie prymitywne ludy na Ziemi? Możliwe nawet, iż będą tam jakieś malowidła, choć tubylcy chyba nie nauczyli się wytwarzać narzędzi. Pisząc te słowa, planuję już wyprawę w poszukiwaniu tej grotki, usytuowanej podobno w wysokim skalistym brzegu Tempus. Będzie potrzebna łódź (albo dwie) na tyle lekka, żeby dało się ją bez trudu przenieść lądem podczas pokonywania wodospadów i przełomów, a do tego wyposażona w silnik o mocy wystarczającej do podjęcia skutecznej walki z prądem. W ekspedycji powinno wziąć udział tylu ludzi, żeby jeden mógł pozostać przy łodzi (lub łodziach), co najmniej trzech zaś (dla bezpieczeństwa) weszłoby do jaskini. Oprócz mnie jeszcze jeden uczestnik musi być na tyle wykształcony, żeby móc ocenić wartość ewentualnych odkryć, a dwóch powinno doskonale znać tereny, na które byśmy się zapuścili. Nie mam pojęcia, gdzie szukać takich ludzi ani (jeżeli ich

znajdę) czy zdołam im zapłacić, niemniej jednak od tej pory będę miał to na uwadze.

Niewiele brakowało, a zapomniałbym wspomnieć o rozmowie, którą przeprowadziłem z żebrakiem i jego synem w drodze powrotnej do Ładowiska Francuzów. Naturalnie ze względu na rojenia seniora dotyczące jego pochodzenia wszelkie informacje, jakie uzyskałem od tego człowieka, należy traktować ze sporą dozą podejrzliwości, niemniej jednak rozmowa była interesująca i cieszę się, że ją nagrałem.

R.T. : Skoro już mowa o aborygenach, doktorze, to mam nadzieję, że opowie pan swoim znajomym, którzy chcieliby tu przylecieć, jak bardzo był pan zadowolony z naszych usług.

Ja: Oczywiście. Dużo zarabiacie w ten sposób?

R.T. : Na pewno nie tak dużo, jak byśmy chcieli. Prawdę mówiąc, doktorze, dawniej było lepiej: rosło więcej drzew, a i posąg prezentował się bardziej okazale. Moja rodzina... Nie zawsze żyliśmy w takich warunkach, jakie pan wczoraj widział. I teraz nie zawsze tak żyjemy, szczególnie zimą, kiedy od gór wieje wilczy wiatr.

V.R.T. : Kiedy była z nami moja matka, niekiedy mieszkaliśmy nawet w domu.

Ja: Trenchard, czy pańska żona nie żyje?

V.R.T. : Ona nie umarła.

R.T. : Co ty możesz wiedzieć, imbecile? Widziałeś ją ostatnio?

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

V.R.T. : Monsieur, kiedy byłem mały, latem szedłem z matką w góry. Żyliśmy tam jak Wolni Ludzie, a do miasta wracaliśmy dopiero wtedy, kiedy zrobiło się dla mnie zbyt zimno. Moja matka opowiadała, że każdej zimy umiera wiele dzieci

Wolnych Ludzi, ale ona nie chce, żebym umarł, i dlatego wracaliśmy.

R.T. : Była kompletnie bezużyteczną kobietą, doktorze. Ha! Nawet nie potrafiła gotować. Była... (*spluwa za burtę*)

Chłopiec zaczerwienił się i przez kilka minut w łodzi panowało milczenie.

Wreszcie zapytałem go, czy właśnie wtedy, podczas pobytów w górach, nauczył się tak dobrze pływać.

V.R.T. : Tak, tam, czyli nigdzie. Pływałem z matką w rzece.

R.T. : My, aborygeni, wszyscy dobrze radzimy sobie w wodzie. Ja też całkiem nieźle pływałem, kiedy jeszcze byłem młody.

Roześmiałem się na to i odparłem, że co prawda wiem, iż mam do czynienia z tubylcem, ale będę w pełni usatysfakcjonowany dopiero wtedy, kiedy odnajdę przynajmniej jeszcze jednego. Ponieważ działo się to już po naszej rozmowie dotyczącej kamiennych i szklanych grotów, zdawał sobie sprawę, że go przejrzałem, więc tylko uśmiechnął się szeroko (prezentując liczne braki w uzębieniu) i powiedział, że w takim razie już osiągnąłem częściowy sukces, ponieważ jego syn jest półkrwi aborygenem.

V.R.T. : Pan w nic nie wierzy, doktorze, ale to prawda. Z kolei to, co mówi o mojej matce, która była jego żoną, jest nieprawdą. Była aktorką, do tego bardzo dobrą.

Ja: Czy to ona nauczyła was udawać tubylców i wyłudzać pieniądze od ludzi?

Przyznam, że kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, prawie uwierzyłem, że jesteś niedorozwinięty umysłowo.

R.T. : (*śmieje się*) Ja sam czasem w to wierzę.

V.R.T. : Nauczyła mnie wielu rzeczy, w tym również tego, o czym pan mówił.

R.T.: Doktorze, skłamałem ją przed chwilą za to, że ode mnie odeszła, choć w gruncie rzeczy to sam ją przegnałem, ale mój syn ma rację: była dobrą aktorką. Razem, ja i ona, odgrywaliśmy przedstawienia. Nie uwierzy pan, jakie cuda potrafiła wyczyniać! Na przykład umiała rozmawiać z mężczyzną w taki sposób, że ten dałby sobie głowę uciąć, że ma do czynienia z dziewczynką, jeszcze dziewicą, osóbką tuż, tuż po szkole! Jeśli jednak jej się nie spodobał, zmieniała się w starą kobietę, a wszystko dzięki panowaniu nad głosem i mięśniami twarzy oraz sposobowi, w jaki się poruszała i trzymała ręce...

V.R.T. : Robiła to najlepiej na świecie!

R.T. : Kiedy się z nią żeniłem, była piękną kobietą. Może pan zapomnieć o tym, co wcześniej mówiłem! Mój syn jest z prawego łóża. Ślubu udzielił nam ksiądz w kościele St Madeleine. Wtedy naprawdę była piękna, wręcz wspaniała, (*puszcza jedno wiosło i całuje czubki palców*) I to nie dzięki swoim talentom aktorskim. Ale później, we śnie, nic nie mogła poradzić na to, że wygląda na swoje lata. Wiek

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

kobiety można ocenić tylko podczas jej snu. Jest pan żonaty? W takim razie proszę to sobie zapamiętać.

Ja (do chłopca): Skoro nauczyła cię, jak powinieneś się zachowywać, żeby uchodzić za tubylca, z pewnością sama widziała przynajmniej paru?

V.R.T. : O tak!

R.T. : Sam pan rozumie, doktorze: aborygeni muszą się ukrywać.

Ja: Trenchard, czy mam rozumieć, że pan naprawdę wierzy, że jacyś tubylcy dożyli naszych czasów?

R.T. : A czemu mieliby nie dożyć? Tam, dalej niż nigdzie, rozciągają się ogromne tereny, na które nikt nie zagląda. Jak dawniej, są tam zwierzęta i mnóstwo ryb. Co prawda aborygeni nie mogą już odwiedzać swoich świętych miejsc na łąkomorzu, ale za to mają inne, w głębi lądu.

V.R.T. : Ludzie z bagien nigdy nie byli Wolnymi Ludźmi z gór. Te miejsca nigdy nie były święte dla Wolnych Ludzi.

R.T. : Być może, być może... Mówimy o nich po prostu „aborigeni” albo „tubylcy”, ale przecież to mogły być rozmaite ludy. Teraz pyta pan, gdzie są, ale niech pan sam powie: czy postąpiliby rozważnie, ujawniając swoje kryjówki? Niegdyś należała do nich cała Sainte Anne. Dziś taki czy inny farmer myśli sobie: „Przypuśćmy, że jednak są ludźmi, tak jak ja. Ten Dupont jest całkiem dobrym prawnikiem. Może się zdarzyć, że go wynajmą, a on pójdzie do sędziego, który nienawidzi Francuzów, i powie mu: «Ten gość, którego nazywacie aborygenem, nie ma teraz niczego, ale farma Augiera jest na jego ziemi. Proszę wezwać Augiera, żeby pokazał umowę kupna»”. Jak pan myśli, co zrobi taki farmer, kiedy na swojej ziemi spotka aborygena? Opowie komuś o tym, czy sięgnie po strzelbę?

A więc do tego się wszystko sprowadza. Jeśli w ogóle jacyś tubylcy zostali przy życiu, ukrywają się ze strachu i trudno im się dziwić, a wielu ludzi, którzy albo ich widzieli, albo wiedzą, gdzie ich szukać, nikomu o tym nie powie, nawet gdyby zeznawali pod przysięgą.

Rzekomo jest ich wielu, ale przychodzi mi na myśl człowiek, który mówił, że to, co widział, chwilami przypominało drzewo, a chwilami człowieka. Relacje świadków są w większości sprzeczne. Nawet podczas niezbyt wielu rozmów, jakie przeprowadziłem, nietrudno było dojść do wniosku, że niekiedy całkowicie odmienne

relacje dotyczą tego samego zdarzenia, a w raportach pierwszych badaczy - przynajmniej tych, które ocalały - można znaleźć jeszcze więcej nieścisłości. Z pewnością te najbardziej fantastyczne nie mają wiele wspólnego z prawdą, jednak nawet po ich odrzuceniu pozostaje mnóstwo doniesień o spotkaniach z przedstawicielami tubylczej rasy tak bardzo podobnymi do ludzi, że mogliby uchodzić za potomków poprzedniej fali kolonizacji. Podobnymi do tego stopnia, iż stary Trenchard może bez trudu wmawiać naiwnym, że jest jednym z nielicznych ocalałych aborygenów. Trzeba przyznać, że na planecie, na której żyją rośliny, ptaki i zwierzęta uderzająco podobne do ziemskich, nie sposób wykluczyć powstania formy życia niemal identycznej z człowiekiem; świadczyłoby to tylko o tym, że ludzka budowa ciała jest optymalna dla takiej biosfery.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Oficer ponownie odłożył notes na biurko i potarł oczy. Kiedy podniósł się z krzesła, od strony drzwi dobiegł przyciszony głos niewolnika:

- Maitre...

- O co chodzi?

- Cassilla... Czy maitre nadal życzy sobie...

Wystarczyło jedno spojrzenie oficera, by umilkł i pospieszenie wyszedł. Wrócił po kilku sekundach z dziewczyną, którą bezceremonialnie wepchnął do pokoju. Była wysoka, szczupła i nadzwyczaj zgrabna, o długiej smukłej szyi i okrągłej głowie.

Miała na sobie stanowczo za małą roboczą sukienkę z farbowanej bawełny i (oficer doskonale o tym wiedział) nic więcej. Na jej twarzy malowało się zmęczenie.

- Wejdz - powiedział oficer. - Siadaj. Jeśli chcesz, możesz napić się wina.

- Maitre...

- Tak?

- Jest już bardzo późno. Muszę wstać godzinę przed pobudką dla żołnierzy, żeby pomóc przy śniadaniu...

Oficer jej nie słuchał, ponieważ był zajęty zakładaniem na magnetofon jednej ze szpul walających się na biurku.

- Służba - powiedział krótko. - Zabawimy się, a jednocześnie posłuchamy. Zgaś lampę, Cassillo.

P: Czy wie pan, dlaczego pana tu przyprowadzono?

O: Do tego więzienia?

P: Doskonale pan wie, co pan zrobił. Mam na myśli to przesłuchanie.

O: Nawet nie wiem, jakie postawiono mi zarzuty.

P: Proszę nie myśleć, że uda się panu zamydlić nam oczy. Po co przybył pan na Sainte Croix?

O: Jestem antropologiem. Chciałem omówić z kolegami po fachu odkrycia, jakich dokonałem na Sainte Anne.

P: Czyżby na Sainte Anne nie było antropologów?

O: Są, ale marni.

P: Wydaje się panu, że wie pan, czego chcemy, prawda? Uważa się pan za spryciarza. Myśli pan, że ze względu na aktualną sytuację polityczną naszego sąsiada demonstrowanie nieprzychylnego nastawienia zapewni panu wolność?

O: Siedzę w waszym więzieniu wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że nic, co powiem, nie zapewni mi wolności.

P: Czyżby?

O: Co pan pisze?

P: Nie pańska sprawa. Skoro pan tak uważa, czemu odpowiada pan na moje pytania?

O: Równie dobrze mógłbym zapytać, po co je pan zadaje, skoro i tak nie zamierzacie mnie nigdy uwolnić.

P: Zapomina pan, że mógłbym odpowiedzieć: „Przecież może pan mieć współników!” Papierosa?

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

O: Myślałem, że już tego się nie robi.

P: Wcale pana nie drażnię. Proszę, oto papierośnica. Zapytałem w dobrej wierze.

O: W takim razie chętnie. Dziękuję.

P: Sam go panu przypalę, ale radzę nie zaciągać się zbyt głęboko. Bądź co bądź, dawno pan nie palił.

O: Dziękuję, będę ostrożny.

P: Pan zawsze zachowuje ostrożność, prawda?

O: Nie rozumiem, co ma pan na myśli.

P: Zawsze wydawało mi się, że to cecha uczonych.

O: Istotnie, gromadząc dane zachowuję ostrożność.

P: A mimo to wysunął pan pochopne wnioski dotyczące naszych stosunków z rządem Sainte Anne.

O: Wcale nie.

P: Przybył pan do nas stamtąd niespełna rok temu i uważa pan, że wojna jest nieunikniona.

O: Nie.

P: Sądzi pan również, że ich zwycięstwo będzie oznaczało dla pana wolność.

O: Myślicie, że jestem szpiegiem.

P: Jest pan uczonym... a przynajmniej chwilowo założę, że pan nim jest. Zgoda?

O: Przywykłem do takiego założenia.

P: Przejrzałem pańskie dokumenty oraz korespondencję i stwierdziłem, że przed pańskim nazwiskiem występują następujące skróty i tytuły: polski książę, kawaler Krzyża Wielkiego, rcpt., QED., Wielki Mistrz Bractwa Sztyletowego oraz ROGUE.

Jak na to wszystko, jest pan zaskakująco młody.

O: Najwidoczniej uznano, że wysyłanie z Ziemi kogoś starego miałoby się z celem.

P: Proponuję, aby pański młody i giętki umysł naukowca rozpatrzył następującą politologiczną hipotezę: morderca może się okazać znakomitym szpiegiem, szpieg zaś może znaleźć wiele okazji do popełnienia morderstw. Czy dostrzega pan w tym jakąś sprzeczność?

O: Jestem antropologiem, nie politologiem.

P: Powtarza pan to bez przerwy, ale przecież antropolog zajmuje się badaniem społecznych zachowań ludów prymitywnych. Czy tam nikt nikogo nie szpieguje?

O: Jeśli jakieś prymitywne plemię chce udowodnić swą odwagę, po prostu wyrusza na wojnę. Właśnie dlatego stoją na z góry straconych pozycjach.

P: Marnuje pan mój czas.

O: Czy mogę dostać jeszcze jednego papierosa?

P: Już pan wypalił? Oczywiście. I ogień.

O: Dziękuję.

P: Kogo zamierzał pan zamordować? Z pewnością nie człowieka, którego pan zabił. To była konieczność chwili. Zamierzał pan zgładzić kogoś dobrze strzeżonego, do kogo trudno się zbliżyć.

O: Czyli na przykład kogo?

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

P: Już panu powiedziałem, że nie jestem tu po to, by odpowiadać na pańskie pytania. Fakt udzielenia takiej odpowiedzi sugerowałby, iż liczymy się z mało realną możliwością, że pańskie zapewnienia o niewinności są prawdziwe, a o czymś takim nie może być mowy. To my jesteśmy źródłem prawdy, nie pan. Stworzyliśmy najdoskonalszy system rządu w historii ludzkości, ponieważ tylko my uznaliśmy za podstawową zasadę to, o czym uczą wszyscy mędrcy i co ignorują wszystkie rządy: prawda to potęga. W związku z tym rządymy tak, jak nie rządziła żadna władza w historii. Wielokrotnie pytał mnie pan, jaką popełnił zbrodnię i dlaczego go trzymamy w zamknięciu; otóż czynimy to, ponieważ wiemy, że pan kłamie. Czy rozumie pan, co do niego mówię?

O: W chwili mego aresztowania pewna dziewczyna, niejaka mademoiselle Etienne, otrzymała przepustkę uprawniającą ją do odwiedzania mnie w ściśle określonych porach. Twierdzi pan, że dotrzymujecie słowa, ale ani razu jej do mnie nie przyprowadziliście.

P: Ponieważ się nie zgłosiła.

O: Jest pan tego pewien?

P: Tak! Naprawdę pan nie rozumie? To właśnie nasza tajemnica: prawda.

Powiada pan, że dano jej przepustkę, co zresztą czyni się rutynowo w takich

okolicznościach. Dzięki temu wiem, że skoro od tej pory jej pan nie widział, to znaczy, że nie przyszła pana odwiedzić. Naturalnie zdaje pan sobie sprawę, że jak tylko uświadomiliśmy sobie wagę ciężących na panu zarzutów oraz zapoznaliśmy się z pańskim niewzruszonym uporem, ostrzeżliśmy ją o nieprzyjemnych konsekwencjach, jakie mogłaby spowodować jej wizyta. Niemniej jednak gdyby przyszła, na pewno by trafiła do pana.

Jesteśmy jedynym rządem na świecie, któremu każdy obywatel może wierzyć bez zastrzeżeń, i dlatego wymagamy w zamian całkowitego zaufania, pełnego posłuszeństwa i głębokiego szacunku. Jeżeli ktoś usłyszy od nas: „Zrób to i to, a spotka cię taka a taka nagroda”, nie zwątpi nawet przez ułamek sekundy, że istotnie zostanie nagrodzony. Jeżeli ogłosimy, że wioski, których mieszkańcy nie stosują się do jakichś rozporządzeń, zostaną doszczętnie spalone, nikt nie wątpi, że tak właśnie się stanie. Mówimy niewiele, lecz każde nasze słowo ma wagę...

- Co się stało? - zapytała dziewczyna.

- Taśma się zerwała - odparł oficer. - Nic nie szkodzi, założę następną. Pamiętaj tylko, co kazałem ci robić.

- Tak, maitre.

P: Proszę siadać. Pan jest doktor Marsch?

O: Tak.

P: Ja nazywam się Constant. Jeśli się nie mylę, całkiem niedawno przybył pan z naszej kolebki, zatrzymując się po drodze na Sainte Anne?

O: Przyleciałem z Sainte Anne rok i kilka miesięcy temu.

P: Otóż to.

O: Czy mogę wiedzieć, dlaczego zostałem aresztowany?

Piąta głowa Cerbera

P: Jeszcze nie przysłała na to pora. Jak na razie ustaliliśmy tylko pańskie nazwisko, a przynajmniej to, pod jakim pan podróżował. Gdzie pan się urodził, doktorze?

O: Na Ziemi, w Nowym Jorku.

P: Potrafi pan to udowodnić?

O: Zabraliście mi wszystkie dokumenty.

P: A więc nie może pan.

O: Dowodem są moje dokumenty. Tutejszy uniwersytet może potwierdzić moją tożsamość.

P: Już się z nim kontaktowaliśmy. Niestety, nie wolno mi udzielać informacji dotyczących równolegle prowadzonych śledztw. Powiem panu tylko tyle, doktorze, że nie powinien pan oczekiwać pomocy większej niż ta, jaką otrzymał pan do tej pory. Rozmawialiśmy z władzami uniwersytetu, a mimo to jest pan nadal tam, gdzie był do tej pory. Jak dawno temu opuścił pan Ziemię?

O: Według czasu newtonowskiego?

P: Zapytam inaczej: ile czasu upłynęło od chwili, kiedy - zgodnie z tym, co pan twierdzi - przybył pan na Sainte Anne?

O: Około pięciu lat.

P: Lat Sainte Croix?

O: Lat Sainte Anne.

P: To praktycznie bez różnicy, ale żeby uniknąć nieporozumień, od tej pory będziemy się posługiwać latami Sainte Croix. Proszę opisać, co pan robił

bezpośrednio po dotarciu na Sainte Anne.

O: Wodowaliśmy w Roncevaux, a ściśle biorąc na morzu, w odległości około pięćdziesięciu kilometrów od Roncevaux. Następnie przyholowano nas do portu, gdzie przeszedłem odprawę celną.

P: Proszę mówić dalej.

O: Zaraz po odprawie zostałem przesłuchany przez żandarmerię. Była to zwykła formalność i o ile pamiętam, trwała najwyżej dziesięć minut. Jak tylko wręczono mi kartę gościa, zameldowałem się w hotelu...

P: Nazwa.

O: Niech się zastanowię... Już wiem: Splendide.

P: Proszę mówić dalej.

O: Potem odwiedziłem uniwersytet i sąsiadujące z nim muzeum. Na tamtejszym uniwersytecie nie ma wydziału antropologii; ten brak usiłuje nadrobić wydział historii naturalnej, ale bez większego powodzenia. Jeśli natomiast chodzi o antropologiczną ekspozycję w muzeum, to choć są z niej bardzo dumni, stanowi przedziwną mieszalinę autentycznych informacji, falsyfikatów oraz wyobraźni.

Rzecz jasna starałem się zachowywać jak najuprzejmiej, bo przecież zależało mi na ich współpracy. Czy mogę spytać, dlaczego ten człowiek wyszedł z pokoju?

P: Ponieważ jest idiotą. Potem opuścił pan Roncevaux?

O: Tak.

P: W jaki sposób?

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

O: Pociągiem. Pojechałem do Lądowiska Francuzów, które leży również na

wybrzeżu, około pięciuset kilometrów na północny zachód od Roncevaux. Równie łatwo, a nawet łatwiej dostałbym się tam statkiem, chciałem jednak obejrzeć kraj, a poza tym niekiedy dokucza mi choroba morska. Swoje badania rozpocząłem od Lądowiska Francuzów dlatego, że choć tak niewiele wiemy o tubylcach z Sainte Anne, to jednak wszystko wskazuje na to, iż właśnie tam, na łąkomorzach żyło ich najwięcej.

P: Słyszałem, że to miasto otoczone ze wszystkich stron bagnami.

O: Doprawdy, trudno nawet nazwać je miastem. Dopiero jakieś dwadzieścia kilometrów na południe teren wznosi się na tyle, że można by było uprawiać ziemię. Lądowisko Francuzów istnieje wyłącznie dzięki portowi, z którego korzystają farmerzy i hodowcy bydła.

P: Czy dużo czasu spędził pan w tamtej okolicy?

O: Nie, wyruszyłem w górę rzeki. Chociaż tam też jest wysoko, nie ma tak wielu osadników.

P: To dość dziwne, bo przecież mogliby spławiać towary rzeką.

O: Dopóki rzeka płynie przez łąkomorze, jest płytka i aż roi się na niej od mielizn. Pogłębiony kanał doprowadzono od strony morza tylko do Lądowiska Francuzów. Z kolei w górnym biegu prąd wody jest wyjątkowo silny i pełno tam wodospadów.

P: Ma pan znakomitą pamięć topograficzną, doktorze. Między innymi to właśnie chciałem sprawdzić, zadając panu te pytania. Z pewnością równie dużo mógłby mi pan opowiedzieć o Port-Mimizon.

O: Dla antropologa najistotniejsza jest wiedza o tym, w jaki sposób dana społeczność utrzymuje się przy życiu. Na przykład kultura rybacka będzie zupełnie

inna od myśliwskiej, obie zaś będą się znacznie różniły od rolniczej. Po pewnym czasie człowiek odruchowo zaczyna zwracać uwagę na te sprawy.

P: To z pewnością bardzo użyteczny odruch; mądry generał nie zawahałby się wysłać pana w charakterze zwiadowcy. A teraz niech mi...

P: Proszę.

P: Ach! Czy wie pan, doktorze, co właśnie przyniósł mój kolega?

O: Nie, bo i skąd?

P: Materiały dotyczące hotelu Splendide. Chciał, żebym pana dokładnie przepytał, ponieważ nie przyszło mu do głowy, że wszelkie niedokładności i luki w pańskiej pamięci da się wytłumaczyć upływem czasu, i że mógł tam mieszkać zarówno szpieg, jak i uczony. Niech mu jednak będzie: zabawimy się przez chwilę. Czy pamięta pan na przykład, jak miał na imię chłopiec hotelowy?

O: Nie, ale zapamiętałem coś innego.

P: Mianowicie?

O: Ze był wolny. Zwróciło to moją uwagę, ponieważ tutaj większość służących to niewolnicy.

P: A więc nie jest pan zwykłym szpiegiem, lecz szpiegiem umotywowanym ideologicznie! Zgadza się, doktorze?

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

O: Oczywiście, że nie jestem szpiegiem, lecz pochodzę z Ziemi. Jeśli w ogóle jestem umotywowany przez jakąkolwiek ideologię, to właśnie przez ziemską.

P: Doktorze, nieprzypadkowo Sainte Croix i Sainte Anne nazywa się planetami bliźniaczymi. Określenie to oznacza dużo więcej niż tylko to, że obracają się wokół

tego samego punktu. Obie pozostawały nieodkryte przez wiele dziesięcioleci, podczas których kolonizowano światy położone znacznie dalej od Ziemi. Obie odkryli i zasiedlili Francuzi...

O: ...którzy przegrali wojnę.

P: Tak jest. Na tym jednak kończą się podobieństwa, a zaczynają różnice. Czy wie pan, dlaczego tutaj, na Sainte Croix, aż roi się od niewolników, podczas gdy na Sainte Anne nie znajdzie pan ani jednego?

O: Nie mam pojęcia.

P: Kiedy walki dobiegły końca, tutejszy dowódca powziął (na nasze szczęście) decyzję, która, jak się okazało, miała ogromne konsekwencje. Słuszniej chyba będzie powiedzieć, iż powziął dwie takie decyzje. Po pierwsze, polecił, żeby wszyscy Francuzi, niezależnie od płci, pracowali przy odbudowie ze zniszczeń wojennych, ale zezwolił również na wykupienie się od tego obowiązku, ustalając cenę na tyle niską, żeby prawie wszystkich było na nią stać.

O: To bardzo szlachetne z jego strony.

P: Wcale nie. Cena została skalkulowana na takim poziomie, żeby zapewnić maksymalny zysk. Bądź co bądź, bankier wraz z rodziną mogą nosić worki z cementem, ale ile jest warta ich praca? Niewiele. Po drugie, rozkazał, aby zachować ciągłość władzy cywilnej na wszystkich szczeblach, z wyjątkiem centralnego rządu planety. Oznaczało to, że w wielu prowincjach, miastach i osadach jeszcze przez wiele lat po wojnie rządzili francuscy gubernatorzy, burmistrzowie i wójtowie.

O: Wiem. Latem ubiegłego roku oglądałem sztukę teatralną na ten temat.

P: W parku? Ja też. To były tylko dzieci, ale trzeba przyznać, że czarujące. Ani pan, doktorze, ani ci młodzi aktorzy nie zdawaliście sobie sprawy, iż przesłanie tego

spektaklu sprowadzało się do tego, że pomimo przegranej wojny najbardziej wartościowi członkowie francuskiej społeczności zachowali znaczące wpływy. Nie odebrano im władzy, dzięki czemu obecnie znów mogą w istotny sposób wpływać na los naszej planety. W miarę jak odzyskiwali dawną pozycję, narastała potrzeba uzupełniania liczby pracowników przeznaczonych do wykonywania najprostszych i najcięższych zadań. Rekrutowali się spośród więźniów i sierot, stopniowo więc ta warstwa społeczna utraciła swój ściśle francuski charakter. Na Sainte Anne z kolei każdy, w których żyłach płynie francuska krew, jest zażartym przeciwnikiem rządu, w związku z czym planeta ta przypomina ufortyfikowaną warownię przygotowaną do obrony przed wewnętrznym wrogiem, obywatele zaś są bezustannie terroryzowani przez wojskowe władze. Tutaj, na Sainte Croix, Francuzi nie mają nic przeciwko rządowi - ba, ich przywódcy wchodzą nawet w jego skład.

O: Może jedną z przyczyn, dla których nie jestem w stanie tego docenić, jest fakt, iż ten właśnie rząd mnie uwięził.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

P: To prawdziwy problem, nieprawdaż? Jest pan do nas wrogo nastawiony, ponieważ jest pan więźniem. Gdyby jednak zmienił pan to nastawienie, gdyby zdecydował się pan na pełną współpracę, natychmiast przestałby pan nim być.

O: Macie moją pełną współpracę. Odpowiedziałem na wszystkie pańskie pytania.

P: A więc chce pan wyznać prawdę? Zdecydował się pan wydać współników?

O: Nie zrobiłem nic złego.

P: W takim razie może jednak jeszcze trochę porozmawiajmy. Wybacz pan, doktorze, ale się zgubiłem; o czym to mówiliśmy?

O: Jeśli się nie mylę, usiłował mnie pan przekonać, że lepiej jest być niewolnikiem na Sainte Croix niż wolnym człowiekiem na Sainte Anne.

P: Och, skądże znowu! Nie mam najmniejszego zamiaru wmawiać panu czegoś takiego, bo to nieprawda. Starłem się chyba powiedzieć, że na Sainte Croix niektórzy ludzie, a właściwie wszyscy są wolni, podczas gdy na Sainte Anne i na przykład na Ziemi większość żyje w niewoli. Nie nazywa się ich niewolnikami chyba tylko dlatego, że jest im jeszcze gorzej. Właściciel niewolnika zainwestował w niego pieniądze i ma obowiązek dbać o swoją własność. Jeśli niewolnik zachoruje, właściciel płaci za leczenie. Na Sainte Anne albo na Ziemi człowiek, którego nie stać na taki wydatek, jest pozostawiany samemu sobie, żeby wyzdrowiał albo umarł.

O: Wydaje mi się, że większość narodów na Ziemi ma rządy, które zapewniają obywatelom opiekę zdrowotną.

P: Sam pan więc widzi, kto jest właścicielem tychże obywateli. Powiedział pan, że mu się wydaje? Czyżby nie pochodził pan z Ziemi?

O: Nigdy tam nie chorowałem.

P: Tak, to z pewnością wyjaśnia sprawę... Znowu jednak odbiegliśmy od tematu.

A więc pojechał pan koleją do Ładowiska Francuzów. Długo pan tam przebywał?

O: Dwa albo trzy miesiące. Rozmawiałem z ludźmi o aborygenach.

P: I nagrywał pan te rozmowy?

O: Owszem. Niestety, utraciłem wszystkie taśmy podczas wyprawy badawczej w głąb lądu.

P: Ale najbardziej interesujące rozmowy zapisał pan w notesie.

O: Tak.

P: Proszę mówić dalej.

O: Podczas mego pobytu w Ładowisku Francuzów zwiedzałem miejsca na pewno lub tylko przypuszczalnie związane z tubylcami, potem zaś, w towarzystwie wynajętego człowieka, wyruszyłem w teren, w kierunku wzgórz zaczynających się zaraz za łąkomorzem oraz położonych dalej w głębi łądu gór, z których wypływa rzeka Tempus. W trakcie wyprawy odkryłem...

P: Nie sądzę, doktorze, żeby interesowały nas pańskie rzekome odkrycia z Sainte Anne, a nawet gdyby tak było, to dysponujemy szczegółowymi raportami na temat wykładów, które wygłaszał pan na uniwersytecie. Czy długo przebywał pan, jak to pan określił, „w terenie”?

O: Trzy lata. O tym też mówiłem podczas wykładów.

P: Wiem, ale chciałem usłyszeć potwierdzenie z pańskich ust. Więc mówi pan, że przez trzy lata, latem i zimą, mieszkał pan w Górach Czasu?

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

O: Niezupełnie. Zimą schodziliśmy, a raczej schodziłem, ponieważ po śmierci mego asystenta zostałem sam, na niżej położone tereny. Podobnie czyniła znaczna część Wolnych Ludzi.

P: Niemniej jednak przez trzy lata przebywał pan poza zasięgiem cywilizacji?

Trudno mi w to uwierzyć. Potem zaś, zamiast wrócić do Ładowiska Francuzów, z którego pan wyruszył, pojawił się pan - myślę, że „pojawił się” to właściwe określenie - w Laon, szmat drogi na południe stamtąd.

O: Po drodze zbadałem rozległe, zupełnie nowe dla mnie tereny. Gdybym wracał do Ładowiska Francuzów, szedłbym trasą, którą już raz pokonałem.

P: Skoncentrujmy się na okresie między pańskim pojawieniem się w Laon a

teraźniejszością, przedtem jednak pozwolę sobie na jeszcze jedną dygresję: gdyby wrócił pan do Ładowiska Francuzów, mógłby pan osobiście powiadomić rodzinę pańskiego asystenta o jego śmierci, tak zaś wysłał pan jedynie radiogram.

O: Tak się składa, że to prawda, lecz ciekaw jestem, skąd pan o tym wie.

P: W Laon mamy... jak by to powiedzieć... korespondenta. Nie odpowiedział pan jednak na moją dygresję.

O: Rodzina mego asystenta, o którą tak bardzo się pan troszczy, składała się tylko z jego ojca - brudnego, zapijaczonego żebraka. Żona tego człowieka odeszła wiele lat wcześniej.

P: Niepotrzebnie się pan unosi, doktorze. Nikt nie lubi przynosić złych wieści.

Co robił pan w Laon, oczywiście poza wysłaniem radiogramu?

O: Sprzedałem jedyne muła, jaki ocalał, oraz te elementy ekwipunku, które jeszcze nadawały się do użytku. Kupiłem też nowe ubranie.

P: Po czym wyruszył pan do Roncevaux, tym razem statkiem?

O: Tak jest.

P: A w Roncevaux?

O: Prowadziłem zajęcia w szkole średniej, jednocześnie usiłując zainteresować uczelnię rezultatami moich trzyletnich badań. Uprzedzając pańskie pytanie, od razu powiem, że bez powodzenia. W Roncevaux są przekonani, że Wolni Ludzie już dawno wyginęli, w związku z czym zupełnie ich nie interesuje ratowanie tych, którzy ocaleli, nie wspominając już o zapewnieniu im choćby podstawowych praw. Fakt, iż wedle panującego tam przekonania aborygeni utworzyli kulturę paleolityczną, działał jeszcze bardziej na moją niekorzyść. Przekonanie to jest zresztą całkowicie błędne, ponieważ była to kultura dendrytyczna, czyli bezpośrednio poprzedzająca

paleolityczną, albo wręcz predendrytyczną. Oprócz tego zacząłem palić, przybrałem osiem kilogramów - prawie sam tłuszcz - i kazałem przystrzyc sobie brodę jednemu człowiekowi na świecie, który wiedział, jak to się robi.

P: Jak długo mieszkał pan w Roncevaux?

O: Rok, może trochę krócej.

P: A potem przybył pan tutaj.

O: Tak. W Roncevaux skorzystałem z okazji i nadrobiłem zaległości w fachowej literaturze. Zależało mi na tym, żeby porozmawiać z kimś, kogo interesowałyby antropologiczne zagadki tego dwuplanetarnego systemu. Tam nie miałem na to

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

najmniejszych szans, więc wsiadłem na pokład gwiazdolotu i przyleciałem tutaj.

Wodowaliśmy tuż za Palcami.

P: I od tej pory przebywa pan w Port-Mimizon. Trochę się dziwię, że nie przeniósł się pan do stolicy.

O: Znalazłem tu wiele rzeczy, które mnie zainteresowały.

P: Między innymi przy Saltimbanque Street 666?

O: Między innymi. Sam pan był uprzejmy zauważyć, że jestem młody, uczeni zaś mają takie same potrzeby jak wszyscy mężczyźni.

P: Czy zwrócił pan uwagę na właściciela tego przybytku?

O: Istotnie, jest niezwykłym człowiekiem. Większość lekarzy wykorzystuje swoje umiejętności głównie do przedłużania życia szkaradnych kobiet, on jednak znalazł dla nich lepsze zastosowanie.

P: Wiem, czym się zajmuje.

O: Wobec tego zapewne wie pan również, że jego siostra jest antropologiem amatorem. Od tego właśnie zaczęło się moje zainteresowanie tym domem.

P: Doprawdy?

O: Właśnie tak. Dlaczego zadaje pan pytania, skoro mi pan w ogóle nie wierzy?

P: Ponieważ wiem z doświadczenia, że od czasu do czasu każdemu zdarza się powiedzieć prawdę. Poznaje pan to?

O: Wygląda jak moja książka.

P: Bo to jest pańska książka: „Przewodnik po faunie Sainte Anne”. Zabrał ją pan z Sainte Anne, choć opłaty za nadbagaż są bardzo słone.

O: Nie aż tak słone jak podczas podróży z Ziemi.

P: Wątpię, żeby wiedział pan o tym z własnego doświadczenia. Wydaje mi się, że powód, dla którego przywiózł pan tę książkę, nie ma z nią nic wspólnego - to znaczy, nie ma nic wspólnego z jej zawartością. Wydaje mi się, że przywiózł ją pan wyłącznie ze względu na liczby zapisane na wewnętrznej stronie tylnej okładki.

O: Zapewne za chwilę powie mi pan, że złamaliście szyfr.

P: Proszę sobie nie żartować. Owszem, w pewnym sensie dokonaliśmy tego. Te liczby opisują trajektorię lotu karabinowego pocisku, a konkretnie odległość, w jakiej uderzy poniżej lub powyżej celu pocisk wystrzelony z odległości od pięćdziesięciu do sześciuset jardów. To imponująca odległość. Mam panu pokazać? Proszę bardzo: jeśli z odległości sześciuset jardów wymierzy pan prosto w cel, pocisk uderzy osiem cali poniżej. Dysponując tą tabelą, można bez trudu trafić w głowę człowieka nawet z tak dużej odległości.

O: Pod warunkiem że jest się dobrym strzelcem. Ja takim nie jestem.

P: Na podstawie danych zawartych w tej tabeli nasi balistycy zdołali ustalić

rodzaj broni, dla której zostały przeprowadzone obliczenia. Otóż zamierzał pan posłużyć się sztucerem kalibru 35, powszechnie używanym do polowania na dziki. Ciesząca się dobrą opinią osoba bez trudu może uzyskać pozwolenie na taką broń.

O: Miałem taki sztucer na Sainte Anne, ale utonął w rzece.

P: Cóż za niefortunny wypadek! Wątpię, czy nawet gdyby tak się nie stało, pozwolono by panu zabrać go na pokład gwiazdolotu. Od początku liczył się pan z koniecznością nabycia broni tutaj, na miejscu.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

O: Nie wystąpiłem o pozwolenie.

P: Tylko dlatego że odpowiednio wcześniej pana zatrzymaliśmy. Chce pan czynić nam zarzuty z powodu naszej sprawności? Nawiązując do swojej rzekomej profesji, wielokrotnie wspominał pan o notesie...

O: Owszem.

P: Przeczytałem go.

O: Szybko pan czyta.

P: Zgadza się. To stek fabrykacji i zmyśleń. Wspomina pan o właścicielu sklepu z odzieżą męską nazwiskiem Culot; czy naprawdę przypuszcza pan, że nie wiemy, iż culotte oznacza po francusku spodnie? Cierpi pan na obsesję, według której lekarze nie robią nic innego, tylko utrzymują przy życiu stare brzydkie kobiety - wspominał pan o tym nie dalej jak chwilę temu - a w pańskich notatkach pojawia się niejaki doktor Hagsmith*. Dwa lata temu pojawił się pan w Laon, gdzie wypatrzył pana nasz agent. Miał pan obfitą brodę, taką jak teraz, dzięki której z pewnością nie rozpoznałby pana nikt, z kim się pan wcześniej zetknął. Twierdzi pan, że przez trzy

lata żył w górach, a jednak niektóre rzeczy, które sprzedał pan w Laon, są zaskakująco nowe; na przykład buty, których ani razu nie miał pan na nogach. Ani razu, przez trzy lata.

A teraz siedzi pan przede mną, opowiada kłamstwa o Ziemi, na której nigdy pan nie był, i udaje, że nie wie, iż człowiek staje się naprawdę wolny dopiero wtedy, kiedy ma niewolników. To wszystko - uwięzienie, łgarstwa, przesłuchania - jest nowe dla pana, ale nie dla mnie. Czy wie pan, co się z nim stanie? Teraz wróci pan do celi, ale za jakiś czas znowu zostanie pan tu doprowadzony, odbędziemy kolejną rozmowę, a kiedy skończymy, ja pójdę do domu na obiad, pan natomiast ponownie znajdzie się w celi. W ten sposób będą nam mijały miesiące i lata. W czerwcu wyjeżdżam z rodziną na wyspy. Po powrocie zastanę pana tutaj, jeszcze bledszego, bardziej wychudzonego i brudnego niż teraz. Wreszcie, kiedy większą część życia będzie pan miał za sobą, kiedy zostanie z pana wrak człowieka, dowiemy się prawdy. Zabierzcie go stąd i wprowadźcie następnego.

Nagranie dobiegło końca. Taśma przewijała się w ciszy, oficer natomiast mył się starannie. Zawsze to robił po kontakcie z kobietą; mył nie tylko genitalia, lecz także ramiona, pod pachami i nogi. Używał perfumowanego mydła, z którego korzystał wyłącznie przy tej okazji, ale wodę nalał do tej samej zwyczajnej emaliowanej miednicy, nad którą golił się codziennie rano. Był to dla niego nie tylko zabieg higieniczny, lecz także zmysłowe doznanie: odczuwał przyjemność, splukując z ciała ślinę Cassilli.

Przynieśli mi więcej papieru - gruby plik kartek nędznej jakości, a do tego kilka świec. Za pierwszym i za drugim razem, kiedy dawali mi papier, byłem pewien, że przeczytają wszystko, co napisałem, więc pisałem tylko to, co (w moim mniemaniu)

mogło okazać się dla mnie korzystne. Teraz jednak zastanawiam się, czy słusznie

* hag(ang.) -wiedźma, czarownica

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

robiłem. Podczas przesłuchań ani razu nie nawiązano do sprzecznych albo w oczywisty sposób nieprawdziwych informacji, które celowo umieściłem w tekście. Zdaję sobie sprawę, że moje pismo jest bardzo niewyraźne, a piszę przecież bardzo dużo. Może po prostu nie ma nikogo, kto chciałby zadać sobie trud i spróbować je odczytać?

Dlaczego tak bazgrzę? Moje nauczycielki, paskudne stare baby o skarłałych umysłach, miały gotowe wytłumaczenie: trzymałem (i nadal trzymam) pióro w niewłaściwy sposób. Ale to wyjaśnienie niczego w gruncie rzeczy nie wyjaśnia.

Dlaczego trzymam pióro tak, a nie inaczej? Pamiętam doskonale dzień, kiedy w szkole zaczęto nas uczyć pisania. Nauczycielka najpierw zademonstrowała nam, jak należy trzymać pióro, potem zaś podchodziła do nas i pomagała odpowiednio ułożyć palce. Moje ułożyła w taki sposób, że byłem w stanie najwyżej rysować drżące, pofalowane kreski, wlokąc po papierze całe przedramię. Rzecz jasna, byłem za to bezustannie karcony, tak że po moim powrocie do domu matka musiała iść ze spodniami w górę rzeki, daleko od ujścia kanałów ściekowych, by sprać z nich krew, ja zaś, zawstydzony i przestraszony, zostawałem w domu owinięty starym kocem lub kawałkiem żaglowego płótna. Wreszcie, po długich eksperymentach, nauczyłem się trzymać pióro tak, jak czynię to teraz, to znaczy ściśnięte między palcem wskazującym a środkowym. Kciuk może sobie robić, na co ma ochotę. Przestałem być chłopcem, który nie potrafi pisać, stałem się natomiast tym o najbrzydszym

charakterze pisma, a ponieważ w każdej klasie musi być taki chłopiec (nigdy dziewczynka), przestano karać mnie chłostą.

Odpowiedź na pytanie, dlaczego niewłaściwie trzymam pióro, brzmi następująco: dlatego że kiedy trzymam je we właściwy sposób, nie jestem w stanie niczego napisać. Przed chwilą sprawdziłem to, po raz pierwszy od wielu lat, i wiem już, że nic się nie zmieniło.

Słyszeliście o prawie Dolla? Na podstawie wyników badań skamieniałych żółwich skorup wielki Belg sformułował prawo nieodwracalności ewolucji: Organ, który w trakcie ewolucji ulega degeneracji, nigdy nie odzyska pierwotnego rozmiaru, jeśli zaś znikł zupełnie, nigdy już się nie pojawi. Jeżeli kolejne pokolenia wracają do sposobu życia, w którym taki organ odgrywał istotną rolę, ich organizmy nie odtwarzają go w poprzedniej formie, lecz wykształcają jego substytut.

Zastanawiam się, gdzie może być usytuowana moja podziemna cela. Często przechodziłem bądź przejeżdżałem w pobliżu cytadeli, wiem więc, że choć rozległa, nie jest wystarczająco duża, by na jej terenie zmieścił się tak długi podziemny korytarz jak ten, którym mnie prowadzono. Wynika z tego, że moja cela znajduje się poza murami budowli. Ale gdzie? Cytadela wznosi się przy Starym Placu, po jej prawej stronie biegnie kanał. To usytuowanie nie wchodzi w grę, bo chociaż w mojej celi panuje chłód, jest zupełnie sucha. Zaraz za cytadelą rozpościera się skupisko budynków mieszkalnych i sklepów. (W jednym z nich kupiłem kiedyś zadziwiający metalowy przedmiot złożony z misternie połączonych kleszczy, uzębionych szczęk i

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

okrutnie zakrzywionych haczyków. Do dzisiaj nie zdołałem rozszyfrować jego przeznaczenia; najbardziej prawdopodobne wydaje mi się przypuszczenie, że wykorzystywano go w weterynarii. Mogę sobie wyobrazić, jak włożony do otwartego końskiego brzucha odpycha na bok wątrobę, wciska się do jelita, przyciska śledzionę do kręgosłupa i wżera się w toczoną przez chorobę trzustkę). Wątpię jednak, żeby budowano podziemne cele na tym terenie, przyjaciele więźnia bowiem (zakładam, że bywają więźniowie, którzy mają przyjaciół) mieliby zbyt wiele sposobności do zorganizowania mu ucieczki.

Po lewej stronie natomiast stoją budynki mieszczące rozmaite biura i urzędy państwowe. Tunel łączący kompleks tych budowli z cytadelą w razie wybuchu społecznych niepokojów pozwoliłby urzędnikom znaleźć schronienie za jej murami, bez konieczności wychodzenia na światło dzienne i narażania się na atak rozjuszonego tłumu. Kolejnym logicznym krokiem po wydrążeniu takiego tunelu byłoby wybudowanie cel po jego obu stronach. Jestem prawie pewien, że mieszkam pod jedną ze wzniesionych z cegły rządowych budowli, być może pod Archiwum Państwowym.

Zasnąłem, śniłem rozmaite sny, a kiedy się obudziłem, świeca była już wypalona. Muszę zachować większą ostrożność: fakt, że teraz otrzymałem zapas świec i zapalek, nie świadczy wcale, że będzie tak również w przyszłości. Wyniki remanentu: jedenaście świec, trzydzieści dwie zapalki, sto cztery nie zapisane kartki oraz pióro wytwarzające atrament z wilgoci zawartej w powietrzu; cierpliwy człowiek mógłby nim pomalować na czarno wszystkie cztery ściany tej celi. Na szczęście nigdy nie grzeszyłem cierpliwością.

Co mi się śniło? Wycie dzikich zwierząt, bicie dzwonów, kobiety (w niemal wszystkich snach, które zapamiętałem, występowały kobiety, co chyba czyni mnie szczególnie uprzywilejowanym), szurgot stóp, a także moja egzekucja na obszernym, otoczonym kolumnadą dziedzińcu. Wyrok wykonało pięć robotów strażniczych z usytuowanych w górach obozów pracy przymusowej - widywałem niekiedy te maszyny, pilnujące więźniów zatrudnionych przy pracach drogowych za miastem. Lapidarna komenda wydana przez niewidocznego dowódcę - oślepiająca błękitnobiała salwa z laserów - i ja na bruku, z płonąca brodą i włosami.

Sen o kobietach (a raczej o kobiecie, jeszcze prawie dziewczynie) przypomni mi o teorii, którą sformułowałem mieszkając w górach. Jest tak prosta i oczywista, że byłem przekonany, iż wpadło na nią wielu przede mną, kiedy jednak wspominałem o niej rozmaitym ludziom na uniwersytecie w Roncevaux, większość z nich patrzyła na mnie jak na wariata. Najkrócej można ją przedstawić w następujący sposób:

wszystko, co piękne w kobiecie, służy wyłącznie temu, by zapewnić przetrwanie jej, a co za tym idzie, również jej dzieciom. Świat zaludniło potomstwo tych, którzy zwabieni tymi wdziękami, znienacka dopadali upatrzonych ofiar. (Nie jest prawdą, że uganiamy się za kobietami; jesteśmy zbyt powolni. My zaczajamy się na nie i

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

wyskakujemy z ukrycia, kiedy najmniej się tego spodziewają). Ci, co tego nie czynili, u zarania dziejów ludzkości musieli bezradnie patrzeć, jak ich potomstwo pada ofiarą dzikich zwierząt.

Podobają nam się długonogie dziewczęta, ponieważ dzięki długim nogom można łatwiej uciec przed niebezpieczeństwem. Z tego samego powodu interesują nas

dziewczęta wysokie, ale nie za wysokie; najszybciej porusza się dziewczyna o wzroście metr osiemdziesiąt, może odrobinę więcej. Tak więc mężczyźni będą się tłoczyć wokół dziewcząt dorównujących im wzrostem (niższe zaś będą dodawać sobie po kilka centymetrów dzięki obcasom i podeszwom), tym jednak, które będą górować nad tłumem, zostanie znacznie mniej adoratorów, natomiast kobieta mierząca sobie dwa metry i dwadzieścia centymetrów prawie na pewno nie znajdzie sobie męża.

W myśl tej samej zasady kobieta musi mieć miednicę wystarczająco szeroką, żeby wydać na świat żywe potomstwo, ale nie za szeroką, żeby nie odstręczyć potencjalnych zalotników. Musi mieć także piersi, w których dziecko znajdzie wystarczająco dużo pokarmu; dlatego nie może być zbyt szczupła, bo choć wówczas z pewnością umknęłaby przed każdym niebezpieczeństwem, to nie urodziłaby dzieci, a gdyby nawet urodziła, nie miałyby czym wykarmić.

Pozostaje jeszcze twarz. Właśnie twarz sprawia najwięcej problemów artystom od chwili, kiedy znikły przesady zakazujące uwieczniania wizerunków ludzkich istot; to oni ustalają kanony piękna, po czym żenią się z kobietami obdarzonymi ustami szerokimi jak u żaby albo krzywymi zębami. Cóż widzimy, patrząc na pozostawione przez nich portrety największych piękności, bogiń, królewskich kochanek i słynnych kurtyzan? Ta ma zeza, ta ogromny nos... Mężczyzna nic sobie nie robi z takich wad, ponieważ w gruncie rzeczy zależy mu wyłącznie na bystrym spojrzeniu i uśmiechu. (Czy w porę zauważy niebezpieczeństwo? Czy nie pozabija moich synów w ataku wściekłości?)

Chcecie wiedzieć, jak wyglądała dziewczyna z mojego snu? Nie widziałem jej wyraźnie, ale na pewno przypominała opisany przeze mnie ideał. Była naga. Kobiety,

które mają na sobie choćby skrawek ubrania, zupełnie mnie nie podniecają. W

Roncevaux usiłowałem kiedyś zaspokoić żądze z osobką, która za nic nie chciała się pozbyć czegoś w rodzaju biustonosza, i okrutnie się skompromitowałem. Chciałem jej wyjaśnić, dlaczego tak się stało, bałem się jednak, że mnie wyśmieje. W końcu zebrałem się na odwagę, a ona rzeczywiście zaczęła się śmiać, ale nie tak, jak się obawiałem, i opowiedziała mi o mężczyźnie, który kazał jej włożyć obrączkę (wyjął ją z kieszeni i dał jej, a kiedy było po wszystkim, czym prędzej schował, ponieważ obrączka była bardzo kosztowna), gdyż bez tego drobnego szczegółu nic by nie wskórał. Ja z kolei, już podczas pobytu na Sainte Croix, słyszałem o kimś, kto, nie będąc w stanie wdrzeć się za klasztorne mury, najpierw każe dziewczynie wkładać strój mniszki, potem zaś ją rozbiera. Uśmialiśmy się oboje, po czym zastosowała się do mego życzenia, a ja wtedy przekonałem się, iż biustonosz miał za zadanie ukryć bliznę. Ucałowałem ją.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Jeśli zaś chodzi o dziewczynę z mego snu, to powiem tylko tyle, że to, co robiliśmy, w nikim nie wzbudziłoby ani cienia pożądania. Tylko we śnie wystarczy jedno spojrzenie albo kielkująca myśl.

Mam więc świece, zapalki, pióro i papier. Czyżby oznaczało to złagodzenie stosunku władz wobec mojej osoby? Ta cela zdaje się świadczyć o czymś wręcz przeciwnym: jest znacznie gorsza niż poprzednia 143, a tamta z pewnością nie należała do najlepszych. Sądząc z tego, co wystukiwał Czterdzieści siedem, jego cela była znacznie lepsza - większa, z przykryciem na wiadro przeznaczone na

ekskrementy - a jeśli mu wierzyć, to podobno były też takie z szybami w oknach, a nawet z zasłonami i krzesłami. Dzięki kości, którą pewnego dnia znalazłem w zupie, mogłem prowadzić z nim długie rozmowy. Kiedyś zapytał o moje poglądy polityczne (wspomniałem bowiem wcześniej, że jestem więźniem politycznym), ja zaś powiedziałem, że należę do partii leseferystów.

CHCESZ POWIEDZIEĆ, ŻE WIERZYSZ W TO, ŻE NIE POWINNO SIĘ
INGEROWAĆ W DZIAŁALNOŚĆ GOSPODARCZĄ? ROZUMIEM - JESTEŚ
INDUSTRIALISTĄ.

WCALE NIE. UWAŻAM, ŻE POWINNO SIĘ ZOSTAWIĆ RZĄD W
SPOKOJU. MY LESEFERYŚCI TRAKTUJEMY URZĘDNIKÓW JAK GROŻNE
GADY: Z SZACUNKIEM, NIE CHCEMY ICH ZABIJAĆ, ALE I NIE CHCEMY
MIEĆ Z NIMI NIC WSPÓLNEGO. NIE UBIEGAMY SIĘ O ŻADNE
STANOWISKA W ADMINISTRACJI ANI NICZEGO NIE MÓWIMY POLICJI,
CHYBA ŻE WIEMY, ŻE NASI SĄSIEDZI I TAK JUŻ WSZYSTKO
POWIEDZIELI.

W TAKIM RAZIE WASZYM PRZEZNACZENIEM JEST ULEC TYRANII.
SKORO ŻYJEMY NA TEJ SAMEJ PLANECIE, CZY MOŻE BYĆ TAK, ŻE
TYRANIA DOTYKA MNIE, ALE NIE CIEBIE?

JA STAWIAM JEJ OPÓR.

MY ZACHOWUJEMY ENERGIĘ DO INNYCH CELÓW.

I ZOBACZ, DO CZEGO TO CIĘ...

Biedny Czterdzieści siedem.

Cela. Pozwólcie mi opisać moją celę wypełnioną teraz żółtym blaskiem płomyka
świecy. Ma niewiele ponad metr wysokości - powiedzmy, metr i dziesięć

centymetrów. Leżąc na szorstkiej podłodze (jak się zapewne domyślicie, robię to dość często), jestem w stanie bez podnoszenia bioder prawie dotknąć sufitu stopami. Sufit, o czym powinienem był od razu wspomnieć, jest z betonu, podobnie jak ściany (nie ma mowy o żadnym stukaniu ani nawet o drapaniu, którego próbował nieszczęsny szalowiec z celi obok, kiedy jeszcze mieszkałem nad powierzchnią; tutaj, być może, sąsiednie pomieszczenia są puste, ale wydaje mi się, że to raczej

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

budowniczo pozostawili grubą warstwę ziemi między ścianami, aby uniemożliwić przedostawanie się jakichkolwiek dźwięków) oraz podłoga. Drzwi są żelazne.

Jednak moja cela jest większa, niż mogłoby się wam wydawać: tak szeroka, że rozłożywszy ramiona nie mogę jednocześnie dosięgnąć dwóch ścian, i tak długa, że kiedy oprę się stopami o jedną ścianę i wyprostuję ręce za głową, nie jestem w stanie dotknąć drugiej. Nie można więc porównać jej do trumny, choć z pewnością nie miałbym nic przeciwko temu, żeby wstać. Mam wiadro na odchody (bez przykrycia), nie mam za to posłania. Rzecz jasna, pomieszczenie jest pozbawione okien...

Chwileczkę, cofam to. W drzwiach znajduje się mały judasz, ale to nic nie daje, bo w korytarzu zawsze jest ciemno. Może dostałem świece tylko po to, żeby strażnicy mogli mnie obserwować, papier zaś po to, żebym z nich korzystał. W dolnej części drzwi jest szczelina jak w skrzynce na listy, tyle że znacznie szersza, przez którą wysuwam miskę i wciągam ją do środka. Mam zapałki i świece, papier i pióro; dym unoszący się nad płomieniem świecy maluje na suficie czarną plamę.

Jak wygląda moja sprawa? To najważniejsze pytanie. Sądząc po tym, że przeniesiono mnie do tej celi - nie najlepiej; z kolei fakt, że dostarczono mi świece i

przybory do pisania, napełnia mnie nadzieją. Może być i tak, że tam, gdzie formułuje się znaczące opinie (gdziekolwiek to jest), konkurują ze sobą dwie oceny mojej osoby: według jednej jestem niewinny i dlatego dostaję świece, według drugiej jestem winny i dlatego trafiłem do tej celi.

A może pomagają mi ci, którzy uważają mnie za winnego? A może świece i papier (tego obawiam się najbardziej) trafiły do mnie przez pomyłkę i wkrótce zjawi się strażnik, żeby mi je odebrać?

Dokonałem odkrycia! Autentycznego odkrycia! Wiem już, gdzie jestem.

Zakończywszy poprzedni akapit, zdmuchnąłem świecę, położyłem się i usiłowałem zasnąć. Leżałem z uchem przyciśniętym do posadzki; w pewnej chwili usłyszałem bicie dzwonów. Podniosłem głowę i przestałem je słyszeć, ale wystarczyło, żebym ponownie ją położył, a rozbrzmiały ponownie. Wynika z tego, że korytarz prowadzi pod Starym Placem w kierunku katedry, moja cela zaś przypuszczalnie znajduje się w pobliżu jej fundamentów. Co kilka minut przyciskam ucho do ściany i nasłuchuję.

Choć dość długo mieszkałem w tym mieście, nie pamiętam, jak często odzywały się dzwony. Wiem tylko, że w przeciwieństwie do zegarowych kurantów, na pewno nie obwieszczały pełnych godzin.

W moim rodzinnym mieście nie było katedry, za to mnóstwo kościołów i przez jakiś czas mieszkaliśmy w pobliżu tego pod wezwaniem świętej Madeleine.

Pamiętam nocne bicie dzwonów (przypuszczalnie wzywały wiernych na mszę o północy), lecz odgłos ten, w przeciwieństwie do wielu innych, nie napełniał mnie lękiem - często nawet mnie nie budził, ale jeśli już wyrwał mnie ze snu, to siadałem w łóżku i spoglądałem na matkę. Ona też nie spała, a jej piękne oczy lśniły w mroku

niczym odłamki zielonego szkła. Budził ją każdy, nawet najłżejszy szmer, kiedy jednak do domu, zataczając się, wracał ojciec, udawała, że śpi, a jednocześnie starała

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

się wyglądać jak najmniej atrakcyjnie; potrafiła to zrobić zupełnie niepostrzeżenie, nawet dla kogoś, kto się jej uważnie przyglądał. Zawdzięczała tę umiejętność nadzwyczajnemu panowaniu nad mięśniami twarzy. Ja także posiadam tę zdolność, choć nie w takim stopniu jak ona, wolałem jednak ukryć się za gęstą brodą, ponieważ obawiałem się tej nadzwyczajnej umiejętności, a raczej samego siebie, a poza tym w zupełności wystarczyło, żebym się postarzał i zmienił brzmienie głosu. Teraz, po długim pobycie w więzieniu, miałbym taką brodę nawet wtedy, gdybym zjawił się tu gładko ogolony.

Mam wrażenie, że zapuściłem ją, by matce udowodnić (naturalnie gdybym miał ją jeszcze kiedykolwiek spotkać, choć tam, w Roncevaux, miałem podstawy przypuszczać, że udała się właśnie tutaj), że jestem już mężczyzną. Co prawda nie powiedziała mi o tym, ja jednak wiem, iż wśród Wolnych Ludzi chłopiec zaczyna stawać się mężczyzną dopiero wtedy, kiedy na jego twarzy pojawi się pierwszy zarost, a jest nim wówczas, gdy ma brodę wystarczająco gęstą, by osłoniła jego gardło przed zębami innych mężczyzn. (Jakim byłem głupcem, uważając przez tyle lat, że to ja byłem przyczyną jej odejścia, ponieważ przyłapała mnie z dziewczyną! Teraz już wiem, iż po prostu czekała, aż dojrzeję. A ja nie wiedziałem, dlaczego się wtedy do mnie uśmiechnęła!)

Podjeżdżałem, że odeszła w góry, więc wyruszyłem tam przy pierwszej

nadarzającej się sposobności, lecz jej nie odnalazłem. Kiedy się tam znalazłem, stało się dla mnie oczywiste, że powinna była to zrobić, a nawet tam zostać. Jednak żyje się tam bardzo ciężko; połowa dzieci umiera i mało kto ma szczęście doczekać sędziwego wieku. Dlatego właśnie każdej zimy wracaliśmy do miasta. I spójrzcie tylko, do czego mnie to doprowadziło - mnie, który śmiałem się z nieszczęsnego Czterdzieści siedem!

Dużo później. Posiłek złożony z zupy i herbaty. Zupa we wciąż tej samej, starej powgniatanej cynowej misce (w poprzedniej celi naczynia oddawałem po posiłku), potem czarna słodzona herbata, też w misce, z warstwą tłuszczu na powierzchni. - Jest też herbata - powiedział strażnik, wręczając mi miskę z zupą. - Daj kubek. Kiedy usłyszał, że nie mam kubka, mruknął coś niewyraźnie i ruszył dalej, ale w drodze powrotnej zapytał, czy zjadłem już zupę, a uzyskawszy twierdzącą odpowiedź, kazał mi wystawić miskę i nalał do niej herbaty.

Czyżby to on, z własnej inicjatywy, dostarczył mi świece i papier? Jeśli tak, zapewne uczynił to z litości, co z kolei oznacza, iż niechybnie zostanę stracony.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Od poprzedniego wpisu dzwony odezwały się trzy razy. Nieszpory? Nony? Anioł Pański? Nie mam pojęcia. Zasnąłem i znowu miałem sny. Byłem maleńki, matka (przynajmniej wydaje mi się, że ta dziewczyna była moją matką) trzymała mnie w objęciach. Siedzieliśmy w łodzi, mój ojciec wiosłował, jak często wtedy, kiedy jeszcze zajmował się wędkowaniem. Wokół nas trzciny kłaniały się wiatrowi, na

wodzie unosiły się żółte kwiaty, najdziwniejsze w tym śnie było jednak to, że z góry wiedziałem, co się później wydarzy - na przykład patrząc na ojca, który jawił mi się jako rudobrody olbrzym, doskonale wiedziałem, co stanie się z jego rękami i dlaczego nie będzie mógł pracować. Moja matka - tak, jestem pewien, że to była ona, choć nigdy nie zdołałem pojąć, jak to się stało, że ktoś z Wolnych Ludzi zdołał urodzić dziecko memu ojcu - miała na sobie żółtą zapinaną na guziki sukienkę, którą własnoręcznie na nią włożył, i zachowywała się jak szczęśliwa, zadowolona z życia kobieta: uśmiechała się, kiedy coś do niej mówił, więc ja też się uśmiechałem. Wszyscy się uśmiechaliśmy. Przypuszczam, iż we śnie wróciło do mnie jakieś odległe wspomnienie, ponieważ w tamtych czasach ojciec przypuszczalnie zachowywał się jak całkiem zwyczajny człowiek, może nieco bardziej gadatliwy niż większość ludzi, żywiący się chlebem, mięsem, kawą i winem. Dopiero kiedy to stracił i nie miał czym się z nami podzielić, przekonaliśmy się, że tak naprawdę żył słowami.

Nie, nie spałem. Godzinami leżałem w ciemności, nasłuchiwałem bicia katedralnych dzwonów i polerowałem miskę strzępami moich spodni. Kiedyś to były bardzo dobre spodnie. Kupiłem je na wiosnę, ponieważ z Sainte Anne nie przywiozłem ani jednego letniego ubrania; prawdę powiedziawszy, miałem tylko to co na sobie. Wożenie czegokolwiek ze sobą przeczy podstawowym zasadom ekonomii: najrozsądniej byłoby wsiąść na pokład gwiazdolotu całkiem nago i wszystko kupić na Sainte Croix, ale, ponieważ według przepisów można za darmo przewieźć rzeczy, które ma się na sobie, tradycyjnie już podróżni wkładają jak najwięcej ciężkich zimowych ubrań (tak przynajmniej było podczas mojego lotu).

Bez opłaty wolno również zabrać niewielki bagaż podręczny, ja jednak wykorzystałem ten limit na książki, które miałem ze sobą podczas ekspedycji donikąd.

To były bardzo porządne letnie spodnie od całkiem przyzwoitego letniego garnituru z jedwabiu z południowego kontynentu, łączonego z lnem. Jedwab jest w stu procentach miejscowy (nie mamy go na Sainte Anne), len zaś wyrósł z ziarna przywiezionego z Ziemi. Jedwab wytwarzają młode osobniki pewnego gatunku roztoczy, które najpierw żerują na źdźbłach trawy, a kiedy porwie je wstępujący prąd powietrza, unoszą się nad ziemią, ciągnąc za sobą cienką srebrzystą nić. Te, które wylądują na lądzie, zaczynają nowe życie, co roku jednak wiatr znosi całe ich mnóstwo nad morze, gdzie splątane nici tworzą na powierzchni wody gigantyczne materace o powierzchni wielu hektarów. Materace te holuje się łodziami do brzegu i

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

dostarcza do przetwórnicy, gdzie są dezynfekowane dymem, gręplowane i przerabiane na przędzę dla przemysłu włókienniczego. Ponieważ roztocze są nadzwyczaj odporne - podobno są w stanie przetrwać nawet pięć dni bez tlenu - i pasożytują w układzie sercowo-naczyniowym

ciepłokrwistych istot, zatrudnieni w przetwórnicy

niewolnicy nie cieszą się długim życiem. Na tutejszym uniwersytecie pokazano mi kiedyś film o nowych, modelowych osiedlach wzniesionych specjalnie dla nich; ponieważ osiedle zbudowano tam, gdzie znajdował się stary francuski cmentarz, z wyprodukowanych na miejscu ziemnych prefabrykatów, w ścianach tkwiły resztki nie przemielonych ludzkich kości.

Polerowałem miskę nie dlatego, że zależało mi na tym, by lśniła czystością, lecz żeby się w niej przejrzeć. Wspomniałem, że jest z cyny, ale to raczej stop cyny z ołowiem; choć trudno wyobrazić sobie kogoś, kto władałby narzędziami mniej sprawnie ode mnie, jestem w stanie utrzymać w dłoni szmatę i coś nią pocierać. Robiłem to bardzo długo (skończyłem zaledwie kilka chwil temu), leżąc w ciemności i z drżeniem nasłuchując bicia dzwonów. Wypolerowałem ją zarówno od środka, jak i z zewnątrz. Rzecz jasna nie mogłem sprawdzić, jak postępuje praca i czy w ogóle są jakieś postępy, ponieważ żal mi było marnować zapałkę, a poza tym miałem przecież mnóstwo czasu. Strażnik przyniósł rozgotowany jęczmień; zjadłem czym prędzej, częściowo dlatego, że liczyłem na herbatę (niestety, moje nadzieje okazały się płonne), a częściowo - ponieważ zależało mi na tym, by jak najszybciej wrócić do przerwanej zajęcia. Wreszcie zmęczyłem się na tyle, że postanowiłem odpocząć, odłożyłem miskę i szmatę i potarłem zapałkę. W pierwszej chwili pomyślałem, że w celi jest ze mną moja matka, ponieważ w półmroku ujrzałem jej oczy. Upuściłem zapałkę, przycisnąłem kolana do piersi i płakałem tak długo, jak biły dzwony, aż wreszcie przyszedł strażnik, kopnął w drzwi i zapytał, co się dzieje.

Jak tylko odszedł, zapaliłem świecę. Oczy, rzecz jasna, okazały się odbiciem moich oczu w misce, która wygląda teraz tak, jakby była ze starego srebra. Nie powinienem był płakać, ale myślę, że w pewnym sensie nadal jestem dzieckiem. To okropne! Po napisaniu poprzedniego zdania długo siedziałem i zastanawiałem się, co to dla mnie oznacza.

W jaki sposób matka mogła mnie nauczyć, jak stać się mężczyzną? Przecież sama nic nie wiedziała - być może za sprawą mojego ojca. Pamiętam, że nie widziała nic niewłaściwego w kradzieży, kradła jednak tylko na jego polecenie, zazwyczaj

wyłącznie żywność. Jeśli tylko była najedzona, nic jej nie interesowało, więc gdy ktoś chciał, żeby z nim poszła, ojciec ją do tego zmuszał. Usiłowała natomiast uczyć mnie wszystkiego, co byłoby mi niezbędne do życia tam, gdzie nie żyłem wtedy i gdzie nie żyję również teraz. Skąd mam wiedzieć, jak żyje się w miejscu, o którym niczego mnie nie nauczono? Nie wiem nawet, na czym polega ludzka dojrzałość - wiem jedynie, że nie zdołałem jej osiągnąć, w przeciwieństwie do mężczyzn (nierzadko drobniejszych i niższych ode mnie), wśród których przebywam.

Przynajmniej w połowie jestem zwierzęciem. Wolni Ludzie są cudowni, cudowni jak jelenie albo ptaki, albo jak tygrysyca sunąca niczym fioletowy cień z podniesioną głową tropem upatrzonej zwierzyny, ale to jednak tylko zwierzęta. Spoglądam na moje odbicie w misce, na ile się da rozgarniam palcami brodę, zwilżam ją wodą, żeby

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

dotrzeć do struktury twarzy, i widzę zwierzęcą maskę z wyraźnie zarysowanym pyskiem i płonącymi oczami. Nie potrafię mówić. Od dawna wiedziałem, że nie mówię jak wszyscy, tylko wytwarzam za pomocą ust dźwięki, które od biedy mogą ujść za ludzką mowę. Niekiedy sam nie rozumiem, co mówię - wiem jedynie tyle, że wygrzebałem dziurę w ziemi i głośno śpiewając pomknąłem w góry. Teraz już wcale nie mówię, tylko warczę i skamlę.

Później. Jest chłodniej, dzwony słyszę nawet wtedy, kiedy zbliżę do uszu stulone dłonie, jeśli zaś przycisnę ucho do kamiennej ściany, docierają do mnie odgłosy szurania i skrobania. Wiem już, gdzie dokładnie jestem: moja cela znajduje się pod posadzką katedry, a ponieważ tam właśnie chowa się zmarłych, od powierzchni oddzielają mnie groby. Całkiem możliwe, że ten, który kopią, jest przeznaczony dla

mnie. Kiedy wreszcie umrę, będą się modlić za znakomitego uczonego z ojczyściej planety. To wielki zaszczyt być pochowanym w katedrze, choć ja osobiście wolałbym pewną suchą jaskinię w skalistej ścianie wąwozu, którym płynie spieniona rzeka. Ptaki wiłyby gniazda u jej wejścia, ja zaś leżałbym na wznak tak długo, aż różowe słońce zamieni się w czerwony, pokryty ciemnymi plamami, dogasający z wolna węgiel.

12 kwietnia. Wydarzyła się bardzo niepokojąca rzecz, a jakby jeszcze tego było mało...

Nieważne. Opowiem o wydarzeniach dnia. Zgodnie z planem szliśmy wzdłuż rzeki, choć było jasne, że szansę na znalezienie jakiegokolwiek jaskini w jej piaszczystych brzegach są równe zeru. Chłopiec twierdzi, że jeszcze za mało oddaliliśmy się od ujścia. Po południu pogoda zaczęła się pogarszać, po raz pierwszy od początku naszej wyprawy. Nie przerywając marszu, naoliwiłem broń i schowałem ją do futerałów; przed nami gęstniały ciemne burzowe chmury zmierzające na południowy wschód, czyli wzdłuż doliny Tempus, prosto na nasze spotkanie. Za radą chłopca odbiliśmy pod kątem prostym w bok, ponieważ należało się liczyć z możliwością nagłego wezbrania wody. Jak tylko dotarliśmy na szczyt pierwszego wzgórza, zatrzymaliśmy się i rozbiliśmy namiot; nie miałem najmniejszej ochoty robić tego później w strugach deszczu. Ledwo z tym skończyliśmy, zerwał się gwałtowny wiatr, chwilę potem zaś lunął deszcz wymieszany z gradem.

Powiedziałem chłopcu, że przygotujemy posiłek po burzy, po czym wpełzłem do śpiwora i leżałem Bóg wie jak długo, zastanawiając się, czy namiot wytrzyma napór nawałnicy. Nigdy do tej pory nie słyszałem tak zawodzącego wiatru, ale w końcu

ucichł, a ja zasnąłem, ukołyszany szumem deszczu uderzającego o brezent.

Kiedy się obudziłem, już nie padało, wokół panowała nadzwyczajna cisza, a powietrze miało ów świeży, rześki zapach jak zwykle po burzy. Wstałem i stwierdziłem, że chłopiec znikł.

Zawołałem parę razy, lecz nie odpowiedział. Po kilku minutach poszukiwań doszedłem do wniosku, iż najprawdopodobniej zaczął przygotowania do kolacji, stwierdził, że zgubił coś, co było mu niezbędnie potrzebne, i postanowił cofnąć się

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

trasą, którą pokonaliśmy, w nadziei odnalezienia zguby. Natychmiast chwyciłem latarkę i lekką strzelbę (nie pytajcie dlaczego; na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć tylko tyle, że mi się spieszyło) i wyruszyłem na poszukiwania chłopca.

Słońce wisiało nisko na niebie, ale do zachodu zostało jeszcze trochę czasu.

Po dziesięciu minutach szybkiego marszu dotarłem do rzeki. Chłopiec stał po pas w wodzie i szorował się piaskiem. Zawołałem do niego, on zaś odpowiedział pozornie beztrąsko, lecz ja wyczułem w jego głosie coś jakby zażenowanie.

Zapytałem, dlaczego oddalił się bez uprzedzenia, a on wyjaśnił, że po prostu chciał wziąć kąpiel i przy okazji przynieść wodę, ponieważ to, co mieliśmy w obozie, było niewystarczające do ugotowania posiłku. Ja spałem, więc wyslizgnął się najciszej jak potrafił, żeby mnie nie obudzić. Jego wyjaśnienia brzmiały całkiem przekonująco i do dzisiaj nie mam żadnych dowodów na to, że powiedział nieprawdę, lecz w głębi duszy jestem pewien, że kłamie i że podczas mojego snu w obozie był ktoś trzeci, a mianowicie kobieta. Widać to po jego zachowaniu i słyhać w tym, co mówi. W zagadkowy sposób ulotniło się także jakieś dwadzieścia funtów wędzonego mięsa;

choć w gruncie rzeczy nie mam nic przeciwko temu, by dokarmiać jego ukochaną, to byłoby dobrze, żeby zdawał sobie sprawę, iż nie powinien dysponować cudzą, czyli moją, własnością. Zamierzam przeprowadzić z nim poważną rozmowę na ten temat. Tymczasem, po trwającym jakieś pięć minut przesłuchaniu, które do niczego nas nie doprowadziło, ruszyliśmy w drogę powrotną do obozu. Chłopiec niósł kociołek wypełniony po brzegi wodą. Słońce już zaszło, lecz było jeszcze w miarę widno. Kiedy lada chwila naszym oczom miał ukazać się namiot, usłyszałem przeraźliwy ryk muła; tak właśnie mógłby krzyknąć silny, potężny mężczyzna obdzierany żywcem ze skóry.

Pobiegłem w kierunku, skąd dochodził ten mrozący krew w żyłach dźwięk, chłopiec natomiast (bardzo rozsądnie) udał się do namiotu po sztucer. O ile mogłem się zorientować, hałas dobiegał zza kępy krzewów rosnących u podnóża pagórka. Zamiast okrążyć gęstwinę, co bez wątpienia powinienem był uczynić, z trzaskiem i łoskotem przedarłem się przez nią, by stanąć oko w oko z najbardziej odrażającym zwierzęciem, jakie kiedykolwiek widziałem, stworzeniem będącym połączeniem hieny, niedźwiedzia, małpy i człowieka, obdarzonym krótkim pyskiem o wyjątkowo potężnych szczękach oraz ludzkimi oczami wpatrującymi się we mnie okrutnym, głupim, morderczym spojrzeniem pijanego w sztok zwyrodnialca wymachującego na oślepiep stłuczoną butelką. Istota miała potężne, wysoko sklepione barki, przednie łapy grubości dwóch męskich ud każde, zakończone krótkimi paluchami o pazurach jak dziesięciocentówki. Bił od niego smród brudu i gnijącego mięsa.

Strzeliłem trzy razy, nie podnosząc broni do ramienia; potwór odwrócił się i pognał przez zarośla ogromnymi małpimi susami. Zniknął, zanim chłopiec nadbiegł ze sztucerem. Byłem pewien, że go trafiłem, i to więcej niż raz, nie mam jednak

pojęcia, ile szkód mogły narobić pociski tak małego kalibru. Obawiam się, że niewiele.

Mój „Przewodnik po faunie Sainte Anne” nie pozostawia najmniejszych wątpliwości co do tego, kim był nieproszony gość: niedźwiedź trupojad (co ciekawe, chłopiec zna go pod identyczną nazwą). Według „Przewodnika” zwierzę to jest

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

padlinożercą, choć jeden ustęp z opisu nie pozostawia najmniejszych wątpliwości co do tego, iż potwór ów nie waha się atakować żywych zwierząt:

...swą nazwę upodobaniu do rozkopywania świeżych grobów i pożerania zwłok,

chyba że spoczywają w solidnej metalowej trumnie. Doskonale radzi sobie z

kopaniem i jest w stanie poruszać nawet ciężkie głazy, żeby dostać się do zwłok.

Zaskoczony, zazwyczaj ucieka, często unosząc zdobycz pod przednią łapą. Niekiedy

zakrada się na farmy, gdzie niedawno dokonywano uboju, i wtedy może zaatakować

bydło lub owce.

Musiałem dobić muła (jednego z siwych), ponieważ i tak by nie przeżył. Jego

ładunek rozdzieliliśmy między dwa pozostałe; od tej pory na zmianę będziemy ich

pilnować ze sztucerem gotowym do strzału.

15 kwietnia. Jesteśmy już wysoko w górach. Żadnych nowych nieszczęść, ale i

żadnych odkryć. Oprócz zranionego niedźwiedzia trupojada (od pierwszego

spotkania widzieliśmy go już dwa razy) podąża za nami także tygrys. Godzinę lub

dwie po północy zaczyna przeraźliwie ryczeć; chłopiec jest pewien, że za każdym

razem to ten sam osobnik. Dzień po ataku na muła (13 kwietnia) wróciłem po

naszych śladach w nadziei, że zaskoczę niedźwiedzia przy padlinie. Spóźniłem się; martwy muł został rozszarpany na kawałki i pożarty niemal w całości - zostały tylko kopyta i największe kości. Na ziemi dokoła ujrzałem mnóstwo rozmaitych śladów; najmniejsze z nich mogły pozostawić ludzkie dzieci, ale nie jestem tego pewien. Nigdzie natomiast nie zauważyłem dziewczyny, która (nie ulega to dla mnie wątpliwości) odwiedziła chłopca, a on milczy na ten temat.

16 kwietnia. Utraciliśmy jednego z towarzyszących nam włóczęgów, włączając go w skład ekspedycji. Chłopiec zdołał zwabić kota do obozu i częściowo obłaskawić dzięki skrawkom mięsa oraz małym rybkom, które nadzwyczaj sprawnie chwytają rękami. Co prawda kot jeszcze nie pozwala mi się dotknąć, nie miałbym jednak nic przeciwko temu, gdybyśmy równie łatwo poradzili sobie z tygrysem.

Rozmowa z chłopcem:

Ja: Twierdzisz, że przebywając z matką dalej niż nigdzie, wielokrotnie spotykałeś żywych tubylców. Czy sądzisz, że jeśli natrafimy na jakichś, pokażą się nam, czy raczej uciekną?

V.R.T. : Oni się boją.

Ja: Nas?

V.R.T. : (*milczy*)

Ja: Czy dlatego, że osadnicy zabili tak wielu z nich?

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

V.R.T. (bardzo szybko): Wolni Ludzie są dobrzy... kradną tylko wtedy, kiedy inni mają wszystkiego pod dostatkiem... chcą pracować... mogą pilnować bydła...

odnajdywać konie... odstraszać lisy...

Ja: Chyba wiesz, że nie zamierzam do nich strzelać, prawda? Chciałbym tylko zadać im trochę pytań, poznać ich. Czytałeś przecież „Wstęp do antropologii kulturowej” Millera; nie zauważyłeś, że antropolodzy nigdy nie czynią krzywdy ludziom, których badają?

V.R.T. : (*wpatruje się we mnie w milczeniu*)

Ja: A może sądzisz, że Wolni Ludzie boją się nas, ponieważ poluję na zwierzęta, których mięso później jemy? To wcale nie oznacza, że polowałbym również na nich.

V.R.T. : Zostawia pan mięso na ziemi. Gdyby wieształ je pan na gałęziach, Wolni Ludzie i Dzieci Mroku mogliby wspiąć się po nie, ale pan zostawia je na ziemi i teraz idą za nami niedźwiedź trupojad i tygrys.

Ja: A więc o to chodzi? Jeśli zostanie nam trochę mięsa i znajdziemy jakiś sznurek, czy wejdiesz na drzewo i zawieszysz je dla nich?

V.R.T. : Tak. Doktorze Marsch...

Ja: O co chodzi?

V.R.T. : Myśli pan, że kiedyś zostanę antropologiem?

Ja: Cóż, jesteś inteligentnym młodym człowiekiem, ale musiałbyś się dużo uczyć, najlepiej w college'u. Ile masz lat?

V.R.T. : Szesnaście. Słyszałem o college'ach.

Ja: Wyglądasz na starszego. Masz na myśli ziemskie lata?

V.R.T. : Nie, lata Sainte Anne. Są dłuższe, a poza tym my, Wolni Ludzie, szybko dorastamy. Gdybym zechciał, mógłbym wyglądać na jeszcze starszego, ale nie chciałem za bardzo zmieniać się od chwili, kiedy zobaczył mnie pan po raz pierwszy i wynajął naszą łódkę. Tak naprawdę to pewnie wcale pan nie uważa, że mógłbym

pójść do college'u?

Ja: Nie powiedziałem, że mógłbyś tam pójść od razu. Podejrzewam, że twoje dotychczasowe wykształcenie pozostawia sporo do życzenia, więc najpierw musiałbyś się długo uczyć i przyswoić sobie przynajmniej podstawy jakiegoś języka obcego... Ach! Całkiem zapomniałem, że mówisz trochę po francusku.

V.R.T. : Owszem, znam francuski. Czy chodzi głównie o czytanie?

Ja: (*kiwam głową*) Tak, głównie o czytanie.

V.R.T. : Wiem, że uważa mnie pan za prostaka, bo dziwnie mówię, ale tak nauczył mnie ojciec, żeby ludzie dawali mi pieniądze. Potrafię mówić, jak zechcę. Nie wierzy mi pan, prawda?

Ja: Teraz mówisz bardzo dobrze. Przypuszczam, że wzorujesz się na mnie?

V.R.T. : Owszem, naśladowuję pana. A teraz proszę posłuchać: zna pan doktora Hagsmitha? Jego też potrafię naśladować. „To fałszerstwo, doktorze Marsch.

Wszystko jest fałszerstwem. Opowiem panu pewną historię: dawno temu, w okresie długiego snu, kiedy szamanem był Wędrujący po Ścieżkach, żyła dziewczyna o imieniu Trzy Twarze. Kolorową kredą namalowała sobie po jednej twarzy na każdej piersi; lewa mówiła NIE, prawa TAK. Spotkała kiedyś poganiacza bydła, który od razu ją pokochał, ona zaś pokazała mu prawą pierś. Spędzili razem całą noc w

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

niezglębionej ciemności, która roztacza się dalej niż nigdzie, on poprosił ją potem, żeby poszła z nim i zamieszkała w jego domu, a ona się zgodziła i obiecała, że nauczy się gotować, sprzątać i robić wszystko, co robią kobiety. Jednak kiedy słońce wzeszło, on wciąż spał, kiedy zaś się obudził, ona była już po kąpieli w rzece i miała

tylko jedną, prawdziwą twarz. Przypomniawszy jej o obietnicach czynionych w ciemności, ona jednak tylko patrzyła na niego w milczeniu, a kiedy spróbował ją objąć, odwróciła się i uciekła”.

Ja: Bardzo interesująca opowieść, doktorze Hagsmith. Czy to już koniec?

V.R.T. : „Nie. Kiedy poganiacz bydlą zaczął się ubierać, spostrzegł, że teraz on ma na piersi podobizny dwóch twarzy: mówiącą TAK na lewej, NIE na prawej.

Ukrył je pod koszulą, pojechał do Ładowiska Francuzów, gdzie mieszkał człowiek zajmujący się tatuazem, i kazał mu uwiecznić oba rysunki za pomocą igły i kolorowego tuszu. Ludzie powiadają, że po śmierci poganiacza przedsiębiorca zdarł skórę z jego klatki piersiowej, wyprawił, zwinął w rulon, zapakował w pergamin, przewiązał czarną wstążką i schował do szuflady swego biurka, dzięki czemu dwie twarze Trzech Twarzy zostały zachowane, ale proszę mnie nie pytać, czy to prawda”.

21 kwietnia. Napięcie związane z koniecznością pełnienia nocnej warty przy mułach staje się nie do wytrzymania. Tej nocy zamierzam zabić przynajmniej jednego z drapieżców, którzy podążają za nami od dziesięciu dni. Postrzeliłem skoczka, łamiąc mu tylną nogę, i uwiązałem na polanie. Piszę te słowa, siedząc na drzewie jakieś trzydzieści stóp nad ziemią, ze sztucerem i notesem do towarzystwa.

Niebo jest bezchmurne, Sainte Croix świeci niczym ogromna błękitna latarnia.

Dwie godziny później. Nic, jeśli nie liczyć małego fenka. Najgorsze jest to, że wiem z całkowitą pewnością (jeśli chcecie, możecie nazwać to telepatią albo czymś w tym rodzaju), że kiedy ja siedzę tu na drzewie, chłopiec, zamiast pilnować mułów, zabawia się z tą samą dziewczyną, która już raz go odwiedziła. Dziewczyna jest aborygenką. Wcześniej tylko to podejrzewałem, teraz wiem na pewno.

Nieprzypadkowo opowiedział mi historię o Trzech Twarzach, a poza tym kto inny mógłby samotnie przeżyć w tej zakazanej okolicy? Gdyby tylko jej powiedział, że nie zrobię jej krzywdy, wyprawa zakończyłaby się sukcesem, ja zaś stałbym się sławny. Zszedłbym, żeby ich przyłapać razem, ale czuję woń niedźwiedzia trupojada. Musi być gdzieś blisko. Przypuszczam, że się szczepią; zdążyłem zauważyć, że chłopiec nie jest obrzezany. Jeśli zastanę ich tak po powrocie, chyba zastrzelę oboje.

Później. Przybył nowy więzień. Umieszczono go chyba jakieś pięć cel ode mnie. Podejrzewam, iż jego zjawienie się uchroniło mnie przed obłędem, choć wcale nie wiem, czy powinienem być mu wdzięczny; bądź co bądź, normalność stanowi punkt odniesienia wykorzystywany wyłącznie przy ocenianiu rezultatów ludzkiej

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

działalności, jeśli zaś próby trzymania się tego wzorca prowadzą wyłącznie do nieszczęść, zniszczeń, rozpacz, nędzy, głodu i rozpadu, umysł ma wszelkie powody, by poszukać sobie innego ideału. Teraz już wiem, iż ucieczka w szaleństwo jest stuprocentowo rozsądnym uczynkiem; to szaleństwo, którego nauczono nas się lękać, polega na reagowaniu w sposób naturalny i instynktowny, nie zaś sztuczny i wyuczony. Szalenięc wygaduje bzdury, ponieważ, tak jak ptak albo kot, jest zbyt rozsądny, żeby mówić do rzeczy.

Nowy więzień jest otyłym mężczyzną w średnim wieku, przypuszczalnie jednym z tych, którzy pracują dla innych. Świeca się wypaliła, a ja siedziałem z głową na kolanach, kiedy zza drzwi - w judaszach nie ma dźwiękoszczelnego i kuloodpornego szkła, jak w celach na wyższych poziomach, tylko druciana siatka - dotarł

niewyraźny odgłos. Pomyślałem, że to strażnik z jedzeniem, i ukląknę przy szczelinie w drzwiach. Tym razem ujrzałem nie jednego, lecz dwóch strażników: tego co zawsze, z latarką, oraz umundurowanego, przypuszczalnie żołnierza. Prowadzili między sobą przestraszonego grubasa, tak śmiertelnie bladego, że aż parsknąłem śmiechem, co chyba jeszcze bardziej go przeraziło. Ze względu na niewielkie rozmiary judasza mogłem przycisnąć do otworu albo oko, albo usta; czyniłem to na zmianę, wykrzykując, kiedy mijał moją celę: „Co zrobiłeś? Powiedz, co zrobiłeś?”, on zaś wyszlochał: „Nic! Nic!”, co rozbawiło mnie jeszcze bardziej, nie tylko ze względu na niego, ale przede wszystkim ze względu na mnie, ponieważ oto znowu mogłem mówić, a poza tym wiedziałem, że nic go nie łączy ze mną, uniwersytetem, domem z pokojami do wynajęcia, Cave Canem ani zakurzonym sklepem, w którym kupiłem zagadkowe metalowe urządzenie, że jest po prostu otyłym wystraszoną człowiekiem pozbawionym jakiegokolwiek znaczenia i że od tej pory będzie moim sąsiadem, ale nikim więcej.

Znowu mnie przesłuchiowano, ale nie tak jak do tej pory. Odniosłem wrażenie, że rozmowa odbywa się w innej atmosferze, choć trudno byłoby mi powiedzieć, na czym konkretnie polega różnica. Zaczął jak zwykle, od straszenia, ale szybko zmienił ton na przyjazny, po raz pierwszy od wielu tygodni poczęstował mnie papierosem, a nawet posunął się do tego, że zadeklamował krótki wierszyk wyśmiewający stopnie naukowe, co w jego przypadku oznaczało wręcz nieprawdopodobne rozluźnienie obyczajów. Postanowiłem skorzystać ze sposobności i poprosiłem o jeszcze jednego papierosa; ku memu zdumieniu dostałem go, potem zaś, zamiast kolejnych pytań, wysłuchałem długiego wykładu na temat doskonałości rządu sprawującego władzę na

Sainte Anne, zupełnie jakbym miał zamiar ubiegać się o obywatelstwo. Następny wykład, znacznie krótszy, zwracał moją uwagę na fakt, że nie zostałem poddany torturom ani nie zaaplikowano mi środków psychotropowych, co jest prawdą.

Według mego rozmówcy powinienem to zawdzięczać szlachetności i humanizmowi właściwym wszystkim przygarbionym mieszkańcom Sainte Croix obdarzonym spiczastymi podbródkami, ja jednak uważam, iż prawdziwą przyczyną jest ich

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

arogancja oraz przeświadczenie, że nie potrzebują uciekać się do takich metod, ponieważ jeśli zechcą, złamią każdego i bez ich stosowania.

Przy okazji powiedział coś, co mnie autentycznie zainteresowało: że pewien lekarz, z którego usług często korzystają, mógłby w ciągu paru minut wydobyć ze mnie wszystko, co wiem. Bez wątpienia interesowała go moja reakcja na tę uwagę, która mogła oznaczać, że przestali się mną interesować (było to jednak raczej mało prawdopodobne choćby z tego względu, że w trakcie rozmowy co jakiś czas padały mniej lub bardziej zawoalowane pytania) albo że już zdobyli interesujące ich informacje z innego źródła (co jednak wydaje się jeszcze mniej realne dlatego, że takie informacje po prostu nie istnieją). Najbardziej wiarygodne wydaje mi się wytłumaczenie, że z jakiegoś powodu utracili kontakt z tym lekarzem, a ponieważ wydawało mi się (nie jestem już pewien, czy dzięki szóstemu zmysłowi, czy skojarzeniu z czymś, co wcześniej usłyszałem), iż wiem, o kogo chodzi, odparłem, że to wielka szkoda, że nie zastosowali środków psychotropowych, skoro mogli to uczynić, ponieważ w ten sposób jednoznacznie dowiodłbym swojej niewinności, ale - dodałem - nie wątpię, iż niebawem znajdą fachowca równie wysokiej klasy.

- Nie, to niemożliwe. On był jedyny w swoim rodzaju, prawdziwy artysta.

Oczywiście, w końcu kogoś znajdziemy, ale jeśli chcemy mieć kogoś choćby w połowie tak dobrego, musimy posłać po niego do stolicy.

- Znam kogoś, kto mógłby wam pomóc. To właściciel przybytku zwanego *Maison du Chien*. Za godziwą zapłatę jest gotów zrobić wszystko, a do tego jest doskonałym fachowcem.

Jego spojrzenie wystarczyło mi za odpowiedź. A więc właściciel burdelu nie żyje.

Mógłbym mu powiedzieć - choć i tak by mi nie uwierzył - że gdyby zatrudnił syna zmarłego, w gruncie rzeczy miałby do czynienia z tym samym człowiekiem... ale młody najprawdopodobniej został już aresztowany i kto wie, może nawet przebywa w tym samym budynku co ja. Jego ciotka (biologicznie jest jego córką, lecz dla uniknięcia nieporozumień wolę stosować te same określenia co rodzina) zapewne usiłuje doprowadzić do jego uwolnienia.

A może (przyszło mi to do głowy po raz pierwszy) mnie także stara się wyciągnąć z zamknięcia; jest osobą obdarzoną inteligencją i fascynującym umysłem, i często prowadziliśmy długie rozmowy, zazwyczaj mając za publiczność jedną z jej „dziewcząt”. Gdzie jesteś teraz, *tante* Jeannine? Czy wiesz chociaż, że mnie zatrzymali?

Wierzyła (choć nie chciała się do tego przyznać), iż aborygeni z Sainte Anne wchłonęli i zastąpili *homo sapiens* - tak głosi hipoteza Veila, a Veil to właśnie ona.

Teorią tą posługiwano się od lat w celu zdyskredytowania innych nieortodoksyjnych hipotez dotyczących zagadkowego zniknięcia tubylczej ludności planety. Jeśli jednak jest, jak uważasz, *tante* Jeannine, to kim są Wolni Ludzie? Konserwatystami, którzy

nie chcieli zarzucić dawnego stylu życia? Wbrew temu, co kiedyś myślałem, problem nie polega na tym, w jakim stopniu myśli Dzieci Mroku wpływają na rzeczywistość, lecz na tym, w jaki sposób my kształtujemy ją naszymi myślami. Podczas pobytu w górach chyba sto razy przeczytałem zapis rozmowy z panią Blount i chyba

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

przejrzałem tajemnicę Wolnych Ludzi. Nazwę moje odkrycie postpostulatem Lieva; to ja jestem Liev i stanowczo za późno dokonałem swego odkrycia.

Nowy więzień zaczął mówić. Pyta głośno, czy ktoś jest w sąsiednich celach, a jeśli tak, to jak się nazywa, i kiedy przyniosą coś do jedzenia, i czy można dostać pościel, i o setki innych rzeczy. Oczywiście nikt mu nie odpowiada, ponieważ każdego, kogo przyłapią na rozmowie, czeka bicie. Kiedy nabrałem pewności, że strażnik jest daleko, uprzedziłem go o tym. Natychmiast umilkł, by po długim czasie zapytać - w swoim mniemaniu - przyciszonym głosem:

- Kim jest ten szaleniec, który śmiał się ze mnie, kiedy mnie prowadzili?

Jednak strażnik zdążył już wrócić i grubas piszczał jak królik, gdy chwilę potem wyciągali go z celi, żeby wymierzyć chłostę. Biedaczysko.

Niewiarygodne! Nigdy nie zgadniecie, gdzie jestem! Dalej, proszę... Możecie próbować, ile chcecie!

Wiem, że to dziecinada, ale czuję się jak dziecko, więc niech tam. Otóż wróciłem do poprzedniej celi numer 143, nad ziemią, z materacem i kocem, i dziennym światłem sączącym się przez okno. Cóż z tego, że nie ma szyby i nocami z zewnątrz

wdziera się chłód. I tak czuję się jak w pałacu.

Mniej więcej godzinę po moim powrocie Czterdzieści siedem zaczął stukać w rurę. Dotarły do niego plotki o tym, że wróciłem, więc przesyła pozdrowienia.

Twierdzi, że przez cały czas moja cela była pusta. Co prawda straciłem kość z zupy, ale odpowiedziałem, stukając w rurę palcami. Mój sąsiad natychmiast zorientował się, że jestem w domu, i zaczął skrobać ścianę tak samo jak dawniej; wciąż nie nauczył się szyfru albo używa innego, którego nie potrafię odczytać. Odgłosy, jakie do mnie dochodzą, są tak zróżnicowane, iż chwilami wydaje mi się, że stara się w ten sposób wydawać artykułowane dźwięki.

Nazajutrz. Czyżby zamierzali mnie wypuścić? Dostałem najlepszy posiłek od chwili, kiedy mnie aresztowano: gęstą zupę fasolową z kawałkami prawdziwej wieprzowiny, herbatę z cukrem i cytryną, dziś rano zaś do tego samego cynowego kubka nalali mi mleka z pokruszonym chlebem. Zaraz potem, wraz z pięcioma więźniami, zostałem zaprowadzony pod prysznic, następnie zaś włosy, brodę i krocze posypano mi proszkiem owadobójczym. Mam też nowy koc, prawie zupełnie czysty i o niebo lepszy od poprzedniego. Piszę te słowa, narzuciwszy go na ramiona - nie dlatego że jest mi zimno, ale by czuć jego dotyk.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Kolejne przesłuchanie. Prowadził je nie Constant, lecz zupełnie nowy człowiek, który przedstawił mi się jako Mr Jabez. Stosunkowo młody, w porządnym cywilnym ubraniu. Poczęstował mnie papierosem i powiedział, że rozmawiając ze mną,

ryzykuje zarażenie tyfusem - szkoda, że nie widział mnie przed kąpielą. Zapytałem, czy mógłbym dostać jeszcze jeden koc i trochę więcej papieru, a on pokazał mi kilka dołączonych do akt kartek pokrytych moimi notatkami i przez jakiś czas narzekał na pracę, jakiej wymaga ich odczytanie i przepisanie. Ponieważ wiedziałem, że nie ma tam nic, co by mi mogło zaszkodzić, zaproponowałem, żeby po prostu wykonał fotokopie i przesłał je komuś wyższemu rangą; nie wydaje mi się jednak, żebym powinien pozwolić im zabrać to, co pisałem ostatnio, popuściłem bowiem wodze wyobraźni i fantazjowałem na temat rodziców i Ziemi (prawdę powiedziawszy, nosiłem się nawet z zamiarem napisania powieści, bo przecież wiele dzieł literackich powstało właśnie w więzieniu), a to tylko niepotrzebnie zagmatwałoby moją sprawę. Przy pierwszej nadarzającej się okazji zniszczę te kartki.

Północ, może trochę później. Na szczęście zostawili mi świece i zapalki, bo nie mógłbym teraz pisać. Krótco po tym, jak zasnąłem, przyszedł strażnik, potrząsnął mnie za ramię i powiedział, że mnie „wzywają”. W pierwszej chwili pomyślałem, że mam umrzeć, lecz uśmiech strażnika świadczył o tym, iż chodzi o coś innego - przypuszczalnie o jakieś na pół zabawne upokorzenie w rodzaju ogolenia głowy. Zaprowadził mnie do pomieszczenia obok cel, wepchnął do środka, a tam czekała na mnie Celestine Etienne, dziewczyna z domu madame Duclose. Na zewnątrz jest chyba pełnia lata, ponieważ była ubrana jak do kościoła w upalny letni wieczór: różowa sukienka bez rękawów, białe rękawiczki i kapelusz. Wiem, że dawniej wydawała mi się chuda jak bocian, teraz jednak prezentowała się całkiem interesująco, szczególnie z szeroko otwartymi ze strachu, fiołkowobłękitnymi oczami. Na mój widok wstała z krzesła i powiedziała:

- Och, doktorze! Jaki pan wychudzony...

W pokoju było jedno krzesło, lampa bez wyłącznika, ścienne lustro (co oznaczało, że jesteśmy obserwowani z sąsiedniego pomieszczenia) oraz stare zdezelowane łóżko z czystym prześcieradłem naciągniętym na materac, którego chyba lepiej było nie oglądać.

W drzwiach, o dziwo, znajdowała się zasuwka. Rozmawialiśmy o tym, co wydarzyło się po moim aresztowaniu. Nazajutrz zjawił się człowiek z biura skarbnika miejskiego i polecił jej, by w najbliższy wtorek (a więc w dzień, kiedy miała mnie odwiedzić) punktualnie o ósmej wieczorem zgłosiła się do Biura Przepustek.

Postąpiła zgodnie z poleceniem, ale po trzygodzinnym oczekiwaniu dowiedziała się, że urząd już nie pracuje i że ma zjawić się ponownie za dwa tygodnie. Oczywiście zorientowała się bez trudu, czemu to ma służyć, lecz bała się sprzeciwić.

Dopiero dzisiaj, ledwo zdążyła usiąść w poczekalni, pojawił się ten sam urzędnik, który zawsze odprawiał ją kwitkiem, i powiedział, że powinna raczej

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

pójść prosto do cytadeli oraz że nic nie wskazuje na to, by w dającej się przewidzieć przyszłości musiała pokazywać się w tym biurze. Po drodze wstąpiła do swego pokoju u madame Duclose, przebrała się, poperfumowała i przysła tutaj.

Tyle wystarczy. Pisałem to wszystko z ogromną przyjemnością, obserwowałem, jak pióro pozostawia na papierze ciągnący się całymi tygodniami ślad, ale widok moich wcześniejszych notatek w teczce nowego śledczego trochę mnie zaniepokoił. Jestem prawie pewien, że strażnik zasnął na swoim stanowisku w korytarzu, więc

spalę te zapiski, strona po stronie, w płomieniu świecy.

Transkrypcja kończyła się w połowie strony, poniżej zaś znajdowała się notatka z dokładne datą i miejscem, gdzie skonfiskowano pamiętnik więźnia.

Musicie mi wybaczyć niewyraźne pismo w tej notatce, a być może i w kilku kolejnych. Wydarzył się absurdalny wypadek, o którym opowiem we właściwym czasie. Minionej nocy zabiłem tygrysa i niedźwiedzia trupojada - tego drugiego nad zwłokami tygrysa. Tygrys zaatakował mnie w chwili, kiedy schodziłem z drzewa, na którym czekałem na niego przez całą noc. Powinienem być zostać poważnie poturbowany, ale wyszedłem z opresji zaledwie z kilkoma zadrapaniami od cierni, w które wpadłem pchnięty przez atakujące zwierzę.

Oficer odłożył notes w płóciennej okładce, odszukał szkolny zeszyt z informacją o dzierzbie, przejrzał kilka początkowych stron, skinął głową, po czym wrócił do lektury zawartości notesu.

23 kwietnia. Wróciłem do obozu po zastrzeleniu tygrysa i zastałem chłopca samego, jeśli nie liczyć kota, który do niedawna szedł naszym śladem. Chłopiec zdołał zwabić go na kolana i siedział - jak zwykle, kiedy nie zajmował się gotowaniem - odwrócony plecami do ognia. Rzecz jasna byłem bardzo podekscytowany przygodą z tygrysem i natychmiast zacząłem ją relacjonować; w pewnej chwili podszedłem do niego i podniosłem kota, aby pokazać, gdzie trafiły moje strzały, zwierzę zaś wygięło kark pod nieprawdopodobnym kątem i zatopiło zęby w mojej ręce. Jeszcze wczoraj, kiedy zastrzeliłem niedźwiedzia trupojada, rana nie dawała mi się we znaki, ale dzisiaj już mi dokucza. Posypałem ją środkiem bakteriobójczym i założyłem opatrunek.

24 kwietnia. Z ręką wciąż coś nie tak, co zresztą widać po charakterze pisma. Nie mam pojęcia, co bym począł bez chłopca. Od początku wyprawy zajmuje się

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

dosłownie wszystkim. Dzisiaj dyskutowaliśmy o tym, czy powinniśmy zwinąć obóz i podążyć dalej w górę rzeki, lecz ostatecznie postanowiliśmy poczekać do jutra. Tutaj przynajmniej rośnie drzewo, co zawsze przynosi szczęście, i jest łagodne trawiaste zbocze, u podnóża którego wartko płynie rzeka o chłodnej, smacznej wodzie. Mamy też pod dostatkiem mięsa ze skoczka, a solidny kawał powiesiliśmy na innym drzewie jakieś trzy kilometry stąd, dla tych, którzy są głodni. Widać stąd wyraźnie, że idąc w górę rzeki, dotrzemy do skalistego wąwozu o wysokich, prawie pionowych ścianach.

25 kwietnia. Zwinęliśmy obóz. Jak zwykle, chłopiec wykonał większość pracy.

Czyta moje książki i zadaje pytania; na niektóre nie potrafię udzielić wyczerpującej odpowiedzi.

26 kwietnia. Chłopiec nie żyje. Pochowałem go w miejscu, gdzie nikt go nie znajdzie, ponieważ patrząc na jego martwą twarz, doszedłem do wniosku, że już nikt nie powinien jej zobaczyć. Oto jak do tego doszło. Około południa prowadziliśmy muły ścieżką wiodącą wzdłuż południowej krawędzi wąwozu, który w tym miejscu ma około dwustu metrów głębokości i jest dość wąski, tak że woda płynie żwawo głębokim kanałem o dnie pokrytym rudawym piaskiem i pogruchotanymi

kamieniami. Przypominałem mu, że według jego słów powinniśmy być jeszcze daleko od świętej grotty Wolnych Ludzi, on jednak odparł, iż tu również mogą być podobne jaskinie, i zaczął myszkować wśród skał. Widziałem, jak spada: usiłował chwycić się skały, krzyknął przeraźliwie i runął w przepaść. Pospiesznie spętałem muły, po czym wyruszyłem na poszukiwania w nadziei, że woda zamortyzowała upadek i zdołał wypłynąć na powierzchnię. Długo szedłem wzdłuż koryta rzeki, aż wreszcie dotarłem do samotnego drzewa rosnącego nad samą wodą, z zanurzonymi w niej korzeniami. Właśnie te korzenie zatrzymały mego przyjaciela.

A teraz pozwólcie mi przyznać się do oszustwa. Daty na tej stronie i poprzedniej nie są prawdziwe. Dzisiaj jest pierwszy czerwca. Długo niczego nie zapisywałem, aż wreszcie dziś wieczorem doszedłem do wniosku, że znowu zacznę prowadzić dziennik i opiszę, co się wydarzyło. Jak widać, moja ręka jeszcze nie wydobrzała; wątpię, czy kiedykolwiek odzyska pełną sprawność, choć na pierwszy rzut oka wygląda całkiem normalnie. Znikła nawet blizna, mam jednak poważne problemy z manipulowaniem przedmiotami.

Ukryłem zwłoki w jaskini w skalistej ścianie wąwozu. Myślę, że byłby zadowolony, ja zaś mam pewność, że żaden niedźwiedź trupojad nie zdoła tam dotrzeć. Co prawda potrafią przesuwac nawet duże głazy, ale nie opanowały umiejętności wspinaczki. Odnalezienie jaskini zajęło mi trzy dni; przez ten czas chłopiec był przywiązany do grzbietu jednego z mułów. Zabiłem kota i położyłem mu u stóp.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Niezbyt dobrze idzie mi takie pisanie - nie chodzi o kłopoty z ręką, ale o

problemy z przelewaniem myśli na papier. Owszem, zapisywałem rozmowy i relacjonowałem rozmaite wydarzenia, lecz nie własne myśli. Jest w tym coś niezwykłego, tym bardziej że nie mam teraz z kim rozmawiać i że nikt tego nie przeczyta.

Posuwamy się naprzód (my, czyli dwa muły i ja) znacznie wolniej niż wtedy, kiedy był z nami. Maszerujemy tylko przez trzy albo cztery godziny przed południem, często się zatrzymując: a to w przepięknym zakątku z drzewami i paprociami, a to przy skalnej ścianie, którą należy zbadać, ponieważ może w niej być jaskinia, a to przy zakolu rzeki, żeby nałapać ryb. Od jego śmierci nie zastrzeliłem żadnego zwierzęcia. Żywię się rybami oraz rozmaitymi małymi stworzonkami; łapię je we wnyki uplecione z włosów, które wyczesalem mułom z ogonów. Kilkakrotnie ktoś uprzedził mnie i zabrał zdobycz, ale nie mam mu tego za złe. Chyba wiem, kto to jest.

Żywności jest pod dostatkiem, nawet gdyby ktoś zrezygnował z mięsa i ryb, mimo że dopiero pojawiły się pierwsze, nieliczne jagody. Zdaje się, że mieszkańcy bagien, to znaczy tubylcy zamieszkujący łąkomorza, jadali nawet kłacza trzciny.

Skosztowałem tego (należy starannie usunąć wierzchnią brązową warstwę, bardzo gorzką i po zmieleniu między kamieniami wykorzystywaną jako trucizna przy połowie ryb) i stwierdziłem, że jest całkiem niezłe, choć wątpię, by miało wielką wartość odżywczą. Kłacza najlepiej smakują nad Oceanem, kiedy przed każdym kęsem można zanurzyć je na chwilę w słonej wodzie.

Tam, na łąkomorzu, nie brakuje kłaczy (wystarczy tylko chwycić parę najbliższych trzciny i mocno pociągnąć), lecz oprócz nich pozostają do wyboru tylko ryby i małże, wiosną zaś ślimaki - chyba że komuś uda się schwytać ptaka. Tutaj

sprawy mają się dokładnie na odwrót: pożywienie jest wyjątkowo urozmaicone, tyle że trzeba się napracować, by je znaleźć. Znakomite są świeże pędy niektórych roślin oraz robaki żyjące w zbutwiałych pniach, podobnie jak grzyby rosnące w zakątkach, gdzie nigdy nie dochodzi światło.

Jak już wspomniałem, nie zastrzeliłem żadnego zwierzęcia, choć raz kusiło mnie, żeby to zrobić. Sztucer czyni jednak tyle hałasu (strzelba jeszcze więcej), że z pewnością spłoszyłbym tych, których szukam.

3 czerwca (prawdziwa data). Wspinamy się wyżej. Coraz więcej kamieni, coraz mniej trawy. Tutejsze jelenie zupełnie nie przypominają bydła.

4 czerwca. Dzisiaj bez ogniska. Od jego śmierci, czyli od ponad miesiąca, co wieczór rozpalałem ogień i dziś także zacząłem już zbierać chrust, kiedy nagle zacząłem się zastanawiać, po co to robię. Chłopiec potrzebował ognia, żeby upiec mięso i zagotować wodę na herbatę. Lubię herbatę, ale jej zapas już się skończył, a ja

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

już dzisiaj jadłem i nie mam nic, co należałoby upiec. Wkrótce słońce zajdzie i dopóki zza wzgórz nie wyłoni się bliźniacza planeta, nie będę mógł pisać. Czasem zastanawiam się, kto to przeczyta, dochodzę do wniosku, że nikt, i postanawiam zapisać wszystkie, nawet najbardziej skryte myśli. Zaraz potem przypominam sobie jednak, że powinien to być dziennik wyprawy badawczej i nawet jeżeli nikt nie zdoła zapoznać się z jego treścią, to prowadzenie go powinno być dla mnie dobrą wprawką. Ale o czym tu opowiadać? Przestałem się golić. Siedzę z notesem na kolanach i

rozmyślam o życiu Wolnych Ludzi przed przybyciem kolonistów z Ziemi. Teren jest surowy i niedostępny - nikt, kto mógłby mieszkać gdzie indziej, z pewnością nie osiedliłby się tutaj z własnej woli. Być może góry (Góry Czasu) prezentują się lepiej, na razie jednak nic nie mogę na ten temat powiedzieć. Jedno wiem na pewno: wzgórze, które pokonywaliśmy do tej pory, a nawet łąkomorza wyglądały znacznie bardziej zachęcająco od tej okolicy. W takim razie, jeśli mamy wierzyć starym podaniom, dlaczego Wolni Ludzie żyli w górach? Czy schodzili z nich aż tutaj? Czy pojawiają się tu teraz? Myślę, że tak, ale to już całkiem inna historia.

Nawet jeżeli tu docierali, to niezbyt często, ponieważ w przekazach wyraźnie rozróżnia się mieszkańców gór, czyli Wolnych Ludzi, od mieszkańców bagien. Co prawda ci ostatni w swoich opowieściach często nazywają Wolnych Ludzi „ludźmi ze wzgórz”, ale te wzgórza, w przeciwieństwie do łąkomórz, są zupełnie puste. Nie ma tu nawet zmarłych, a jeżeli są, to niewielu.

Właśnie: dlaczego mieszkańcy łąkomórz nie zapuszczali się na te obszary?

Zacznijmy od nich, ponieważ więcej na ich temat wiemy - choćby to, że zawsze pożąдали mięsa, ponieważ nawet niewierzący chętnie jadalі mięso zwierząt albo ludzi składanych w ofierze. Mieszkali na bagnach, więc żywili się głównie - jak już wspomniałem - kłęczami trzciny, rybami i ptactwem wodnym. Jeśli pragnęli zdobyć czerwone mięso, musieli wyruszać na polowania na ląd, ale rybacy i zjadacze korzonków nie mogli być sprawnymi myśliwymi. Niekiedy docierali aż tutaj (ilu ich było? dziesięciu? dwudziestu? a może trzydziestu?) w poszukiwaniu ofiar, które mogliby złożyć rzece. Bez trudu mogę ich sobie wyobrazić, jak maszerują rzędem: krępi mężczyźni o grubych udach, płaskich stopach i jasnej cerze. Dziesięciu... dwunastu... trzynastu... czternastu... piętnastu. Co prawda Wolni Ludzie są lepszymi

myśliwymi i potrafią lepiej walczyć, mają dłuższe nogi i wąskie stopy, ale jest ich niewielu, w przeciwnym razie bowiem umarliby z głodu. Za mało zwierzyny. Razem z kobietami i dziećmi jest ich może dziesięcioro, w tym najwyżej trzech albo czterech mężczyzn w kwiecie wieku. Ilu z nich pognano z powrotem w kierunku Klepsydry, Obserwatorium i rzeki? Ilu? Jak długo trwała prehistoria człowieka na matce Ziemi? Milion lat? Niektórzy twierdzą, że dziesięć milionów. (Kości moich przodków).

Później. Bliźniacza planeta króluje już na niebie i zalewa tę stronę błękitnym blaskiem, z wyjątkiem miejsca gdzie pada cień mojej ręki trzymającej pióro.

Znajduje się w połowie drogi między pełnią a nowiem; dokładnie na granicy między światłem a cieniem widzę Rękę wyciągniętą ku morzu oraz małą iskierkę u nasady kciuka - przypuszczalnie Port-Mimizon. Podobno to najgorsze miasto na obu planetach.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Później. Przez chwilę wydawało mi się, że w ciemności widzę cień kota, i nawet zacząłem się zastanawiać, czy na pewno nie żyje, choć przecież własnoręcznie skręciłem mu kark. Dzień przed tym, jak znalazłem grootę, kot przyniósł jakieś małe zwierzątko i położył przede mną na ziemi. Pochwaliłem go i powiedziałem, że może sam je zjeść, on zaś odparł: „Mój pan, markiz de Carabas, przesyła ci pozdrowienia”, po czym znikł. Zwierzątko miało spiczasty pyszczek, okrągłe uszy i równe, prawie ludzkie zęby. Uśmiechało się po śmierci.

Później. Przy świetle planety szukałem wśród skał kamiennych narzędzi - eolitów. Bez powodzenia.

6 czerwca. Dzisiaj, jak na prawdziwych odkrywców przystało, maszerowaliśmy cały dzień. Po prawej rzeka przelewa się z rykiem przez kamienne ściany, z przodu wznosi się znacznie wyższa, sinoniebieska ściana gór. Będę podążał tropem rzeki, wiem bowiem, że w głębi gór ma źródła.

7 czerwca. Dzisiaj przed nami stoczył się po skalistym zboczu niewielki kamień - z pewnością strąciło go jakieś zwierzę, ale choć wyteżądałem wzrok, niczego nie dostrzegłem. Wydawało mi się, że odkąd przestałem polować, zostaliśmy sami; nikt nie wykrada zwierzyny z sideł, a nawet jeżeli czasem zastaję je puste, to ślady świadczą jednoznacznie o tym, że winowajcami są płomieniste lisy. Jak dziwnie muszę się prezentować! Mam na sobie tylko buty, które chronią stopy przed skaleczeniami. Podejrzewam, że bardziej odstraszająco działa widok moich mułów.

Znacznie później. Nie mam pojęcia, która jest godzina, ale chyba już dawno minęła północ. Bliźniacza planeta pokonała połowę drogi od zenitu ku zachodowi, lecz ponieważ świeci coraz jaśniej, mój wzrok sięga głęboko w dolinę, a potężne urwiska przede mną lśnią w jej błękitnym blasku.

Nie napiszę *Później*, ponieważ odłożyłem notes zaledwie na kilkanaście sekund, żeby zgarnąć gałązek i suchej trawy na ognisko. To pierwszy ogień, jaki rozpalę od wielu dni, ale po wyjściu ze śpiwora jest mi zimno, a nie chce mi się spać. Przyśniło mi się, że wokół mnie zgromadziła się grupa nagich ludzi. To były Dzieci Mroku, które nie są ani dziećmi, ani ludźmi, wśród nich zaś wysoka dziewczyna o długich prostych włosach; prawie dotknęły mojej twarzy, kiedy się nade mną pochyliła.

Na tym kończyły się zapiski w notesie. Oficer zamknął go, rzucił na biurko, po czym przez chwilę stuknął palcami w sztywną okładkę. Pogrążony w lekturze nawet nie

zauważył, że zaczęło świtać; zgasił anemiczny płomyk lampy, odepchnął krzesło, wstał i przeciągnął się. Mimo wczesnej pory w powietrzu już było czuć zapowiedź

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

upału i potwornej wilgoci. Służący opuścił swoje stanowisko pod drzewem; przypuszczalnie spał w jakimś kącie. Oficer zastanawiał się przez chwilę, czy odszukać go i obudzić kopniakiem, w końcu jednak wrócił do biurka i, nie siadając, po raz drugi przeczytał list towarzyszący aktom. Data była prawie sprzed roku.

Szanowny Panie, załączone materiały dotyczą więźnia #143, chwilowo przetrzymywanego w naszej instytucji i podającego się za obywatela Ziemi. Więzień (jeśli wierzyć jego paszportowi, który wzbudza poważne podejrzenia) nazywa się John V. Marsch, przybył tu 2 kwietnia ubiegłego roku, został zaś aresztowany 5 czerwca tego roku w związku z zabójstwem tajnego współpracownika GSPB klasy AA o pseudonimie „Espion”. Co prawda za winnego w tej sprawie uznano syna zamordowanego, istnieją jednak poważne poszlaki wskazujące na to, że #143 może być agentem junty sprawującej obecnie władzę na sąsiedniej planecie. Ja osobiście nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Zwracam Pańską uwagę na okoliczność, że w obecnej sytuacji egzekucja agenta przysłanego z Sainte Anne zostałaby doskonale przyjęta przez opinię publiczną. Z drugiej jednak strony, jeśli damy wiarę zapewnieniom więźnia, że pochodzi z Ziemi, jego uwolnienie (przynajmniej do czasu, kiedy jednoznacznie ujawni swoje prawdziwe oblicze) wywarłoby równie pozytywny efekt. Wiele osób, szczególnie intelektualistów, wiązało wiele nadziei z wizytą uczonego z Ziemi.

- Maitre...

Oficer podniósł wzrok. Tuż obok, ziewając rozdzierająco, stała Cassilla z tacą, a krok za nią niewolnik.

- Kawa, maitre.

W świetle dnia dostrzegł siatkę delikatnych zmarszczek pod jej oczami; dziewczyna się starzała. Szkoda. Wziął do ręki kubek, a kiedy nalewała kawę, zapytał, ile ma lat.

- Dwadzieścia jeden, maitre.

Dzbanek był srebrny, z pointylistycznym ornamentem, co oznaczało, że niewolnik zażądał takiego w kuchni. Gdyby tego nie zrobił, dostałby zwykłe naczynie z któregoś ze stolików przeznaczonych dla młodszych oficerów.

- Powinnaś bardziej dbać o siebie.

Kawa była gorąca, z niewielkim dodatkiem wanilii. Dolał sobie obfitą porcję gęstej śmietany.

- Tak, maitre. Czy to wszystko?

- Możesz odejść. - Przeniósł wzrok na niewolnika. - Który statek odpływa w najbliższym czasie do Port-Mimizon?

- „Gwiazda Wieczorna”, maitre. Wyrusza jeszcze dziś, w porze największego przyptywu, ale po drodze zawija jeszcze do Coldmouth i ma odwiedzić kilka mniejszych wysp. „Demon Bagienny” wypłynie dopiero w przyszłym tygodniu, ale powinien dotrzeć do Port-Mimizon miesiąc wcześniej niż „Gwiazda”.

Oficer skinął głową, pociągnął łyk kawy i wrócił do lektury listu.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

Chociaż w prywatnych dokumentach więźnia znajduje się wiele materiałów

poszlakowych, on sam, jak do tej pory, do niczego się nie przyznał. Stosujemy tradycyjną metodę cyklicznego zaostrzania i rozluźniania rygoru, aby doprowadzić do załamania. Krótco po tym, jak został umieszczony w wygodnej celi, mieszkający piętro wyżej #47 zaczął się z nim porozumiewać, stukając w rurę kanalizacyjną. Jak tylko #143 odpowiedział, namówiliśmy #47 (to więzień polityczny, miękki jak wszyscy nasi domorośli politycy), by sporządzał szczegółowe notatki z ich rozmów (załącznik #181). Wyrywkowe kontrole pozwoliły stwierdzić, że zapiski są stuprocentowo wierne, ale niestety, rozmowy dotyczą mało istotnych tematów. Sąsiadka z celi obok, analfabetka odsiadująca wyrok za drobne kradzieże, również usiłuje się z nim porozumieć, lecz nie potrafi zastosować żadnego kodu, więc jej sygnały pozostają bez odpowiedzi.

Ponieważ władze uniwersytetu domagają się od nas uwolnienia więźnia, byłibyśmy wdzięczni za szybką decyzję w tej sprawie.

Oficer podniósł wieko skrzynki, wrzucił do niej list oraz resztę jej zawartości, a następnie wyjął z szuflady biurka kilka kartek z oficjalnym nadrukiem oraz pióro i zaczął pisać:

Dyrektor GSPB

Cytadela

Port-Mimizon

Departement de la Main

Szanowny Panie, uważnie rozpatrzyliśmy przedstawioną przez Pana sprawę.

Chociaż osoba więźnia nie ma najmniejszego znaczenia, żadne z proponowanych przez Pana rozwiązań nie wydaje nam się właściwe. Gdybyśmy przeprowadzili publiczną egzekucję, wiele osób by uznało, że naprawdę był obywatelem Ziemi i

odegrał rolę kozła ofiarnego. Gdyby natomiast został zwolniony, oczyszczony z zarzutów, a następnie ponownie aresztowany, wiarygodność rządu zostałaaby narażona na poważny uszczerbek.

Nie interesuje nas opinia publiczna w Port-Mimizon, ale ponieważ w całej sprawie tylko ten czynnik ma jakiegokolwiek znaczenie, zalecamy Panu kontynuować wysiłki zmierzające do osiągnięcia pełnej współpracy; tymczasem ostrzegamy, by nie przywiązywał pan dużej wagi do rozwijającego się związku z dziewczyną C.E.

Dopóki nie nastąpi jakaś wyraźna i trwała zmiana, więzień musi pozostać w zamknięciu.

Oficer opatrzył list podpisem, wrzucił go do skrzyneczki, po czym wezwał niewolnika i polecił mu zamknąć ją i zabezpieczyć.

- Zaniesiesz to na pokład „Gwiazdy Wieczornej”, żeby zawieźli ją do Port-Mimizon.

- Tak, maitre.

Gene Wolfe

Piąta głowa Cerbera

- Czy dziś będziesz obsługiwał komendanta?

- Tak, maitre. Od południa. Przy obiedzie, maitre. Z okazji wizyty generała.

- Może nadarzy się okazja, żeby z nim porozmawiać, ale dyskretnie! Najlepiej wtedy, kiedy każe ci przekazać mi podziękowania za udostępnienie twoich usług.

- Tak, maitre.

- Możesz go wówczas poinformować, że przez całą noc zajmowałem się tą sprawą i odesłałem materiały pierwszym statkiem, który odpływał dziś do Port-Mimizon. Zrozumiałeś?

- Tak, maitre.

Z twarzy niewolnika na chwilę znikł wyraz służalczości i pojawił się uśmiech; widząc ten uśmiech, oficer zrozumiał, że niewolnik uczyni wszystko, by wykonać polecenie, ponieważ w ten sposób przynajmniej częściowo zaspokoi drzemiące głęboko w jego duszy zamiłowanie do intryg i przygód. Niewolnik zaś spojrzał na twarz oficera i natychmiast stało się dla niego jasne, że już nigdy nie będzie musiał wrócić do gręplarni ani do przedzalni i że oficer wie, iż polecenie zostanie wykonane dla samej przyjemności wypełnienia rozkazu. Zarzucił sobie skrzynkę na ramię, by zanieść ją do portu i na pokład statku „Gwiazda Wieczorna”, po czym rozstali się, każdy bardzo zadowolony. Zaraz po wyjściu niewolnika oficer znalazł za lampą na biurku zawieruszoną szpulę z taśmą; wyrzucił ją przez okno na zaniechaną rabatę z dzbanecznikami.

Przełożył: Arkadiusz Nakoniecznik